KULTURA

zkice • Opowiadania • Sprawozdania

ARYŻ Nr 11/157 1960



« La Culture » • Revue mensuelle •

. MAŁECKI : **PRZEKLEŃSTWO GRZECHU PIERWORODNEGO**

SOŁOWIJ : **UWAGI O KAPITALIZMIE AMERYKAŃSKIM**

. A. ZBYSZEWSKI : **HENRYK ŁUBIEŃSKI**

SPIS RZECZY

KULTURA

…kice • Opowiadania • Sprawozdania

…RYŻ Listopad – Novembre 1960



…NSTYTUT LITERACKI

WPŁATY NA FUNDUSZ "KULTURY"

Roman Królikowski, Nairobi (Kenya) po raz drugi	50.00 NF
F. T. Lennox, Toronto, Ont. (Kanada)	70.00 ,,
Paul C. Supiński, Hackettstown, N.Y. (USA) po raz drugi	20.00 ,,
Zdzisław Borzym, Chicago, Ill. (USA) po raz drugi	22.00 ,,
M.K. Dziewanowski, Cambridge, Mass. (USA)	50.00 ,,
Ryszard Fiks, Chicago, Ill. (USA) po raz czwarty	10.00 ,,

DZIĘKUJEMY

KOMUNIKAT KOŁA PRZYJACIÓŁ "KULTURY"

Zamieszczając listę ofiarodawców Nr 2, Koło Przyjaciół ,,Kultury" zwraca się do Polonii Kanadyjskiej z ponownym apelem o poparcie finansowe naszej akcji, dążącej do ufundowania specjalnego numeru ,,Kultury".

Fundując ten numer, zadaniem naszym jest czynne poparcie niezależnej myśli polskiej na emigracji i udokumentowanie zrozumienia przez nas faktu historycznego, istnienia Państwa Polskiego od przeszło tysiąca lat.

Nie wątpimy, że liczna Polonia Kanadyjska, rozumiejąc doniosłą rolę, jaką ,,Kultura" spełnia na Zachodzie, poprze naszą akcję, dążącą do uzbierania tysiąca dolarów (1000), potrzebnych na ufundowanie specjalnego numeru, tym bardziej, że numery takie były już ufundowane poprzednio przez polskie ośrodki emigracyjne w Brazylii i Argentynie, wielokrotnie mniejsze niż Polonia kanadyjska.

Do chwili obecnej zebraliśmy:

Lista Nr 1 (poprzednio ogłoszona w prasie polonijnej) ..	$ 99,00
Lista Nr 2:	
R. Ryba	$ 10.00
Dr M. R. Kalinowski	$ 10.00
P. Neuff	$ 10.00
Dr K. Kotłowski	$ 5.00
Dr W. T. Szczeciński	$ 10.00
F. Skrobek	$ 10.00
Anonimowo	$ 5.00
I. Habrowska (czysty dochód z wieczoru poetyckiego	$ 18.00
RAZEM	$ 177.00

Dalsze ofiary prosimy uprzejmie nadsyłać na następujące adresy:
W. Iwaniuk, 207 Raglan Ave., Toronto 10.
W. Pajor, 111 Clendenan Ave., Toronto 9.
Dr W. Włodkowski, 1364 Dundes St. W., Toronto.

Koło Przyjaciół ,,Kultury"

Imprimé en France

Uwagi o kapitalizmie amerykańskim

Osiedlając się przed dwunastu laty w Kanadzie stawiałem sobie wielokrotnie pytanie, które niewątpliwie wielu ludzi na wschodnim brzegu Atlantyku stawia sobie często, a mianowicie czy ustrój Ameryki jest rezerwatem form gospodarczych skazanych na zagładę, a zachowanych jedynie dzięki temu, że wojna nie toczyła się na jej terenie, czy też ma on widoki przetrwania i rozwoju. Wątpliwości na temat czy ustrój ten sprosta tym wymaganiom jakie społeczeństwo demokratyczne ma prawo mu stawiać, a zwłaszcza próbie przejścia z gospodarki wojennej na pokojową mieli w latach czterdziestych, często Amerykanie nie mówiąc o mieszkańcach Europy, którym zdawało się, że świat skazany jest nieuchronnie na upaństwowienie przynajmniej kluczowych gałęzi gospodarstwa, a centralne planowanie jest jedynym ratunkiem przed nieuchronnym cyklicznym załamywaniem się koniunktury gospodarczej.

Nikt nie może odpowiedzieć w sposób ostateczny na te pytania, ani wyczerpać w artykule ogromnego tematu jakim jest kapitalizm amerykański i zmiany w nim zachodzące. Mogę najwyżej, po latach pracy jako ekonomista w Kanadzie, podzielić się swoimi spostrzeżeniami, opartymi na obserwacji Stanów Zjednoczonych, których ustrój, a zwłaszcza przebieg koniunktury, wywiera przemożny wpływ na północnego sąsiada.

Krótkie tło

Mówiąc o kapitalizmie w formie amerykańskiej mam na myśli ustrój, w którym ludzie, którzy są właścicielami przedsiębiorstw sami, lub przez swych pełnomocników, mają prawo dysponowania tymi przedsiębiorstwami.

W Ameryce bardzo rzadko używa się terminu kapitalizm dla określenia panującego ustroju. Mówi się zwykle o wolnej

lub indywidualnej przedsiębiorczości (*free or individual enterprise*), systemie konkurencyjnym (*competitive system*), lub opartym na rentowności (*profit system*). Obecny ustrój gospodarczy Stanów Zjednoczonych tylko w części odpowiada tym definicjom, nie można jednak zaprzeczyć, że, ze wszystkich istniejących w chwili obecnej systemów gospodarczych, Stany Zjednoczone i Kanada posiadają ustrój najbardziej zbliżony do tych teoretycznych modeli, choć z żadnym z nich nie pokrywają się zupełnie.

O Stanach Zjednoczonych myśli się zwykle jako o kraju młodym, ze słabo ugruntowanymi tradycjami, będącym stale w stadium ewolucji. Nie należy jednak zapominać, że Stany Zjednoczone są po Wielkiej Brytanii krajem o najstarszych, nieprzerwanych instytucjach politycznych, rządzącym się najstarszą pisaną konstytucją, która ze stosunkowo niewielkimi zmianami, a raczej uzupełnieniami, dotrwała od 18 wieku do ery atomowej. Trwałość i ciągłość instytucji politycznych musiała wywrzeć swój wpływ także na ustrój gospodarczy kraju choćby najbardziej dynamicznego.

Powstanie Stanów Zjednoczonych i ich instytucji przypada na okres rewolucji przemysłowej i powstania liberalnej szkoły ekonomicznej w Europie. W dziedzinie politycznej Ojcowie Konstytucji, głęboko wykształceni przedstawiciele Wieku Oświecenia, wprowadzili z żelazną konsekwencją monteskiuszowski podział władz. Dali prezydentowi dużą władzę, czyniąc go nieodpowiedzialnym przed Kongresem i dając mu mandat z wyboru ludu. Władzę sądową, powołaną także do interpretacji zgodności ustaw z Konstytucją, uczynili niezależną, a władzę ustawodawczą, wraz z wyłącznym prawem nakładania podatków, oddali Kongresowi pochodzącemu z wyborów. W swej treści zasadniczej Konstytucja ta, poza szerokim zagwarantowaniem praw jednostki, miała równocześnie na celu zapewnienia równowagi, drogą wzajemnej kontroli i przeciwwagi, poszczególnych instytucji i władz (np. federalnej i stanowych). Doktryna równowagi (*check and balance*) pozostała nie tylko do tej pory podstawą politycznej demokracji amerykańskiej, ale znalazła z czasem praktyczny wyraz w ustroju gospodarczym Stanów Zjednoczonych i doczekała się teoretycznego uzasadnienia także w tej dziedzinie.

Z końcem XVIII wieku wolność jednostki w dziedzinie gospodarczej ograniczona była w Europie przepisami cechowymi, poddaństwem chłopów i przywilejami (patentami), nadawanymi przez monarchę na wyłączne uprawianie handlu, przemysłu czy żeglugi. Od tych ograniczeń była wolna lub uwolniła się prędko, z wyjątkiem niewolnictwa na południu, młoda republika amerykańska. Działalność gospodarcza była od początku w rękach prywatnych, a jedynym przedsiębiorstwem państwowym pozostała poczta. Szczegół drobny, że właśnie to przedsiębiorstwo, poddane drobiazgowej kontroli Kongresu, który zatwierdza płace pracowników pocztowych i opłaty pocztowe,

nie świeci przykładem specjalnej sprawności a od szeregu lat przynosi deficyt. Próby działalności publicznej w dziedzinie bankowej, podjęte bardzo wcześnie, zostały szybko zaniechane wobec bardzo silnej opozycji i rozwój gospodarczy młodych Stanów toczył się praktycznie w ramach nieograniczonej swobody.

Filozofia gospodarcza młodego społeczeństwa kształtowała się początkowo pod silnym wpływem protestanckiej myśli religijnej. Obok amerykańskiej formy purytanizmu, którego przykazaniem jest ciężka praca i bogacenie się dla chwały Boga, i który czerpie swoje siły z podstaw etycznych opartych o Pismo Święte, a nie z pism ekonomistów, znaczny wpływ wywierała także myśl kwakierska. Działalność gospodarcza Kwakrów nie opierała się na żadnej teorii ekonomicznej, ale na surowych zasadach etycznych, które zabraniały mówić nieprawdę (Kwakrzy pierwsi wprowadzili w handlu system stałych i wyraźnie oznaczonych cen) i sprzeciwiały się zbytkowi. Ludziom o poglądach purytańskich czy kwakierskich zawdzięczały swoje powstanie i późniejszy rozwój liczne *colleges*, uniwersytety i fundacje, powstałe za czasów kolonialnych lub w pierwszych latach młodej republiki. Teoretyczne założenia gospodarki wolno-rynkowej spopularyzowały się w połowie XIX w. nie tylko wśród przedsiębiorców ale pozostały do dziś dnia w dużym stopniu kanonem nie tylko *business*'u ale także jednym z artykułów wiary wielu polityków. Oczywiście nie znaczy to, aby klasyczna teoria ekonomii była powszechnie znana i rozumiana (choć niewątpliwie Amerykanie w znacznym stopniu myślą kategoriami gospodarczymi) ani, tym bardziej, aby była stosowana w praktyce wtedy, gdy koliduje z interesem wpływowych politycznie grup. Wystarczy przypomnieć, że Stany Zjednoczone nie cofają się przed protekcjonizmem celnym. Zresztą pryncypializm obcy jest Anglosasom, a zwłaszcza praktycznym Amerykanom.

Laissez faire'yzm amerykański sprzeczny z etycznymi założeniami purytańskimi i kwakierskimi odpowiadał bardziej duchowi ,,Pogranicza'', gdzie bogacenie się bez względu na metody stało się modne, ale nie był oczywiście nigdy zupełny i dosyć szybko czynniki publiczne z przeróżnych względów zaczęły regulować poszczególne dziedziny działalności. I tak, wobec braku do początków XX w, centralnej instytucji emisyjnej i wobec trudności finansowania długu państwowego, zwłaszcza po wojnie domowej, banki poddane zostały kontroli władz stanowych wzgl. federalnych, które w niektórych dziedzinach regulowały ich działalność w stopniu wyższym niż w krajach ówczesnej Europy. W ramach wolnej gospodarki kapitalistycznej, w oparciu o znakomite warunki naturalne, nastąpił począwszy od drugiej połowy XIX w. fantastyczny rozwój Stanów Zjednoczonych. Złożyły się na to: ogromne bogactwa naturalne obszaru, który stale powiększał się przez kolonizację i eksploatację nowych terenów na zachodzie, wielki przyrost ludności wskutek masowej imigracji z Europy, znacz-

ny przypływ kapitału zagranicznego oraz szybka akumulacja kapitału krajowego. Niewątpliwie energia i gospodarność szeregu jednostek odegrały bardzo ważną rolę w procesie niesłychanie dynamicznego wzrostu potęgi gospodarczej Stanów. Szereg miast czy obszarów nawet dzisiaj jeszcze zawdzięcza swe powstanie i rozwój przedsiębiorstwom czy wprost spekulantom, którzy ryzykowali ze zmiennym szczęściem swoje i cudze kapitały. Powstanie linii kolejowych, często przy akompaniamencie skandali politycznych i finansowych, otwierało nowe obszary dla kolonizacji i eksploatacji. Na tym tle heroizacja amerykańskiego *businessman'*a i jego prestiż przestaje być czymś niezrozumiałym. Ostatecznie, zwłaszcza w okresie przedmarksistowskim, mało kto w Europie zastanawiał się nad osobistymi motywami i często mało budującymi okolicznościami towarzyszącymi politycznej działalności baronów średniowiecznych czy absolutnych monarchów. Historia i legenda ocenia ich według sukcesu ich polityki i zamków czy pałaców, które po sobie zostawili. Podobnie w Ameryce powstał świeżej daty mit sukcesów gospodarczych wielkich kapitanów przemysłu, utrwalony często w formie galerii sztuki czy innej fundacji ofiarowanej społeczeństwu.

O ile ,,heroiczny'' okres prywatnego kapitalizmu doprowadził w Ameryce szybko do powstania fortun osobistych, większych niż we współczesnej Europie, to nastąpiło to przy znacznie mniejszym niż w Europie wyzysku robotnika. Pochodzi to z tej przyczyny, że w Stanach niedostatecznym czynnikiem produkcji była i jest najczęściej praca. Przypływ rąk do pracy mimo imigracji nie nadążał za rozwojem kraju. W XIX w, gdy w Europie wieś zasilała proletariat miejski, Stany budując przemysł kolonizowały równocześnie dziewicze obszary rolne. W XX w., gdy Europa — zwłaszcza wschodnia — czerpie z rezerwuaru przeludnionej wsi, Stany Zjednoczone mogą przesunąć stosunkowo niewiele ludności z rolnictwa do przemysłu. Z naszej perspektywy płace i warunki pracy w XIX-stowiecznych Stanach przedstawiają się źle, ale w porównaniu z Europą musiały być zawsze znacznie lepsze. Nie można udowodnić tego twierdzenia porównaniem realnej wartości zarobków po obu stronach oceanu, gdyż tego rodzaju danych dla tego okresu nie ma, ale wystarczy wskazać, że Ameryka była ziemią obiecaną nie tylko dla przymierających głodem Irlandczyków, Włochów Sycylijskich czy mieszkańców Podkarpacia, ale że masowo emigrowali także do Stanów robotnicy z wysoko uprzemysłowionej W. Brytanii czy Niemiec. Pomimo, że konflikty klasowe były w Ameryce bardzo brutalne, nie pozostawiły w Stanach nienawiści klasowej. Jeżeli kapitalizm był krytykowany to nie z punktu widzenia sprawiedliwości społecznej lecz — zwłaszcza od lat trzydziestych — z punktu widzenia odporności ustroju na wstrząsy gospodarcze.

Formy i kierunek rozwoju kapitalizmu amerykańskiego znalazły się już w XIX w., w niektórych punktach, w konflikcie

z teorią równowagi sił politycznych i gospodarczej doktryny wolnej konkurencji. Władze zaczęły oczywiście najpierw regulować działalność, która z natury swej miała charakter monopolu, a więc przedsiębiorstwa użyteczności publicznej. Koleje, elektrownie, gazownie, wodociągi itp., choć pozostały w rękach prywatnych, zostały poddane kontroli czynników publicznych, które zatwierdzają ich taryfy. Podobnie jak w innych krajach, powstawanie coraz nowych linii kolejowych i przedsiębiorstw przemysłowych prowadziło do ostrej walki konkurencyjnej i często do załamania ich rentowności, a tym samym stanowiło podnietę do regulowania rynku i powstawaniu trustów, których funkcja zbliżona była do europejskich monopoli czy karteli.

Początki wielu największych obecnie przedsiębiorstw amerykańskich sięgają ostatnich dziesiątków XIX w., a powstanie swoje zawdzięczają one różnym przyczynom. W niektórych wypadkach duże przedsiębiorstwa powstawały poniekąd jako produkt uboczny czysto finansowych kombinacji wielkich spekulantów, którzy drogą operacji giełdowych łączyli pokrewne, a czasem zupełnie odrębne przedsięwzięcia, których gospodarcza racja istnienia nie wytrzymywała często próby życia. W innych wypadkach, powstanie ich drogą fuzji, wykupna, zgniatania konkurenta, było wynikiem planowego ograniczenia konkurencji. Powstawanie potężnych przedsiębiorstw wywołało szybko ostrą reakcję opinii, w pierwszym rzędzie farmerskiej, nie tylko zagrożonej gospodarczo, ale także zaniepokojonej politycznymi skutkami koncentracji wpływów w rękach nielicznej grupy. Po szeregu antytrustowych praw stanowych Kongres uchwalił w 1890 r. *Sherman Act,* a w 1914 *Clayton Act* ustawy, które z uzupełnieniami i zaostrzeniami obowiązują do dzisiaj. Istnienie tych ustaw nie zahamowało co prawda procesu wzrostu wielkich przedsiębiorstw, ale wpływ ich na formy rozwoju kapitalizmu amerykańskiego, był i jest do dziś dnia, bardzo silny. W odróżnieniu do ustawodawstwa niektórych krajów europejskich prawo amerykańskie z zasady nie uznaje pojęcia pożytecznego kartelu. Bez względu na cele i wyniki, nie tylko wszelka zmowa zmierzająca do ograniczenia konkurencji, ale także działalność, która jako skutek uboczny może tę konkurencję osłabić, jest zabroniona.

Od przeszło sześćdziesięciu lat, bez względu na to która z partii jest u władzy, stale są w toku jakieś dochodzenia antytrustowe, czy to wskutek prób obejścia przepisów ustawy przez przemysł, czy też z inicjatywy administracji lub Kongresu, podejmowanej niekiedy dla celów ściśle politycznych. Odpowiednie urzędy interpretują ustawy zwykle bardzo szeroko, ale także orzeczenia sądów, do których odwołuje się rząd lub przemysł, zdumiewają często swoją surowością oraz tym, że dotyczą nie tylko działania przedsiębiorstw obcych na ich terenie, ale także przedsiębiorstw amerykańskich poza granicami Stanów. Dla przykładu: W 1956 administracja republikańska sprze-

ciwiła się projektowi fuzji dwóch towarzystw stalowych twierdząc, że połączenie ich zmniejszy konkurencję w przemyśle żelaznym, mimo że jest w nim jedenaście towarzystw, a połączyć chciały się drugie i siódme pod względem wielkości. Akcjonariusze obu przedsiębiorstw uchwalili ich połączenie, obrońcy wskazywali na to, że konkurencja wzrośnie gdy jednostki konkurujące będą silniejsze, ale sąd nie uznał tych argumentów i sprawa upadła.

Jeżeli ustawodawstwo antytrustowe nie potrafiło zahamować procesu wzrostu niektórych przedsiębiorstw amerykańskich do ich obecnych gigantycznych rozmiarów, przypisać to należy wyłącznie temu, że wzrost ten powstawał drogą działania naturalnych sił gospodarczych, a w pierwszym rzędzie temu, że przemysł amerykański w oparciu o ogromny rynek wewnętrzny szybko odkrył korzyści ekonomiczne, wynikające z produkcji masowej, obniżania cen i powiększania zbytu. Nie tylko dla ekonomisty czy *businessman*'a, ale także dla szerokiej masy spożywców amerykańskich zalety produkcji masowej są czymś znanym i zrozumiałym od paru pokoleń i nie natrafiają na opory, częste do niedawna w Europie. Produkcja masowa implikuje masowy zbyt, a zatem — w kraju, którego przemysł nastawiony jest na rynek wewnętrzny — wysoką siłę nabywczą własnego społeczeństwa. Stąd krok do zrozumienia, że w interesie przedsiębiorcy leży, aby robotnicy mieli wysokie zarobki, aby móc kupować jego wyroby. Odkrycie tej prostej prawdy nie jest zasługą amerykańską, ale podobnie jak jest z produkcją masową, po raz pierwszy w dziejach, zasada ta zastosowana została w praktyce — i to na ogromną skalę — w Stanach Zjednoczonych. Oczywiście wszędzie zdawano sobie sprawę z tej prawdy, ale ,,normalny'' przedsiębiorca uważał za słuszne, aby jak najwięcej zarabiali robotnicy zagraniczni, innych gałęzi przemysłu lub jego konkurentów, ale sam starał się zwykle płacić swoim własnym robotnikom jak najmniej. W 1916 Henry Ford zdecydował, że każdy robotnik powinien móc kupić samochód jego fabryki i podniósł z własnej inicjatywy płace na $ 6 dziennie, stawkę na owe czasy niesłychaną (ówczesny samochód Forda kosztował $ 600).

Przykład Forda nie znalazł w latach dwudziestych wielu naśladowców, ale dziś zrozumienie ścisłego związku pomiędzy dobrobytem konsumenta a interesem przedsiębiorcy, jest niekwestionowaną przez nikogo (nie tylko wśród robotników, ale także wśród *business*'u) podstawą *American way of life*.

W ,,heroicznym'' okresie kapitalizmu amerykańskiego, trwającym mniej więcej od Wojny Domowej do roku 1929, koniunktura ulegała oczywiście wahaniom cyklicznym, ale po chwilowym osłabieniu tempa następował zawsze wzrost wytwórczości na poziom wyższy niż poprzedni. Na gruncie tych doświadczeń wyrósł gospodarczy i społeczny optymizm amerykański. Jeżeli nawet nieostrożna i zbyt gwałtowna ekspansja danego przedsiębiorstwa, lub całych gałęzi gospodarczych, wy-

woływała nadprodukcję i niekiedy poważne komplikacje i wstrząsy, to dzięki szybkiemu wzrostowi ludności i dynamizmowi reszty gospodarki, nadwyżkowa zdolność produkcji znajdowała zwykle po krótkim czasie stały zbyt. Równocześnie szybka ekspansja gospodarcza i brak przesądów klasowych stwarzały znakomite warunki dla awansu społecznego. Przy bardzo niskim opodatkowaniu jednostki przedsiębiorcze bogaciły się szybko zwłaszcza w handlu i przemyśle. Oczywiście, pomimo swego zasłużonego tytułu kraju wszelkich możliwości dla jednostek energicznych i ziemi obiecanej dla biedaków europejskich, Stany nie były wolne — zwłaszcza w dużych miastach i na południu — od skupisk nędzy, a robotnicy fabryczni cierpieli wskutek *lock-out*'ów, bankructw przedsiębiorstw i okresowych depresji gospodarczych. O ile stosunki ówczesne nie odpowiadały na pewno obecnemu pojęciu sprawiedliwości społecznej to przynajmniej społeczne skutki cyklicznych wahań koniunktury nie były zbyt dotkliwe. Podobnie jak dla Europy nie posiadamy danych co do ilości bezrobotnych ale wiemy, że kryzysy w tamtych czasach były krótkotrwałe i zwykle ograniczone w zasięgu geograficznym lub do niektórych gałęzi przemysłu. Wolny mechanizm rynkowy, wspomagany znakomicie dynamizmem całej gospodarki, przezwyciężał stosunkowo szybko trudności. Znane dokładnie okresy paniki finansowej miały swoje źródło w ekscesach spekulacji gruntowej lub giełdowej, zaostrzonych poważnymi brakami systemu pieniężno-kredytowego. Tego typu kryzys z roku 1907 uświadomił społeczeństwo o konieczności stworzenia centralnej instytucji emisyjnej, przed czym broniło się ono dotychczas z obawy przed „monopolem pieniężnym" i umożliwił zorganizowanie w roku 1913 systemu Rezerwy Federalnej.

Na rozwój koniunktury w XIX w. wpływało przede wszystkim powstanie nowych linii kolejowych oraz trwający dłużej okres rozwoju przemysłu stalowego. W pierwszej dekadzie XX w. zaczyna się rozwijać młody przemysł elektryczny, a pierwsza Wojna Światowa daje impuls do powstania i rozwoju szeregu gałęzi dotychczas słabszych, bo cierpiących konkurencje Niemiec lub W. Brytanii (np. przemysłu chemicznego).

Ceną, jaką Stany zapłaciły za inflację i wspaniałą koniunkturę gospodarczą pierwszej Wojny Światowej, był kryzys 1920-21 roku, gdy po raz pierwszy bezrobocie osiągnęło poważne rozmiary. Wkrótce jednak trudności gospodarcze zostały przezwyciężone i kraj wszedł w okres *prosperity*. W wyniku tej wojny Stany Zjednoczone zamieniły się z kraju dłużniczego w mało doświadczonego bankiera zubożałej Europy. Rozwinęły eksport, zachowując równocześnie ochronę celną własnego przemysłu, zagrażając tym samym równowadze wymiany międzynarodowej. Jak zwykle w historii Stanów, podstawy ówczesnej koniunktury tkwiły jednak w ich własnej gospodarce, która weszła w okres niesłychanego rozwoju przemysłu samochodowego, który pociągnął za sobą nowy przemysł gumowy i dał

podnietę do rozwoju przemysłu naftowego, stalowego i szeregu przemysłów pomocniczych. Mieszkając w Ameryce ocenia się dopiero w jak głęboki sposób samochód, będący na tym kontynencie rzeczą równie nieodzowną jak mieszkanie, zrewolucjonizował życie i stosunki. Komunikacja samochodowa pozwoliła między innymi na decentralizację miast, powstanie oddzielnych, i często odległych, dzielnic mieszkaniowych i fabrycznych, dała impuls do powstania ogromnej ilości drobnych przedsiębiorstw usługowych (garaży, stacji obsługi), stworzyła konieczność rozbudowy dróg o twardej nawierzchni, turystyki itp. Lata 20-te stały równocześnie pod znakiem rewolucji gospodarczej, wywołanej przez samochód i przez szybki postęp elektryfikacji, gwałtowny rozwój miast, spekulacyjny rozwój miejscowości wakacyjnych (Floryda) i szeregu innych, mniej ważnych czynników, przyspieszających tempo życia gospodarczego. Szczytowy punkt koniunktury tego okresu przypadł na rok 1928, ale nieograniczona wiara w trwałość *prosperity,* dając zachętę do rozbudowy i inwestycji przemysłowych, finansowanych w bardzo szerokim zakresie kredytem, przedłużyła okres euforii i spekulacji giełdowej do roku następnego.

Wielka Depresja

Załamanie się giełdy nowojorskiej w październiku 1929 stanowi ważną datę nie tylko w gospodarczej historii Stanów Zjednoczonych. Straty posiadaczy papierów wartościowych, choć idące w miliardy dolarów, nie mogły same w sobie wstrząsnąć podstawami ogromnie bogatego kraju. Dotknęły one zresztą stosunkowo bardzo nieliczną grupę ludności. Gdy jednak giełda i zyski giełdowe przestały dostarczać podniety okazało się, że sama koniunktura gospodarcza zaczyna się psuć coraz poważniej. W miarę pogłębiania się, kryzys odsłaniał bardzo poważne błędy, braki i nadużycia. Szereg gałęzi przemysłu rozbudowało zdolność produkcyjną do rozmiarów przekraczających na dłuższy okres zdolność absorbcyjną rynku wewnętrznego (równocześnie zaczęły zamykać się rynki eksportowe krajów, którym Ameryka zaczęła wypowiadać kredyty). Ekspansja przemysłu, spekulacja i budowa nieruchomości, były w ogromnym stopniu finansowane kredytem i to w części krótkoterminowym, co doprowadziło do kryzysu zaufania i zachwiało bankami w roku 1932. Krach giełdowy odsłonił kulisy grynderki i wielkich nadużyć przy organizowaniu *holding*'ów i trustów w latach dwudziestych.

Że wszystkie te ekscesy musiały doprowadzić do kryzysu jasne jest nie tylko teraz, ale było widoczne także pod koniec lat dwudziestych, dla osób mających odwagę sprzeciwiania się powszechnemu optymizmowi. Powstaje jednak pytanie czy kryzys ten musiał przybrać formy katastrofalnej depresji, trwającej dziesięć lat. Bogata literatura przedmiotu pozwala nam

dzisiaj wyrobić sobie zdanie o przyczynach i skutkach tego zjawiska.

Lata wysokiej koniunktury, poprzedzającej rok 1929, odznaczały się nie tylko rozwojem produkcji nowych i starych przemysłów, ale także ogromnym postępem techniki i organizacji pracy na bardzo szerokim froncie. Dzięki temu produktywność robotnika amerykańskiego rosła bardzo szybko w czasie, w którym płace zwiększyły się stosunkowo nieznacznie. Aby przywrócić równowagę należało zatem podwyższać zarobki zwłaszcza wobec ograniczenia imigracji (od 1924), a o tym mowy nie było po roku 1929. Cała gospodarka weszła w okres deflacji, ograniczenia wydatków, zmniejszenia inwestycji i spirali spadających cen.

Początkowo nie tylko administracja republikańska, ale też i społeczeństwo wierzyły, że koniunktura poprawi się sama (osławione Hoover'a *prosperity around the corner*), ale gdy kryzys pogłębiał się coraz bardziej, a bezrobocie dotknęło wiele milionów robotników, wybory w roku 1931 przyniosły zwycięstwo demokratom. Roosevelt objął rządy, nie posiadając żadnego jasnego planu jak wydobyć kraj z kryzysu, a pierwsze lata jego administracji były okresem prób i eksperymentów gospodarczych, nie tylko nierewolucyjnych, ale nie wiele bardziej skutecznych niż jego poprzednika. Dopiero późniejszy *New Deal* wniósł do życia amerykańskiego szereg nowych idei i czynników, niektóre o charakterze trwałym. Choć gospodarczo nie najważniejsza, ale w skutkach jak zwykle najtrwalsza, była ogromna rozbudowa federalnego aparatu biurokratycznego, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej. Znaleźli w nim zatrudnienie liczni bezrobotni pracownicy przedsiębiorstw prywatnych oraz szereg ludzi z wykształceniem uniwersyteckim, często o poglądach lewicowych (do komunistycznych włącznie). Ta grupa zaczęła nadawać ton szeregowi nowych urzędów i wywierać wpływ na prezydenta za pośrednictwem tzw. „trustu mózgów". Szereg przedstawicieli wielkiego *busines*'u, jak najbardziej autentycznych milionerów, pracowało w Waszyngtonie i popierało Roosevelta, ale administracja *New Deal*'u była oczywiście znacznie mniej przychylna dla prywatnego kapitału, niż rządy Hoover'a. Giełda, emisje papierów wartościowych, instytucje finansowe, przedsiębiorstwa użyteczności publicznej zostały drogą ustawową poddane bardzo drobiazgowej kontroli nowych urzędów. Natomiast etatyzm *New Deal*'u, o którym lubią mówić konserwatywni Amerykanie wyraził się w jedynym poważnym dziele, podjętym przez rząd federalny razem z rządami zainteresowanych stanów i spółdzielni rolniczych „Tennessee Valley Authority" i w zorganizowaniu dwóch państwowych instytucji finansowych (*Reconstruction Finance Corp.* i *Export-Import Bank*). Rząd federalny wkraczał w dziedziny, w które nie zamierzała angażować się przedsiębiorczość prywatna w okresie kryzysu. Trwalszym dziełem tego okresu okazało się w związku z zatrudnianiem bezrobotnych, przy pracach związanych z konserwacją przyrody,

uświadomienie społeczeństwa o rozmiarach strat, poniesionych przez rabunkową eksploatację lasów i rzek.

Wprawdzie Roosevelt zdewaluował dolara, ale, znakomitym instrumentem działania kredytem na przebieg koniunktury, jaki posiadał w Systemie Rezerwy Federalnej, posługiwał się nieśmiało. W ogóle, podobnie jak i w Europie, z wyjątkiem Niemiec, teoria Keynes'a znalazła praktyczne zastosowanie w Ameryce bardzo późno. Tym się tłumaczy fakt, że kryzys gospodarczy w Stanach trwał od 1929 do 1940 roku. Wprawdzie koniunktura zaczęła się poprawiać od 1934 do 1937, ale znowu pogorszyła się znacznie w 1938 i w roku następnym ilość bezrobotnych znowu powróciła do 9 i pół miliona (przy 55 milionach zatrudnionych).

Skutki tak głębokiej i długotrwałej depresji były na jej skalę. Nie tylko rozwój gospodarczy kraju został na szereg lat zwolniony, ale przez parę lat — po raz pierwszy w historii — nastąpiła w Stanach „dezinwestycja". Po raz pierwszy także stanęło społeczeństwo w obliczu kryzysu i bezrobocia obejmującego praktycznie wszystkie gałęzie przemysłu i rolnictwo. Najpoważniejszym skutkiem był jednak zwrot w nastrojach społeczeństwa, którego wiara w stały postęp i rozwój gospodarczy została poderwana przez wątpliwości czy Stany Zjednoczone nie przestały już być krajem młodym i dynamicznym i czy nie czeka je los starej Europy.

Politycznym kozłem ofiarnym kryzysu stała się partia republikańska i *Big business,* a Wielka Depresja (pisana do dzisiaj z wielkiej litery *Great Depression*) była okresem rachunku sumienia społecznego i politycznego dla wszystkich myślących Amerykanów. Wydaje się, że tak jak Wojna Secesyjna — Wielka Depresja lat trzydziestych była przełomowym zdarzeniem, kształtującym na długie lata myślenie i życie amerykańskie.

1940 — 1960

Pod wpływem produkcji na potrzeby państw zachodnich, gospodarka amerykańska osiągnęła stan pełnego zatrudnienia jeszcze przed Pearl Harbour. Z chwilą przystąpienia Stanów do wojny, wszystkie zasoby gospodarcze kraju zostały zmobilizowane przez państwo. Kierownicy wielkich przedsiębiorstw prywatnych byli masowo wypożyczani rządowi do kierowania centralami gospodarczymi (tzw. *one-dollar-a-year men,* otrzymywali ze skarbu symbolicznego dolara, a pensje od swoich firm, do których powrócili po wojnie). Wprawdzie trudności gospodarcze, wobec których stanęła Ameryka, były mniejsze i częściowo innego rodzaju niż w krajach europejskich, ale niewątpliwie tempo i rozmach wysiłku były godne podziwu. Społeczeństwo stosowało się z dużą dyscypliną do stosunkowo

nielicznych ograniczeń i zakazów, a polityka gospodarcza rządu energicznie i konsekwentnie zmierzała do neutralizowania inflacji. Stopa podatku od dochodów spółek została podniesiona bardzo wysoko, a zyski dodatkowe w praktyce prawie w całości konfiskowane przez tzw. *excess profit tax*. Równocześnie przedsiębiorstwa rozbudowujące się na potrzeby wojny otrzymały ulgi specjalne w formie przyspieszonych odpisów amortyzacyjnych. Nadwyżka siły nabywczej konsumenta została częściowo usunięta wskutek silnego podniesienia progresywnej stopy podatku dochodowego, a głównie zneutralizowana w formie dobrowolnych i przymusowych oszczędności.

Przejście z gospodarki wojennej na pokojową odbyło się bez wstrząsów. Z wyjątkiem nielicznych gałęzi przemysłu ściśle wojennego, lub z nim związanego, rok 1946 — pierwszy rok powojenny — był okresem gospodarczo bardzo korzystnym. Pomimo to w sferach rządowych, uniwersyteckich, gospodarczych i praktycznie w całym społeczeństwie panowało przekonanie, że kryzys gospodarczy musi nastąpić wkrótce. Powoływano się na analogię lat 1920-21, a zwłaszcza na wspomnienia niedawnej Wielkiej Depresji. Wprawdzie wskazania Keynes'a, nie zostały w Stanach Zjednoczonych przyjęte jako oficjalny dogmat polityki gospodarczej demokratów, ale administracja Trumana podjęła w pierwszych latach szereg posunięć stabilizujących koniunkturę. Ustawowo zagwarantowano minimum płac (podnoszone parokrotnie w ostatnich latach, minimum to jest stale znacznie poniżej stawek praktykowanych na rynku pracy). Rozbudowano ubezpieczenia na wypadek bezrobocia i wprowadzono system parytetowych cen rolniczych, który gwarantował farmerom minimalne ceny na szereg artykułów. Parytet ten był zmienny zależnie od cen przemysłowych, aby nie dopuścić do rozwarcia się ,,nożyc cen'' na niekorzyść rolnictwa. W razie spadku cen poniżej parytetu, państwo interweniowało drogą skupu na rynku artykułów rolnych. Kongres również uruchomił specjalną instytucję do udzielania i gwarantowania pożyczek hipotecznych na budownictwo mieszkaniowe i uchwalił, poza rentami, szereg kredytów i innych pomocy dla byłych żołnierzy.

Zamiast oczekiwanego kryzysu, i bez uciekania się do środków nadzwyczajnych, lata powojenne przyniosły niesłychany wzrost dochodu społecznego i stopy życiowej mieszkańców Ameryki.

Pierwszy bardzo mocny impuls otrzymała gospodarka po wojnie od strony wydatków konsumpcyjnych mas spożywców amerykańskich. Zapotrzebowanie na nowe samochody, lodówki, meble, zaspakajane niedostatecznie w okresie kryzysu i późniejszych ograniczeń wojennych, ujawniło się z dużą siłą na rynku. Publiczność czerpała środki na zakupy z oszczędności, nagromadzonych w latach wojny. Wyzwolenie ogromnej masy siły nabywczej wywołało szybko zwyżkę cen i ujawniło rozmiary deprecjacji pieniądza wskutek wojny. Przy pełnym

zatrudnieniu, płace i zarobki zaczęły szybko wzrastać. Wkrótce okazało się, że przemysł, po okresie niedostatecznych inwestycji w okresie depresji i braku renowacji w czasie wojny, wymaga nowych nakładów kapitałowych. W ten sposób inwestycje zaczęły odgrywać coraz poważniejszą rolę w przebiegu koniunktury, zwłaszcza, gdy stało się jasne, że silny wzrost wydatków konsumpcyjnych nie jest zjawiskiem przejściowym lecz zapowiada się, jako czynnik stały. Podobnie jak i w innych krajach, lata bezpośrednio powojenne były okresem bardzo silnej zwyżki stopy zawierania małżeństw, co z miejsca pociągnęło za sobą duże ożywienie budownictwa i wszystkich przemysłów dóbr trwałego spożycia. W następnych latach, przy niewielkim względnym spadku stopy zakładania nowych rodzin, przemysł zaczął zyskiwać miliony nowych konsumentów wskutek gwałtownego wzrostu urodzeń. Nowe nakłady okazały się konieczne, aby sprostać tym potrzebom. Chwilowe zmniejszenie wydatków spożywców wywołało lekką recesję w ostatnich miesiącach 1948 i pierwszych 1949. Wkrótce jednak gospodarka powróciła do stanu pełnego zatrudnienia tak, że Wojna Koreańska, która spowodowała zbrojenia i równoczesne masowe zakupy spożywców, wywołała drugą po wojnie powszechną falę zwyżki cen, płac i zarobków. *Boom* koreański przeszedł w normalną dobrą koniunkturę lat 1952 i 53. Po drugiej w okresie powojennym lekkiej recesji na przełomie 1953-54, wywołanej jak i poprzednia, nieznacznym zmniejszeniem wydatków kosumpcyjnych społeczeństwa, gospodarka amerykańska weszła w ponowny okres bardzo silnego ożywienia, spowodowanego równoczesnym rozwinięciem szerokich programów inwestycyjnych i zwiększeniem wydatków spożywców.

W pierwszych latach powojennych Rezerwa Federalna nie stosowała hamulców pieniężno-kredytowych zarówno wobec ciągłej obawy nadchodzącej depresji jak i ze względu na to, że polityka niskiej stopy procentowej, obowiązująca od szeregu lat, ułatwiała skarbowi administrowanie ogromnym długiem publicznym, zaciągniętym w czasie wojny. Po raz pierwszy w obliczu ostrych objawów inflacyjnych w czasie Wojny Koreańskiej, wprowadzono pewne ograniczenia kredytowe, wkrótce po tym rozluźnione. Dopiero za czasów administracji republikańskiej Eisenhowera — *Federal Reserve Board* (pozostający zresztą pod kierownictwem demokraty) wyzwolił się spod dyktatu Skarbu i zaczął stosować bardziej elastyczną politykę. W 1955, a zwłaszcza 1956, Rezerwa Federalna zastosowała w obliczu *boom*'u gospodarczego politykę drogiego pieniądza.

W 1957 r. zdolność produkcyjna niektórych gałęzi przemysłu, rozbudowanych w latach poprzednich, przekroczyła potrzeby rynku. W roku następnym, spadek nowych inwestycji wywołał spadek produkcji o niespełna 8% i Stany znalazły się w trzeciej, najcięższej od końca wojny, recesji. Ilość bezrobotnych podniosła się do 4.681.000 czyli prawie 7% zatrudnionych. Energiczna polityka kredytowa Rezerwy Federalnej oraz dzia-

łanie szeregu innych czynników stabilizujących koniunkturę pozwoliły utrzymać wydatki konsumentów na wysokim poziomie i nie dopuściły do pogłębienia się recesji. Pod koniec roku koniunktura zaczęła się poprawiać, a w 1959 poziom produkcji przemysłowej osiągnął nowy rekord pomimo czteromiesięcznego strajku stalowni. *Federal Reserve System* zaczął od końca 1958 r. znowu stosować politykę drogiego pieniądza aby nie dopuścić do nowego *boom'*u i zwyżki cen. Środek ten zastosowany wcześniej niż w latach 1955-56 pozwala przewidywać, że dobra koniunktura potrwa przynajmniej do końca 1960 r.

W 1939 r. ludność Stanów wynosiła 131 milionów, zatrudnionych było 55 milionów, a bezrobotnych 9 i pół miliona. W 1959 ludność wzrosła do 179 milionów, zatrudnienie do 72 milionów, a pracy poszukiwało 3.800.000 osób. Wartość dóbr i usług wyprodukowanych (*gross national product*) wzrosła w trzynastoleciu 1946-1959 z 209 do 480 miliardów dolarów. W czasie tym prywatne inwestycje przemysłowe wynosiły średnio około 40 miliardów rocznie a budownictwo mieszkaniowe około 17 miliardów. Cyfry wyrażone w pieniądzach nie są zupełnie porównywalne, gdyż dolar stracił koło 1/3 swej siły nabywczej od końca wojny (a połowę wartości z 1939 r.). Faktem pozostaje jednak, że wzrost produkcji dóbr i usług był w ostatnim trzynastoleciu ogromnie silny, zarówno w cyfrach ogólnych jak i w przeliczeniu na głowę mieszkańca.

Dochód narodowy nie tylko wzrósł, ale podział jego stał się znacznie bardziej równomierny. Głównym beneficjentem wzrostu jest robotnik przemysłowy, którego realne zarobki wzrosły znacznie przy skróconym czasie pracy. Udział rolnictwa w dochodzie narodowym zmniejszył się w cyfrach względnych, ale wzrósł wydatnie w przeliczeniu na gospodarstwo i ilość zatrudnionych (dzięki zmechanizowaniu produkcji ilość zatrudnionych w rolnictwie spadła mimo zwiększenia produkcji). Dochody kapitalistów i wolnych zawodów wzrosły i jedyną grupą, której położenie pogorszyło się w ostatnich latach są osoby starsze, żyjące z emerytury, czy renty z kapitału ulokowanego w papierach o stałym oprocentowaniu. Tę grupę dotknęła deprecjacja pieniądza.

Zbędnie jest rozwodzić się nad wysoką stopą życiową Amerykanów. Należy raczej wskazać na to, że podział dochodu społecznego, jakkolwiek znacznie równiejszy, nie jest idealny. I tak np. farmerzy w niektórych okolicach stanów południowowschodnich mają dochody znacznie niższe od przeciętnej. Sezonowi robotnicy rolni zarabiają często bardzo mało. W dużych miastach istnieją skupiska biedy, zasilane imigracją z biedniejszych stanów rolniczych lub zewnętrzną (Porto Rico). Skupiska te stanowią problem społecznego dostosowania jednostek do zupełnie innych warunków cywilizacji przemysłowej. Ilościowo nie stanowią one problemu w skali ogólno amerykańskiej, choć lokalnie są trudne do usunięcia.

Ilość poszukujących pracy z końcem 1959, roku bardzo dobrej koniunktury, wynosiła trochę ponad 5% zatrudnionych. Składają się na tę cyfrę osoby, które straciły pracę wskutek stałego lub chwilowego zamknięcia ich zakładu pracy. Przyjmuje się zwykle, że przy pełnym zatrudnieniu ilość poszukujących pracę wynosić musi 2 i pół do 3 i pół % rąk roboczych, a to z przyczyn takich jak postęp technologiczny i sezonowość niektórych działów produkcji. Bezrobocie w takich rozmiarach, jakkolwiek indywidualnie ciężkie, nie jest klęską społeczną ani osobistą robotnika, który otrzymuje przyzwoitą wypłatę z funduszu bezrobocia, a niekiedy dopłatę do niej od pracodawcy (na podstawie umowy zbiorowej w przemyśle samochodowym). W razie chronicznej depresji w danej gałęzi czy okręgu robotnik amerykański, podobnie jak i farmer lub przedsiębiorca, przenosi się do bardziej dynamicznych stanów (zwłaszcza zachodnich), gdzie o pracę jest łatwiej, a płace są wyższe.

Stabilizacja Koniunktury

Od końca Wielkiej Depresji, tj. od dwudziestu lat, Stany Zjednoczone przeżyły okres bardzo silnego wzrostu gospodarczego, którego tempo tylko lekko słabło w krótkich recesjach lat 1948-49, 1953-54 i 1957-58. Kraj uniknął jednak poważnego kryzysu, oczekiwanego od końca wojny.

Główną przyczyną stabilizacji koniunktury są strukturalne zmiany, jakie zaszły w ustroju gospodarczym Ameryki w ostatnich dwudziestu latach. W największym kraju przemysłowym świata zaledwie co czwarty zatrudniony jest robotnikiem fabrycznym. Niespełna 10% zatrudnionych pracuje w rolnictwie (wobec 20% w 1939), a mniej niż 5% w przemyśle budowlanym. Amerykanie żyją obecnie głównie z dostarczania usług (w najszerszym tego słowa znaczeniu, tj. włącznie z dystrybucją i transportem dóbr). Jeżeli dodać do tego urzędników na wszystkich szczeblach administracji publicznej to grupa usługowa stanowi połowę wszystkich zatrudnionych, a przeszło połowę zatrudnionych poza rolnictwem. Amerykanie wydają trzy razy tyle na usługi niż na wszystkie dobra trwałego spożycia łącznie. Tego typu gospodarka jest z natury rzeczy bardziej stała, niż gospodarka oparta na przemyśle lub rolnictwie.

O ile depresja lat trzydziestych była w znacznej mierze wywołana brakiem równowagi pomiędzy wzrostem produktywności i wzrostem płac, o tyle w okresie ostatnich dwudziestu lat płace rosły bez przerwy; w niektórych gałęziach prędzej niż produktywność. Pozwoliło to podtrzymywać koniunkturę w okresie słabnących wydatków inwestycyjnych. W podobny sposób działały wypłaty z funduszu bezrobocia, znacznie wyższe niż zasiłki w latach trzydziestych.

Rola czynników publicznych w regulowaniu koniunktury jest obecnie bez porównania większa, a działalność ich w dużej

części prawie automatyczna. Podatek dochodowy stanowi podstawę budżetu federalnego. Udział skarbu państwa w dochodach spółek wynosi 52 % (wobec 12 % w 1930), a progresywna skala podatku od dochodów osób przekracza 78 % przy największych dochodach. W razie osłabienia koniunktury i spadku dochodów wpływy podatkowe z tego źródła spadają automatycznie więcej niż proporcjonalnie. Wobec tego, że nie ma mowy o obniżaniu wydatków państwowych, powstaje natychmiastowa konieczność nie tylko finansowania deficytu budżetowego ale kreowania kredytu dla nakręcania koniunktury przez System Rezerwy Federalnej.

Struktura kredytowa jest znacznie bardziej odporniejsza na wstrząsy niż w 1929 r. Nie tylko instytucje finansowe są zdrowe, ale zadłużenie przedsiębiorstw proporcjonalnie znacznie mniejsze, a rolnictwo i budownictwo mieszkaniowe oparte o kredyt długoterminowy, prawie nieznany w latach trzydziestych.

Wreszcie, przynajmniej jak długo trwa żywa pamięć Wielkiej Depresji, mniejsze jest niebezpieczeństwo popełnienia błędów, które tę katastrofę wywołały i pozwoliły jej trwać przez dziesięć lat. I tak plany inwestycyjne przedsiębiorstw są obecnie oparte na bardzo dokładnej analizie przyszłych potrzeb rynku i mają charakter długoterminowy. Pozwoliło to uniknąć zbyt gwałtownych wahań w rozmiarach inwestycji lub gromadzeniu zapasów towarowych z roku na rok. Podejmowanie robót publicznych w okresie słabnięcia inwestycyj prywatnych nie pozwoliło usunąć, ale znacznie osłabiło, tradycyjny czynnik wahań tempa życia gospodarczego.

Wszystko to wskazuje na to, że Stany Zjednoczone potrafią także w przyszłości uniknąć poważnych kryzysów gospodarczych pomimo istnienia pewnych czynników, które zagrażają stałości koniunktury. Od strony systemu kredytowego istnieją dwa niebezpieczeństwa. Jedno w formie długu publicznego, nie z powodu jego rozmiarów, gdyż suma 291 miliardów dolarów nie jest wysoka dla Ameryki, ale faktu, że wskutek błędnej polityki finansowej w latach powojennych i uporu Kongresu w ostatnich dwóch latach, dług ten jest w ogromnej części krótkoterminowy, co znakomicie utrudnia politykę Rezerwy Federalnej. Ten problem, raczej techniczny, może być stosunkowo łatwo usunięty. Drugim jest sprawa regulowania kredytu konsumpcyjnego, o dużym wpływie na przebieg koniunktury, na który Rezerwa Federalna nie ma obecnie bezpośredniego wpływu. I to zagadnienie może być stosunkowo łatwo uregulowane drogą ustawową. Najtrudniejszym elementem w przewidywaniu koniunktury gospodarczej w Ameryce jest postawa konsumenta. Na jego wydatkach opiera się dotychczasowa stałość inwestycji, opartych na przewidywaniu, że spożycie będzie rosło. Niebezpieczeństwo polega na tym, że przy bardzo wysokiej stopnie życiowej amerykańskiej coraz mniejsza część dochodu idzie na zaspokojenie wydatków koniecznych (jedzenie, mieszkanie itp.), a coraz większa na wydatki luksu-

sowe i ,,prestiżowe'' (kupno co rok nowego samochodu, szereg usług itp.). Zrezygnowanie z tego typu wydatków, a zwłaszcza ich odłożenie jest stosunkowo bardzo łatwe i może wywołać poważny wstrząs. Od roku 1965 zaczną zakładać nowe rodziny bardzo liczne roczniki młodzieży urodzonej w latach powojennych. Wywołać to musi bardzo silne ożywienie ruchu budowlanego i zwiększyć zapotrzebowanie na dobra trwałego spo życia. Gospodarka amerykańska nastawiona jest jednak przed tem i potem na stały wzrost konsumpcji na głowę ludności Wprawdzie wydaje się niekiedy, że zdolność podnoszenia stopy życiowej jest nieograniczona, ale trudno zaprzeczyć, że rozwó gospodarczy oparty na wzroście spożycia coraz bardziej luksusowego jest zagrożony brakiem stałości. I ten problem może być załatwiony przez przesunięcie (drogą opodatkowania) siły nabywczej z dziedziny wydatków luksusowych do dziedziny wydatków społecznych, w których Ameryka ma poważne braki (szkolnictwo, urządzenie miast itp.).

Big Business

Skala amerykańska jest inna od europejskiej. Nawet przyroda na tym kontynencie wydaje się potężniejsza. Wysokość gór, rozległość prerii, szerokość rzek, siła wiatrów i innych klęsk elementarnych jest na miarę kontynentu.

Gdy w Ameryce mówi się *big business* to ma się na myśl przedsiębiorstwa-olbrzymy. Przeciwstawia się im niekiedy jako przedsiębiorstwa ,,niezależne'' jednostki gospodarcze, które w innych częściach świata uchodziłyby za bardzo duże.

Powyżej wskazaliśmy na warunki, w jakich w końcu XIX w. nastąpiła koncentracja przedsiębiorstw amerykańskich. Jakkolwiek ustawodawstwo nie pozwala, aby proces ten postępował w sposób nieograniczony, ale nie może przeszkodzić aby, duże towarzystwo wzrastało szybciej niż małe drogą samofinansowania ekspansji, dywersyfikacji produkcji itd. Czynnikiem, który dodatkowo sprzyja szybkiemu wzrostowi dużych towarzystw w XX w. jest coraz większa suma wydatków na badania naukowe i technologiczne, potrzebnych aby przedsiębiorstwo wzrastało. Wprawdzie w teorii, a także niekiedy w praktyce, nowy wynalazek rewolucjonizujący daną gałęź produkcji może być rezultatem pracy małej firmy lub pojedynczego człowieka i stać się zalążkiem nowego przedsiębiorstwa, ale koszty i ryzyko związane z tego rodzaju pracami są w praktyce łatwiej ponoszone przez duże i zasobne towarzystwa.

Koncentracja nie oznacza jednak zaniku średnich i małych przedsiębiorstw. Przeciwnie — liczba ich rośnie. Część ich pozostaje w zależności od dużych przedsiębiorstw jako jego dostawcy lub odbiorcy, część jest zupełnie niezależna, ale nie ulega wątpliwości, że całe życie gospodarcze kraju pozostaje pod

ilnym pośrednim wpływem kilkuset największych towarzystw ierowanych przez grupę nie liczniejszą niż parę tysięcy osób.

Koncentracja dyspozycji gospodarczej w ręku grupy politycznie nieodpowiedzialnej stanowi oczywiście niebezpieczeństwo la ustroju demokratycznego. W praktyce ostatnich lat kilkuziesięciu wpływy wielkiego *business*'u zostały w dużej części, eżeli nie ograniczone, to zrównoważone, przez politykę potężych związków zawodowych, których metody działania, a nawet asoby finansowe są podobne. W ten sposób powstał i w yciu gospodarczym system równowagi (*check and balance*), ak zwykle chwiejny i działający często bez oglądania się na nteres ogółu. Nie ulega wątpliwości, że *big business* razem potężnymi związkami zawodowymi potrafił w niektórych gałęiach przewłaszczyć znaczną część dochodu społecznego z rzywdą grup słabszych politycznie i gospodarczo.

Ustawodawstwo antytrustowe potrafiło nie dopuścić do owstania monopoli, ale szereg gałęzi życia gospodarczego jest panowanych przez oligopole (przemysł stalowy, samochodowy, aftowy, chemiczny, tytoniowy). Pozostaje pytanie czy w tych varunkach kapitalizm amerykański może być uznany, za taki, a jaki się podaje, tj. za system konkurencyjny (*competitive*) ıb wolno-rynkowy (*price system*). Niewątpliwie istnienie oligooli bardzo ograniczyło konkurencję, a mechanizm wielu cen ie ulega działaniu sił rynkowych. Znaczna część ich jest stalana administracyjnie i to nie tylko w dziedzinie przedsięiorstw użyteczności publicznej lub rolnictwa, gdzie regulują czynniki publiczne, ale także w dziedzinie przemysłu opanoanego przez oligopole. Wydaje się jednak, że brak elastycznośći cen zaobserwowany w okresie wysokiej koniunktury owojennej nie jest czynnikiem stałym. I tak np. w okresie ecesji i nadprodukcji w latach 1958-59 ceny artykułów naftoych ulegały bardzo silnym wahaniom pomimo wysokiej konentracji w tym przemyśle. W tych dziedzinach, w których ceny rzemysłowe są administrowane (np. w samochodach) ostra onkurencja w handlu prowadzi niekiedy do znacznych zniżek osztem marży zysku dystrybutora. System cen przestał zupełnie dgrywać rolę w sprzedaży artykułów, którymi rynek jest nasyony. Nawet w razie obniżenia do połowy ceny papierosów lub ydła Amerykanie nie byliby w stanie skonsumować ich więj. W tych gałęziach konkurencja przedsiębiorstw o możliwie ajwiększy udział nieelastycznego rynku ogranicza się do relamy, wymyślania coraz nowych gatunków, rodzajów opakoania itp. Wydatki na ten cel wynoszą znacznie więcej niż suowiec włącznie z jego przeróbką i zyskiem przedsiębiorcy stanowią niewątpliwe marnotrawstwo. Podobna sytuacja anuje w wielu działach przemysłu spożywczego, a przyczyną jej st przesycenie rynku i konieczność wywoływania zapotrzeboania środkami sztucznymi. Oczywiście ceny administrowane rzez oligopole nie mogą być ustalane zupełnie arbitralnie dzięki onkurencji artykułów zastępczych (np. aluminium w stosunku

do niektórych zastosowań stali lub nowe włókna syntetyczne w stosunku do starych) lub dzięki konkurencji artykułów importowanych. W sumie obecny kapitalizm amerykański nie jest na pewno systemem wolno rynkowym, ale zachował znaczną część cech systemu konkurencyjnego.

Big business uległ z biegiem czasu znacznej ewolucji wewnętrznej. Akcje przedsiębiorstw przechodzą z rąk stosunkowo nielicznych założycieli (lub ich potomków) w ręce coraz liczniejszych drobnych akcjonariuszy. Proces ten postępuje regularnie, gdyż z jednej strony wysoki podatek spadkowy prowadzi do okresowej przymusowej likwidacji dużych pakietów akcyj, należących do osób bardzo bogatych, z drugiej — coraz wyższy poziom dochodów pozwala coraz nowym warstwom ludności na oszczędzanie i lokatę w akcjach. Prawie 13 milionów Amerykanów posiada akcje na własne nazwisko, a prawie każdy mieszkaniec kraju jest akcjonariuszem pośrednio, gdyż towarzystwa ubezpieczeniowe i fundusze pensyjne lokują część swoich kapitałów w akcjach.

Znaczne udziały wielu dużych przedsiębiorstw pozostają nadal w rękach ich założycieli lub spadkobierców, ale udział tych osób w zarządzie towarzystw jest coraz mniejszy, a w większości zupełnie nie istnieje. Dyspozycja przeszła w ręce klasy manadżerów. Fakt administrowania największych przedsiębiorstw przez osoby, których udział w kapitale firmy jest nieznaczny musiał wywrzeć duży wpływ na charakter tych przedsiębiorstw. Utraciły one cechy indywidualne, a stają się coraz bardziej ,,instytucjami''. Z nielicznymi wyjątkami, przedsiębiorstw, których kierunek pozostaje pod silnym wpływem jednego człowieka, administracja wielkiego *business*'u posługuje się aparatem wieloosobowych komitetów. Klasa manadżerów nie jest bezpośrednio zainteresowana w wysokości zysku i dywidendzie przedsiębiorstwa (system tantiemy dla członków rady nie istnieje w Ameryce). Być może temu przypisać można choć w części, że wielki *business* podkreśla coraz mocniej rolę usługi (*service*) jaką oddaje społeczeństwu. Idea ta nie jest tylko wymysłem propagandowym, lecz ma swoje korzenie w starej etyce protestanckiej, podobnie jak i pojęcie powiernictwa (*trusteeship*) w zarządzaniu majątkiem. Nawet w okresie najbardziej wybujałego kapitalizmu bywały jednostki, które w ten sposób traktowały zdobyty przez siebie majątek i w całości zapisywały go na cele społeczne.

Z wszystkich nazw nadawanych współczesnemu kapitalizmowi amerykańskiemu definicja, że jest to system oparty na rentowności (*profit system*) najbardziej odpowiada rzeczywistości. Rentowność pozostaje jedynym sprawdzianem sprawności gospodarczej, i choć nie było od szeregu lat wypadku bankructwa bardzo dużego towarzystwa, ale bywały wypadki usunięcia dyrekcji gdy wyniki finansowe przedsiębiorstwa były gorsze niż jego konkurentów. Tak zatem nawet oligopole nie uchyliły się od sankcji rynku.

Fakt istnienia ogromnego przedsiębiorstwa stwarza sam w sobie szereg problemów. Weźmy dla przykładu największe z nich: General Motors Corporation. Towarzystwo to miało w 1959 roku przeszło 11 miliardów dolarów obrotu, wypłaciło z górą 3 miliardy dolarów zarobków swoim 557.000 robotnikom i miało 873 milionów dolarów czystego zysku (po zapłaceniu 919 milionów podatku dochodowego), z których wypłaciło 575 milionów dywidendy swoim 786,000 akcjonariuszom. Jest ono zaangażowane w różnych działach produkcji (od lodówek do lokomotywy), ale ogromna większość jego zysków pochodzi ze sprzedaży samochodów na rynku krajowym. W ostatnich latach rynek ten jest obsługiwany w 45 do 49% przez General Motors, w 28 do 32% przez Forda, w 14 do 19% przez Chryslera, a w 5 do 10% przez dwóch mniejszych producentów amerykańskich i przez import. Nie ulega wątpliwości, że General Motors mogłaby obniżyć ceny samochodów i wyeliminować w ten sposób przynajmniej obu mniejszych producentów. Jeżeli tego nie robi, to również i dlatego, że byłaby oskarżona o dążenie do monopolu i zmuszona do podziału na kilka mniejszych przedsiębiorstw. Ta groźba wisi i bez tego stale nad General Motors. Zarząd firmy musi poza tym baczyć, aby centralizacja nie zabiła ducha inicjatywy przedsiębiorstwa. Stąd, praktykowana także w wielu innych dużych firmach, metoda rozbijania organizacji na szereg działów i zachęta materialna dla ich kierowników, aby ze sobą konkurowali. Tak np. poszczególne marki samochodów General Motors są fabrykowane w autonomicznych ,,dywizjach'' i konkurują na rynku pomiędzy sobą.

Problemy administracji przedsiębiorstwa, które zatrudnia setki tysięcy ludzi i którego obroty są większe od dochodu narodowego niejednego kraju europejskiego, są zbliżone do problemów każdej administracji publicznej. Stąd spotykana często biurokratyzacja *big business*'u, brak odwagi pobrania trudnej decyzji przez kierownictwo itd. Jak długo jednak działa, choć niedoskonale, sankcja rynku, a rezultaty finansowe znajdują odbicie w kursie akcji, manadżerowie nie są nieusuwalnymi dygnitarzami.

Zakończenie

Gospodarczy ustrój amerykański nie przejawia cech schyłkowych lecz wykazuje dużą zdolność do przystosowywania się do wymagań wieku.

Ustrój ten nie odpowiada pojęciu modelu wolno rynkowego gdyż znaczny zakres cen jest wyjęty spod działania praw podaży i popytu. Dotyczy to wszystkich ważniejszych artykułów rolnych, których ceny podtrzymywane są przez rozmaite formy interwencji włącznie ze zdejmowaniem przez państwo nadwyżek z rynku i eksportowaniem ich ze stratą, a także dużej części cen

przemysłowych administrowanych przez oligopole. Płace i warunki pracy są w znacznej części regulowane ustawowo i przez umowy zbiorowe, zawierane przez silne związki zawodowe. Duże przedsiębiorstwa nabrały cech instytucji, ale, pomimo tych wszystkich ograniczeń, gospodarka zachowała cechy ustroju konkurencyjnego. Podstawą filozofii gospodarczej jest zysk (*profit system*). Własność wszystkich środków produkcji pozostaje w rękach prywatnych, przy czym tytuł własności największych przedsiębiorstw staje się coraz bardziej powszechny, drogą nabywania akcji przez coraz szersze grupy ludności. Pozostawiając tytuł własności obywatelom rząd federalny zabiera 52 % dochodów towarzystw, a dywidendę wypłacaną z pozostałej części opodatkowuje po raz drugi według progresywnej stawki w ręku akcjonariusza. Po uwzględnieniu innych podatków federalnych oraz podatków lokalnych (miejskich) i stanowych udział czynników publicznych w dochodach osób fizycznych i prawnych jest oczywiście jeszcze większy.

Oparcie budżetu federalnego na wpływach z podatku dochodowego uruchamia prawie automatycznie politykę pieniężno-kredytową i działa regulująco na przebieg koniunktury gospodarczej. Polityka podatkowa i polityka pieniężno-kredytowa stanowią w ręku czynników publicznych instrumenty regulowania życia gospodarczego, a pierwsza z nich wpływa bezpośrednio na podział dochodu społecznego.

Nie ulega wątpliwości, że ustrój amerykański odbiegł daleko od tych pojęć jakie zwykło się łączyć z prywatnym kapitalizmem. O wartości ustroju stanowi nie jego zgodność z teoretycznym modelem, ale jego praktyczne działanie.

Jeżeli za cel polityki gospodarczej uznamy — z czym zgodzą się zapewne z grubsza wyznawcy różnych systemów gospodarczo-politycznych — podnoszenie dochodu społecznego przez najbardziej ekonomiczne wyzyskiwanie środków produkcji stojących do dyspozycji danego kraju, to funkcjonowanie ustroju amerykańskiego w ostatnich dwudziestu latach zasłużyło na bardzo korzystną ocenę. Toteż nie ulega wątpliwości, że system ten odpowiada ogromnej większości bezpośrednio zainteresowanych, tj. obywatelom Stanów Zjednoczonych. Nie wyklucza to oczywiście krytyki i starań o reformy, ale bez kwestionowania podstaw ustroju. Wspomnienia Wielkiej Depresji są ciągle jeszcze żywe w starszym pokoleniu, ale dwadzieścia lat nieprzerwanego postępu gospodarczego przywróciło społeczeństwu wiarę w ustrój.

Gospodarkę amerykańską cechuje w dalszym ciągu silny dynamizm i zdolność dostosowania się do zmienionych warunków. Wewnątrz granic mają miejsce wielomilionowe migracje ludności, zwłaszcza ze wschodu na zachód. Stany położone nad Oceanem Spokojnym wykazują w ostatnich latach największy wzrost ludności i uprzymysłowienia. Kapitał posiada wysoki stopień ruchliwości w przesuwaniu się do nakładów najbardziej opłacalnych. Nierzadkie są wypadki, że towarzystwo zmienia

kompletnie swój charakter przez rozwinięcie nowej dziedziny produkcji i zarzucenie starej. Oczywiście zdolność przesuwania kapitału do najbardziej rentownych kombinacji produkcyjnych nie jest doskonała, choćby wskutek istnienia oligopoli, ale one rozwijają często nowe działy zupełnie nie związane z ich starym zakresem działania. Obok tego istnieją gałęzie wykazujące cechy upadku. Przykładem: koleje, które cierpią nie tylko wskutek konkurencji nowszych środków transportu i przestarzałych ram ustawowych dla swej działalności, ale także wskutek złej administracji własnej i związków zawodowych. Z drugiej strony kopalnictwo węglowe, ciężko dotknięte konkurencją innych paliw, pozostało gałęzią zdrową gospodarczo dzięki dobremu kierownictwu i znakomitej polityce związku zawodowego.

Faktem czasami bardzo niepokojącym obserwatorów zagranicznych jest brak w Stanach Zjednoczonych kierunku politycznego, który by stawiał sobie cel zmianę ustroju gospodarczego oraz brak walki klas w sensie europejskim. Pogląd taki polega w dużej mierze na nieporozumieniu bo w ramach systemu amerykańskiego trwa bez przerwy ostra walka między zorganizowanymi grupami. Poszczególne działy przemysłu, związki zawodowe i związki farmerów bronią interesów swoich członków za pośrednictwem specjalnych *lobbyist* czyli przedstawicieli zarejestrowanych i ,,akredytowanych'' przy kongresie. Zabiegi ich, popierane głosami w czasie wyborów, bywają bardzo skuteczne. Warto dodać, że na układ sił bardzo duży wpływ wywiera podział okręgów wyborczych, który od szeregu lat faworyzuje okręgi rolnicze słabiej zaludnione na niekorzyść wielokrotnie ludniejszych okręgów miejskich. Tym się tłumaczy, że stosunkowo nieliczna klasa farmerska potrafiła przeprowadzić ustawodawstwo, w którego wyniku wewnętrzne ceny artykułów rolnych są utrzymywane na bardzo wysokim poziomie a rząd zgromadził zapasy wartości przeszło 8 miliardów dolarów, których koszt samego magazynowania kosztuje podatników 1 i pół miliona dolarów dziennie. Podstawą filozofii zarówno związków zawodowych jak i przedsiębiorców jest zasada wolnego przetargu warunków umowy zbiorowej bez obecności, nie mówiąc o wpływie, przedstawicieli rządu. Zasada ta odpowiada także politykom bo zwalnia ich od konieczności zajęcia wyraźnego stanowiska, które może być niepopularne wśród wyborców. W praktyce prowadzi to zwykle do tego, że po podwyżce płac następuje zwyżka cen administrowanych, bez oglądania się na ewentualną szkodę dla całości gospodarstwa lub grup słabiej zorganizowanych. Gdy rokowania zawodzą, dochodzi do strajku, który zależnie od zasięgu i trwałości miewa czasami bardzo poważne skutki dla całego życia gospodarczego. Do porozumienia dochodzi w takim wypadku raczej pod wpływem nacisku opinii publicznej niż rządu, który w praktyce unika stosowania nawet tych środków nacisku na przemysł i związki zawodowe jakie mu przysługują ustawowo.

Przyszłość stawia przed gospodarczym ustrojem amerykańskim znaczne wymagania. Według obliczeń *Rockefeller Brothers Fund* czynniki publiczne zakupiły w 1957 dóbr i usług za 86,4 miliardów dolarów (w sumie tej nie figurują „przekazy" takie jak renty starcze, oprocentowanie długu publicznego itp.). Uwzględniając dalszy wyścig zbrojeń, dużą pomoc dla krajów gospodarczo zacofanych oraz zwiększone wydatki na badania naukowe, szkolnictwo na wszystkich szczeblach, roboty publiczne, budowę dróg, przebudowę miast itd. wydatki publiczne powinny w 1967 osiągnąć 153 miliardów dolarów. Powstaje pytanie czy taki wzrost wydatków państwowych nie musi wywołać rewolucyjnych zmian w ustroju gospodarczym prowadząc do jego częściowej etatyzacji lub zwolnienia, jeżeli nie zahamowania, wzrostu stopy życiowej. Odpowiedź zależy od tempa wzrostu gospodarczego w najbliższych latach. W 1957 zakupy czynników publicznych stanowiły 20% sumy dóbr i usług brutto, a 80% pozostawało w wolnej dyspozycji obywateli. Jeżeli, według tych samych obliczeń, dochód narodowy brutto będzie rósł 4% to w 1967 76% pozostanie do prywatnej konsumpcji. Gdyby wzrost wynosił 5% rocznie to 78% pozostanie do prywatnej konsumpcji gdyby wzrost wynosił 5% rocznie to 78% dochodu pozostanie w dyspozycji obywateli, a konsumpcja ich będzie rosła 2,8% rocznie.

Podniesienie stopy wzrostu dochodu narodowego i konsumpcji do takiego poziomu będzie wymagało zwiększenia dynamizmu gospodarki, bo dochód narodowy wzrastał w latach 1947-1953 4,7% rocznie a 2,3% w latach następnych. Konsumpcja prywatna wzrastała w całym tym okresie średnio 2% rocznie. (Wszystkie te obliczenia oparte są na dolarze o stałej sile nabywczej). Osiągnięcie tych ambitnych celów, choć nie łatwe politycznie, leży niewątpliwie w możliwościach kapitalizmu amerykańskiego.

Tadeusz SOŁOWIJ

Kartki z podróży do ZSSR (dok.)

Moskwa

Po Kiszyniowie przychodzi Moskwa, olbrzymie kompleksy nowowybudowanych bloków mieszkalnych na przedmieściach i starsza zabudowa centrum. Zanim wchodzę do jednego z najelegantszych hoteli, przeznaczonego dla naszej wycieczki, dostrzegam jak sprawnie i szybko uprząta się śnieg z ulic. Ołbrzymie zwały znikają w mgnieniu oka przy pomocy różnych mechanicznych sprzątaczek, zainstalowanych na samochodach. Robotnicy pracują przy uprzątaniu szybko. Rzecz dla oka Polaka niezwykła. W Warszawie śnieg długo leży teraz na ulicach.

Nasz hotel nazywa się ,,Metropol''. Stąd tylko dwa kroki do ,,Bolszowo tieatra'', na ulicę Gorkiego i do centralnych obiektów miasta. Zima spowijająca całunami śniegu ulice i budynki nie pozwala dostrzec wielu, być może niebrzydkich szczegółów urbanistycznych. To jednak co udaje się zobaczyć może zaimponować tylko człowiekowi, który nigdy nie wyjeżdżał poza granice Polski. W porównaniu z wielkimi metropoliami Zachodu Moskwa w zbyt wielu jeszcze miejscach przypomina wielką wieś, aby wrażenie to mogły zatuszować pseudodekoracyjne kolosy sowieckich półdrapaczy chmur, zaprojektowanych identycznie jak warszawski Pałac Kultury i Nauki. Trafnie wyraził się o nim pewien francuski inżynier w czasie zjazdu architektów. Zapytany co sądzi o tej architekturze, odparł: ,,nie umiem odpowiedzieć, nie znam się na wyrobach cukierniczych''.

Chętniej oglądam w Moskwie to, co zbudowano pod ziemią niż na ziemi. Metro moskiewskie jest rzeczywiście imponujące. Kryształy, marmury i ceramika podziemnych stacji przenoszą

turystę poniekąd w jakiś inny świat. Czystość i porządek są tam nienaganne. Warto to zobaczyć, ta rzecz się Rosjanom udała. Lecz wróćmy na ziemię.

Kto z czego żyje

Jako się rzekło, wielu turystów polskich przyjechało dla zarobku i natychmiast po zakwaterowaniu w hotelu, nie zwracając uwagi na żadne *dostoprimieczatelnosti,* udali się na rekonesans do GUM-u (*Gławnyj Uniwersalnyj Magazin*), słynącego z najlepszego zaopatrzenia w Moskwie. Oto ich uwagi. Bardzo często nie można w GUM-ie, ani w innych *uniwermagach* w ogóle kupić upatrzonego telewizora lub innego wartościowego przedmiotu. Mimo szczególnie troskliwego zaopatrzenia w *lukstowary,* jakim odróżnia się od wszystkich innych miast stolica ZSSR, i tam zdarza się często, że nie można kupić czegoś lepszego inaczej jak za pomocą łapówki. Należy to widocznie do jednego z sposobów podreperowywania skąpych pensyjek sprzedawców w całym aparacie rosyjskiego handlu detalicznego. Okazuje się, że nie ma w Sowietach sprzedawcy, który by nie znał ,,systemu'' zatrzymywania pod ladą intratnych przedmiotów i sprzedawania ich pokątnie za cenę wyższą od nominalnej. Miesięczny plan sprzedaży poszczególnych artykułów, wyznaczony przez wyższe instancje handlowe, ma teoretycznie służyć polepszeniu starań załogi sklepu państwowego w trosce o zaopatrzenie i obrót. Często jednak, jeśli idzie o artykuły w danym momencie deficytowe, stanowi w praktyce zwykłe ograniczenie ich dystrybucji, uzależnione nie tylko od niskiej nadal produkcji. Podstawą dostarczania towarów do sklepów detalicznych są rozdzielniki, zgodnie z którymi ,,baza'', tzn. hurtownia, rozsyła dany ,,asortyment'' do państwowych sklepów w całym mieście. Rzecz jasna, baza pozostawia sobie także pewną część towarów deficytowych do cichej sprzedaży spekulanckiej. Metoda ta cechuje nie tylko cały od góry do dołu aparat handlowy Kraju Rad. Stosują ją też wszystkie ogniwa produkcji, jeśli tylko w jakimkolwiek miejscu pojawi się szczelina między podażą a popytem.

O sprawach tych wiedzą doskonale polscy turyści i przy odrobinie starań można było się dowiedzieć nawet w Warszawie zarówno o tym, czy sowieckie władze celne zezwalają w danym momencie na przywiezienie z ZSSR np. telewizora, jak i o tym ile trzeba wsunąć w łapę sprzedawcy, aby nabyć go w Moskwie w tym okresie, kiedy telewizorów akurat nie ma w otwartej sprzedaży. Taksy łapówek są na ogół ustalone. Mając odpowiednie znajomości można te transakcje także załatwić bezpośrednio w bazie.

To podwójne życie handlu i produkcji w ZSSR jest zjawiskiem, z którym chyba wszyscy tam dawno już się pogodzili. Oczywiście istnieją różne ograniczenia i kontrole mające słu-

żyć zwalczaniu spekulacji. Niczego to jednak nie zmieniło. Wydaje się, że to ogromne ,,podziemie kapitalistyczne'' w systemie komunistycznym jest znacznie silniejsze niż podziemie komunistyczne gdziekolwiek w systemie kapitalistycznym.

Tą samą dwulicowością zaraził się także państwowy handel wewnętrzny w Polsce i chyba w innych demokracjach ludowych. Opis wtórnych zjawisk, wywołanych przez ten fakt, nie należy do poruszanego przeze mnie tematu, ale trzeba koniecznie zwrócić przy okazji uwagę na to, że wobec wpływu jaki posiada handel na charakter społeczny narodu, ta dwulicowość stanowi jeden z poważnych czynników deprawacji społeczeństwa polskiego. Nie może chyba dobrze się dziać tam, gdzie nieuczciwość jest usankcjonowana przez akty państwowe, a tę rolę spełniają przecież także (oprócz roli pozytywnej) narodowe plany gospodarki socjalistycznej.

Analizowanie plusów i minusów gospodarki planowej od strony czysto ekonomicznej jest ponad siły autora, jeśli jednak przez chwilę zatrzymałem się nad jej aspektem ,,ludzkim'', to w tym celu, aby podzielić się z czytelnikiem wrażeniem, że w obecnej postaci rodzi ona — parafrazując Lenina — co dzień, co godzina, co minuta złodziejstwo, spekulację i zagmatwania. Aspektu tego nie udało się Rosjanom zlikwidować do dziś, mimo że właśnie rozwiązują takie problemy jak podróż na księżyc.

Prasa, księgarnie i rozmowa z milionerem

Krótki spacer po ulicach Moskwy pozwolił jeszcze zapoznać się z nowościami wydawniczymi i prasą sowiecką. O prasie tej wypisano już wiele atramentu i wiele z dawnych spostrzeżeń jest już dziś może mniej aktualnych od czasu kiedy zięć Chruszczowa, Adżubej, po powrocie z USA i objęciu redakcji ,,Komsomolskiej Prawdy'' a później ,,Izwiestii'', wprowadził pewną modernizację tych gazet. Mimo to nadal chyba jest aktualna stara anegdota, że w ,,Prawdzie'' nie ma *izwiestii* (wiadomości), a w ,,Izwiestiach'' — prawdy. Nie trzeba wiele spostrzegawczości, aby po przejrzeniu kilku różnych sowieckich gazet codziennych zorientować się, że jest to właściwie jedna standartowa gazeta, obowiązująca na terenie całych Sowietów, z tym że na części papieru poszczególne okręgi kraju, czy poszczególne piony zawodowe, maja prawo drukować materiały lokalne lub zawodowe, i to też tak spreparowane, żeby całość była utrzymana w jak najbardziej patetycznym i fałszywym duchu. Gazety te tchną nieprawdopodobną nudą, która bije już z samego wyglądu zewnętrznego. Łamanie szpalt nie ma właściwie nic wspólnego z zadaniem zaciekawienia czytelnika. Toteż przeciętny obywatel z trudem brnie przez tekst. Państwowotwórcze reportaże z kołchozowych obór i fabryk makaronu, zapełniające całe płachty pod wielkimi tytułami: ,,Naprzód do

zwycięstwa komunizmu'' lub ,,Wykonamy i przekroczymy zadania któregoś tam plenum CK KPZR'' — mało kto teraz czyta. Ogólnie jednak biorąc Rosjanie są dobrymi czytelnikami. Zdaje się, że to zasługa ogromnej propagandy czytania. Tą drogą oczywiście wsącza się w umysły ludności także i to co się chce, jako że słowo drukowane ma magiczną siłę budzenia zaufania do siebie i trudno przeciętnemu człowiekowi nie uwierzyć chociaż w część tego co czyta, zwłaszcza jeśli argumenty są umiejętnie spreparowane.

Największy jednak popyt istnieje na książki, a wśród nich na dzieła klasyków, zwłaszcza tłumaczenia zagraniczne. Tych rzeczy w księgarniach na ogół dostać nie można, chociaż zawalone są one tysiącami produkcyjniaków i innej sztampowej literatury. Słyszało się o tym, że Rosjanie przebywający w Polsce kupowali o wiele łatwiej dobre rosyjskie książki, niż w kraju. Bez kolejki można tam tylko dostać dzieła Lenina-Stalina. Na wiele tłumaczeń lub oryginałów można czekać bardzo długo, a przeważnie udaje się je zakupić tylko w subskrypcji. Świadczy to więc o dużym głodzie dobrej książki oraz o tym, że i w dziedzinie pozornie tak neutralnej jak sprzedaż książek można się spodziewać nadużyć wskutek istnienia dysproporcji między podażą i popytem. I rzeczywiście udało mi się sprawdzić, że i tu istnieje handel pod ladą. No bo jakże inaczej. Pensja ekspedienta księgarni na życie nie wystarczy. Kierownicy zaś są stale w kolizji z prawem. To tu, to tam, wykrywa się stale jakieś afery.

Nie dziwię się więc pewnemu pracownikowi handlu sowieckiego który powiedział mi: ,,słuchajcie, ja mam milion rubli w kamieniach, złocie i dolarach. Mieszkam w Moskwie, pieniądze trzymam u krewnych w Świerdłowsku i Kijowie. Kiedy chcieliśmy sobie z żoną zrobić przyzwoite fotografie, ubrani w swoje najlepsze futra, to powstrzymaliśmy się od tego tu na miejscu i zaczekaliśmy do czasu wizyty w Świerdłowsku, gdzie jesteśmy nieznani, bo obawialiśmy się donosu, zarzucającego nam noszenie zbyt drogiej odzieży (rozmówca był przewrażliwiony — oglądałem to zdjęcie). Donosu i prokuratury obawiam się każdego dnia i miałem już z nimi do czynienia. Daję wam słowo, że oddałbym wszystko co mam, żeby tylko móc się stąd wydostać!'' — Nie wątpię, że człowiek ten grubo przesadzał i, jeśli znane mi są tajniki takiej duszy ludzkiej, to gdyby doszło do momentu realizacji jego marzeń, żałowałby każdej kopiejki na ten cel, lecz *relata refero.*

Młodzież

Dla odmiany kilka słów o kształceniu młodzieży.

O standartowym, upolitycznionym do granic wytrzymałości programie szkoły średniej, nie warto mówić. Sprawa ta znana jest już od dawna. Pierwsze słowa jakie słyszało dziecko już

w przedszkolu, to Lenin i Stalin. Pierwsze dzieła ,,sztuki'', jakie jeszcze dziś ogląda, to obrazy i rzeźby przedstawiające Lenina i Stalina. Pod tym względem nic się w szkołach sowieckich nie zmieniło. Popiersia Stalina stoją nadal na swoich miejscach. Tylko w Polsce zostały usunięte. W przedszkolach sowieckich bodaj do dziś jeszcze po jedzeniu dzieci muszą mówić przed wstaniem od stołu *spasibo partii* tak, jakby odmawiały modlitwę dziękczynną za dary natury.

Nauka przedmiotów ścisłych i biologii jest tak dalece poddana wpływom linii politycznej, że przekracza to wszelkie normy przyzwoitości. Dzisiaj, być może, nie odczuwa się tego już tak silnie jak dawniej, przed kilku laty, jednak nadal istnieje nacisk na ukrycie osiągnięć nauki zachodniej i wydobycie na pierwsze miejsce najmniejszych, a często nie istniejących w danej dziedzinie tradycji wielkorosyjskich.

Cały program szkoły średniej przepojony jest *politinformacjami* i *fizkultpodgotowką* o wojskowym charakterze. Ostatnio — jak wiadomo — aktualne się stało zagadnienie tzw. politechnizacji programu nauczania, polegające między innymi na zwiększeniu ilości godzin zajęć praktycznych i kierowaniu uczniów szkół średnich na praktyki w warsztatach mechanicznych przed studiami wyższymi. Jednak zaganianie do pracy nie wszystkim uczniom się podoba. Szukają sposobów ominięcia tej przeszkody. Większość pragnie dostać się od razu na wyższe studia. Lecz staje się to przecież praktycznie coraz bardziej niewykonalne. W każdym kraju istnieją jakieś granice wchłanialności pracowników z wyższym wykształceniem. Władze stwarzają więc bariery między szkołą średnią a wyższą, a kandydaci i ich rodzice używają różnych chwytów ,,niedozwolonych'' byle tylko umieścić dzieci na uniwersytecie. Tym bardziej, że wybawia to młodego adepta nauki od służby wojskowej, dziewczętom zaś (rzecz jasna mniejszości) daje możność zrobienia lepszej kariery osobistej. Nie darmo złośliwa plotka przekształciła skrót ,,WUZ'' (*wyższeje uczebnoje zawiedienie*) na ,,*w*yjti *u*spieszno *z*amuż'' (wyjść za mąż z powodzeniem).

Zostawmy jednak żarty na boku. Olbrzymi zalew sowieckich wyższych zakładów naukowych zmusił władze do zastosowania w ostatnich czasach szeregu utrudnień, mających na celu selekcję materiału ludzkiego, lecz stojących zarazem w sprzeczności z zbyt szczodrą konstytucją sowiecką, która reklamuje na cały świat prawo każdego obywatela sowieckiego do bezpłatnej nauki. Jak ta zasada wygląda w praktyce. Otóż ostatnio przyjmuje się do wyższych zakładów naukowych tylko albo tzw. medalistów, albo kandydatów, którzy przeszli egzaminy konkursowe. Największy nacisk kładzie się na medalistów, tzn. uczniów, którzy ukończyli szkołę średnią z odznaczeniem (medalem). Ci uzyskują prawo wstępu na uniwersytet, instytut czy politechnikę bez egzaminu. Nie idzie to jednak tak prosto jakby wynikało z samej zasady. Kandydatura medalisty musi być zatwierdzona niekiedy przez trzy instancje: ,,*rajono*'',

„obłono” i ministerstwo. „Rajono” — *Rajonnyj Oddzieł Narodnowo Obrazowanja.* „Obłono” — *Obłastnoj Oddzieł Narodnowo Obrazowanja.* Nie należy też pomijać faktu, że w aktach kandydata na medalistę musi znajdować się biografia własna ucznia i jego rodziców. W ten sposób dobiera się już w czasie całej nauki w szkole średniej, na podstawie wieloletniej obserwacji politycznej ucznia i jego rodziców, tylko takich kandydatów na wyższe studia, którzy mogą wzbudzić jak najwięcej zaufania politycznego. Rzecz jasna, że później, na uniwersytecie, profesorowie mają czasem trudności z takim politycznie przetransportowanym studentem i dlatego w wielu wyższych zakładach naukowych urządza się dodatkowe tzw. *sobjesiedowanja* wykładowców z niektórymi medalistami. Instytucja ta na ogół nie dotyczy studentów, którzy przeszli konkursowe egzaminy. Jednak aby przejść z powodzeniem przez ten egzamin też trzeba mieć odpowiednią opinię, inaczej może się zdarzyć, że nic nie pomoże najlepszy wynik egzaminu, zwłaszcza iż zdającemu nie pokazuje się „omyłek” jakie „poczynił” w pracy piśmiennej. Musi on wierzyć egzaminatorom na słowo.

Szczególne obostrzenia w doborze kandydatów na studia wyższe datują się mniej więcej od czasu gdy Chruszczow spotkał się kilka lat temu, na Uniwersytecie Łomonosowa czy w Instytucie Medycznym w Moskwie, z nieprzyjemnymi pytaniami w sprawie powstania na Węgrzech. Wiadomo zresztą, że studenci sowieccy, to element najbardziej bodaj wrażliwy na sprawę swobód obywatelskich w Rosji, a więc kryjący największe potencjalnie możliwości objawienia niezadowolenia z poczynań władzy. Wymagają więc oni usilnej pracy „kadrowej”.

Program uniwersytecki jest ciężki i dlatego najłatwiej na ogół mogą przebrnąć przezeń dzieci dobrze ustosunkowanych i usytuowanych pracowników aparatu państwowego. A więc „dobór naturalny” kandydatów na studia zaczyna się niejako już w poprzedniej generacji. Początkowe, udzielane tylko lepiej ustosunkowanym studentom (przynależność do komsomołu, znajomości) stypendium państwowe w wysokości 220 rubli (końcowe = 360 rb.) miesięcznie, absolutnie nie zaspokaja potrzeb. Tym bardziej że opłata roczna za naukę wynosi już 400 rb rocznie. Stosowane dawniej w niektórych zakładach tzw. stypendia stalinowskie, w wysokości około 500 rb, dotyczyły tylko nielicznych wybijających się studentów.

Warunki są więc niełatwe, nawał zajęć zaś nie pozwala na dodatkową pracę zarobkową.

Jakże różnią się od opisanych, warunki stwarzane studentom zagranicznym. Otrzymują oni 800-900 rb. miesięcznie, a więc tyle ile rzeczywiście trzeba na życie w dużym mieście (bez zaopatrywania się w odzież). Zakwaterowani są w komfortowych (w porównaniu ze zwykłymi) bursach! Raz lub dwa do roku (jeśli macierzysty ich kraj nie jest zbyt odległy) otrzymują prawo bezpłatnego przejazdu do domu. Żyją więc świet-

nie. Czego się nie robi dla propagandy. W nawiasach warto dodać, że wysokość ich stypendium odpowiada przeciętnemu zarobkowi początkującego inżyniera lub nauczyciela.

Program nauczania jest bodaj bardziej przeciążony marksizmem (ekonomia, filozofia) niż program szkoły średniej. Nigdy ilość godzin nauki religii na Zachodzie nie dochodziła do takiego szczytu, jak dzieje się to z podstawami marksizmu w sowieckiej szkole średniej i szkole wyższej. Program wyższych studiów w Rosji obliczony jest przeciętnie na 5 lat. Studia medycyny trwają 6 lat. Przez pierwsze dwa lata wykłada się poza innymi przedmiotami podstawy marksizmu-leninizmu. Następne dwa lata ekonomię polityczną, a na piątym kursie ,,diamat'' (materializm dialektyczny). Przeciętnie poświęca się tym przedmiotom (łącznie z *politinformacją*) 20% godzin wykładów. (Inżynierowie i ,,rolnicy'' nie przerabiają zdaje się diamatu na piątym roku). Oczywiście materiał tych przedmiotów zmienia się wraz z aktualnym kursem linii partyjnej. Dlatego trudno o podręczniki, szybko znikające — na rozkaz — z półek księgarskich. Trzeba więc dokładnie notować wykłady, prowadzone przez naukowców i działaczy politycznych, zgodnie z najświeższą linią polityczną. Ludzie ci są wymagający i podczas egzaminów dbają o to, aby odtwarzać treść ich wykładów bez ,,odchyleń''.

Po trzecim kursie nauki w technicznej szkole wyższej zaczyna się w większości zakładów specjalizacja. Dwa razy w ciągu trwania studiów obowiązuje praktyka produkcyjna w fabrykach lub instytucjach naukowych (po 3 miesiące).

Po ukończeniu studiów, młody specjalista z zakresu tzw. deficytowej dziedziny (np. fizyk, chemik) musi wyjechać do pracy na trzy lata do takiego zakładu produkcyjnego, do jakiego otrzyma skierowanie z uczelni. W wypadku odmowy może mu grozić sąd. Zdarza się więc czasami, że pewnego dnia młody inżynier znika z domu, a rodzina nie zna nawet miejsca przeznaczenia tej podróży. Dopiero po pewnym czasie rodzice otrzymują list ze stemplem pocztowym miejscowości, albo nie istniejącej jeszcze wcale na mapie, albo oznaczonej tylko numerem tzw. pocztowego *jaszczyka* (rodzaj poczty polowej). Mogą się więc wtedy rodzice domyśleć, że syn pracuje z dala od świata, w jednym z *naucznych gorodkow,* produkujących jakieś sputniki, lub w fabryce uzbrojenia, albo w jakimś innym zakładzie specjalnego przeznaczenia.

Widać więc w jaki sposób przymusowa gospodarka ludźmi nauki, o których liczne zastępy nie trudno w 200 milionowym kraju, mogła doprowadzić, mimo niezbyt wysokiego przeciętnego poziomu wykształcenia, do takich osiągnięć, jak produkcja nowoczesnych rakiet balistycznych, sputników itd.

Ostatnio wskutek wprowadzenia wspomnianej selekcji w przyjmowaniu kandydatów na studia zarysowuje się możliwość jeszcze szybszego jakościowo rozwoju kadr naukowych. Jednak ograniczenia te nie dotyczą w jednakowym stopniu wszy-

stkich uczelni. Największy odsiew obserwuje się przy egzaminach wstępnych do instytutów medycznych, gdzie ilość kandydatów kilkakrotnie przewyższa ilość wolnych miejsc. Inaczej układają się stosunki na fakultetach historii, literatury i prawa. Wynikają one przede wszystkim z tego faktu, że nie ma już dużego zapotrzebowania na tych specjalistów. Student po ukończeniu nauki na jednym z tych fakultetów nie otrzymuje więc już skierowania do obowiązkowej pracy, a musi sam jej sobie szukać. Etaty prawników i humanistów w różnych instytucjach często się obcina. Nauczycieli historii i literatury jest więcej niż potrzeba i w tej dziedzinie panuje ciche bezrobocie. Ktoś opowiadał mi, że przeważnie w każdym ,,Gorono'' (*gorodskoj otdziel narodnowo obrazowanja*) w europejskiej części ZSSR, zwłaszcza w większych miastach, istniał nadmiar 300-400 nauczycieli tych dyscyplin. Liczba ta jednak wydaje mi się nieco przesadzona. W każdym razie faktem jest, że wielu bezrobotnych historyków i ,,humanistów'' przekwalifikowuje się, obsadza się nimi często niższe stanowiska administracyjne w *Sielsowietach* (gminnych radach narodowych) etc.

Natomiast nauczycieli fizyki, matematyki wciąż jest za mało, a to głównie dlatego chyba, iż tacy specjaliści (a także chemicy) są potrzebni do ciągle powstających nowych i rozbudowujących się starych fabryk, matematycy zaś do biur konstrukcyjnych, projektowych, instytutów itp.

Oczywiście cały poprzednio opisany schemat drogi po wyższe wykształcenie może być, i często bywa, jak wszystkie ustawy sowieckie, omijany. Płaci się olbrzymie łapówki i stosuje się masowo różne *blaty*, aby przeciągnąć dzieci do takich WUZ-ów do jakich rodzice czy synalek mają ochotę. Nawet prasa sowiecka zmuszona była pisać o nadużyciach w tej dziedzinie, oczywiście dla postrachu. Opisywano więc przypadki, kiedy taki to a taki dziekan wziął 10-15 tysięcy rubli za umieszczenie czyjegoś dziecięcia na pierwszym roku studiów. Jednak od takich artykułów nic jeszcze w Rosji się nie poprawiło.

Istnieją *sekretnyje ukazanja* (tajne instrukcje), aby nie przyjmować na studia byłych deportowanych i *politiczeski nieustojczywych* (chwiejnych politycznie). Do tych ostatnich często zaliczano kandydatów, na których istnieją sprawdzone i zmyślone donosy lub tych, którzy utrzymywali jakieś nie podobające się władzom kontakty z zagranicą.

Sprawy duchowe

Hotel Metropol nie wyróżnia się niczym od przeciętnych instytucji tego typu. Jedyne co rzuca się w oczy, to obecność czegoś w rodzaju małej recepcji na każdym piętrze, a nie tylko w hallu na parterze. Różne można snuć domysły na temat przeznaczenia tego urządzenia. Przy stoliku siedzi kobieta w ran-

dze chyba starszej pokojowej. Ta, z którą rozmawiałem, była już typem kobiety bardziej europejskiej, znała angielski i czytała w czasie służby jakąś angielską książkę, wydaną w Rosji.

Sala restauracyjna hotelu urządzona jest, jak na sowieckie warunki, z przepychem. Zresztą nie jest to budynek nowy, chyba pamięta czasy przedrewolucyjne, wnętrza są staromodne. Posiłki, jakie otrzymywali w tej sali uczestnicy wycieczki, były wyjątkowo obfite i zakrapiane. Przedstawiciele ,,Inturistu'' wypili tam na odjezdnym z wycieczkowiczami mnóstwo wódki, wznosząc wiele toastów. Ta wódka jednak pomogła nawiązać arcyciekawą rozmowę z pewnym Rosjaninem, który z goryczą przysłuchiwał się silnie upolitycznionym toastom. Kiedy przysiadłem się do jego stolika popatrzał na mnie nieco podejrzliwie po chwili jednak przestał zważać na wszystko.

,,Jakie to w gruncie rzeczy śmieszne, te toasty, ta propaganda, to ,,wychowywanie'', wtłaczanie osobowości ludzkiej w urojone, wymyślone za biurkami wzory charakterologiczne, które mają być w jakiś magiczny sposób pozbawione wszystkich złych stron natury ludzkiej'' — powiedział nagle.

,,I to już, od razu dziś, na chybcika. Wczoraj socjalizm, jutro komunizm. Świetlana przyszłość, bez ucisku i eksploatącji człowieka przez człowieka, bez państwa, bez prywatnej własności, bez policji. A tymczasem spójrzcie co się dzieje wokoło. Anioły nie ludzie, z każdym rokiem coraz lepsi. A co będzie jutro, jak tylko przegonimy Amerykę, jak tylko zniszczymy imperialistów, którzy nam stoją kością w gardle i przeszkadzają uprzemysławiać, ukołchozawiać, umoralniać nędzarzy i spekulantów, których sami masowo naprodukowaliśmy''.

Machnął z desperacją ręką:

,,I krzyczymy, gardłujemy, agitujemy, a sami nie bardzo wiemy, co się z nami samymi dzieje, co zrobiliśmy z tym narodem, w imię którego dobra tak szumnie walczymy''.

,,Wielu uczciwych i inteligentnych ludzi u nas jest zaślepionych ekskluzywnością swego stanowiska i pozycji społecznej oraz wpływami pracy ideologiczno-wychowawczej prowadzonej intensywnie w ich środowisku. Niczego innego nie widzieli w życiu. Są zwykłymi ludźmi, z właściwą naturze ludzkiej skłonnością do idealizowania, którą tak umiejętnie wykorzystali komuniści w drodze do zdobycia władzy, i którą nadal wykorzystują dla sprawowania rządu dusz''.

,,Właściwie źle się wyraziłem. Idzie tu nie o skłonność do idealizowania, lecz raczej o tkwiącą w każdej bodaj uczciwej jednostce potrzebę posiadania jakiejś konstruktywnej ideologii, którą to rolę u wielu ludzi spełnia religia''.

,,Być może tu właśnie tkwi siła atrakcyjna komunizmu. Odwraca on oblicze Boga, a na jego miejsce ustawia twarz człowieka, odkrywając przed każdym w popularnej formie mechanikę współczesnego życia i nawołując, aby wierzył sam w siebie, bo w nic innego — jak powiada — nie warto. Panem przyrody jest człowiek. Jest to coś nowego, coś zaskakującego.

Lecz dokąd to zaprowadzi istotę, która ma być i człowiekiem i Bogiem w jednej osobie, i która nieopatrznie wchłania w siebie tę niesprawdzoną ideologię".

,,Wystarczy jednak jeśli człowiek ten dojrzy ukryty oręż fałszu, używany przez komunistów wszędzie tam, gdzie ideologia ich odstaje od życia, gdzie popada w sprzeczność z właściwościami natury ludzkiej, gdzie wreszcie przeczy bieżącym wymogom ekonomicznym i wewnętrzno-politycznym narodu. Wtedy przekonuje się o jej antyludzkim charakterze. Bo do komunizmu dochodzi się nie z pobudek dobra, jak do religii, a z pobudek, w których przeważa zło, nienawiść do człowieka — mimo pozornej chęci naprawy tego zła, którego część tkwi jednak w życiu".

Otwieram ze zdumienia szeroko oczy. Co za skojarzenia? Ten człowiek dostrzega mnóstwo problemów. Czy to nie dlatego, że jeszcze może w pamięci porównać rzeczywistość z obrazami przeszłości. A może nie potrzeba wcale niczego pamiętać, a wystarczy po prostu z pewnym obiektywizmem w stosunku do spraw codziennych zagłębić się myślą w to, czym się żyje, aby wszystko świetnie dostrzec. I do jakich praktycznych wniosków takie rozważania powinny doprowadzić mojego interlokutora. Ilu to już zginęło spośród tych, którzy gnani rozpaczą chcieli przebić głową mur. Reszta zaś dostosowała się do rzeczywistości prowadząc podwójne życie, posługując się papierową drabiną, wiodącą przez wszystkie kamienne prawa tego kraju. W socjalistycznym państwie, istnieje przecież cała masa ukrytych obejść, służących do omijania wiech oficjalnego kursu. Któż by się tam przejmował taką drobnostką, że przy okazji giną w obywatelu, zmuszonym do korzystania z nich, resztki godności osobistej, uczciwości i poczucia praworządności.

Takie rzeczy nie mają żadnej wartości w drodze do komunizmu.

Tadeusz SŁABICZ

Henryk Łubieński

Henryk Łubieński urodził się w maju 1901 roku. O sześć lat za późno. Gdyby się urodził w 1895 roku, byłby na pewno, jako młody galicyjski maturzysta czy student (akademik, jak się mówiło w Krakowie) wstąpił do Legionów, i automatycznie oczekiwałaby go między obu wojnami kariera, która stała się udziałem członków tej formacji wojskowej. Ale jako trzynastoletni chłopak nie mógł się dostać do Kadrówki. Dla ludzi pokolenia Łubieńskiego droga do kariery politycznej została sztucznie zamknięta. Pokolenie zaledwie o parę lat starsze zajęło wszystkie stanowisko znacznie przedwcześnie. Do śmierci nie zamierzało się z nikim dzielić monopolem władzy. Stąd dla młodych ludzi, którzy w latach 1926-39 doszli do wieku męskiego i z usposobienia, tradycji rodzinnej, upodobań, wykształcenia — a jednym z nich był właśnie Łubieński — marzyli o karierze politycznej, nie było normalnego ujścia dla normalnych, właściwych ambicyj. Było to pokolenie skazane przez zły los i złe rządy na wegetację, na bezrobocie, na zawody życiowe, na bunt albo malkontenctwo.



Łubieński pochodził z rodziny karmazynów, która, mimo rekordowej ilości biskupów i dwóch interrexów, nie weszła do zamkniętego koła magnaterii. Pewne niuanse, dzisiaj zapomniane i komiczne, dzieliły go od szczytów socjety polskiej. Znacznie bardziej od tych snobistycznych anachronizmów zaciążył na Łubieńskim upadek finansowy całego ziemiaństwa galicyjskiego: klasa ta, wszechwładna do 1914 roku, w ciągu kilku zaledwie lat powojennych zubożała do niepoznania, ofiara zbyt licznej rozrodczości i warunków ekonomicznych, których nie była w stanie zrozumieć. W wypadku Łubieńskiego

doszedł warunek specyficzny i dość niezwykły: oto jego ojciec, Tadeusz Łubieński, właściciel Zassowa pod Dębicą, był, jak się to wówczas mówiło, chłopomanem. Zamiast łączyć się z bracią ziemiańską pod egidą stańczykowskich ekscellencyj, Tadeusz Łubieński zerkał w kierunku ludowców i mandatu poselskiego z ich ramienia: i na starania o ten mandat poświęcił znaczną część znacznej kiedyś fortuny. Lecz człowiek ten, miły i nawet uroczy, nie był tęgą głową polityczną: i obok sympatii do ludu jeszcze silniej u niego grało oddanie sprawie Kościoła. Trudno się temu było dziwić — obok atawizmów trzeba również uwzględnić, że trzy siostry Tadeusza Łubieńskiego wstąpiły do Urszulanek, i jedna z nich bodaj że doszła do wielkich godności w tym Zakonie.

Tak więc Tadeusz Łubieński, ojciec Henryka, stał się wymarzonym narzędziem dla ambicyj tarnowskiego biskupa, księdza Wałęgi. Miał ten biskup jakieś chłopskie porachunki, jak to bywa wśród sąsiadów, z Witosem, i z chłopską zaciętością zaczął go zwalczać, tworząc mu na przekór konkurencję w postaci stronnictwa katolicko-ludowego. Niby to, że Witos był antyklerykałem, co było nieprawdą, że był masonem, co było wierutnym fałszem, że był farmazonem etc. Tadeusz Łubieński finansował ponad stan tę partię katolicko-ludową, która nigdy poza okręg Tarnów-Dębica nie sięgnęła, finansował ją ponad możność i miarę, mamiony mirażem mandatu poselskiego. Mandatu tego nigdy nie zdobył. Ale ta okoliczność wpłynęła na umysłowość jego synów. Henryk, najzdolniejszy z nich, był od kołyski przeznaczony do kariery politycznej, i od młodości marzył o mandacie poselskim. Perypetie ojca wpłynęły równie silnie na takie ukształtowanie się jego ambicyj, jak i tradycje galicyjskie. Marzenia parlamentarne były zawsze słabo zakorzenione w b. zaborze rosyjskim — o pruskim nie mogę mówić, bo znałem go zbyt mało. Ale w Małopolsce, zwłaszcza Zachodniej, były one żywe i autentyczne. Henryk Łubieński wyrósł w tych nastrojach, i poświęcił ambicji polskiej pierwszych dziesięć lat swego aktywnego życia. Dopiero po wyborach 1935 roku z tych ambicyj zrezygnował, zdając sobie sprawę z całej fikcyjności sejmu ozonowego. I, dziwnym trafem, dopiero jego młodszy brat — w jakże odmiennych i nieprzewidzianych warunkach — miał w karykaturalnej epoce i sytuacji zrealizować ambicje poselskie ojca i brata.

Próbuję rysować nie tylko portret przyjaciela, ale jeszcze bardziej epoki. Jak wszyscy, Henryk Łubieński, był dzieckiem swej epoki, w pewnym stopniu także swego środowiska i otoczenia. Jak wszyscy, miał swemu „milieu", wychowaniu, swym antycedensom dużo do zawdzięczenia i niejedno do zarzucenia. Nie chcę koloryzować, ani pisać panegiryku. Uderzała mnie zawsze fragmentaryczność wykształcenia Henryka Łubieńskiego, dziwna u człowieka, który zdał maturę u św. Jacka w Krakowie i uzyskał stopień Dra Praw na U.J. Prawda, że jego studia przypadły na lata wojenne, a studia wyższe na lata

bezpośrednio powojenne. Ale jednak z gimnazjum klasycznego Łubieński nie wyniósł ani gruntownej znajomości łaciny, ani porządnego humanistycznego, czy choćby polonistycznego, podłoża. Stąd, jako publicysta, nawet jako dziennikarz, był nierówny: czasem napisał coś z talentem, czasem najprostsze zdanie wychodziło mu niezgrabnie i chropawo. Podobnie wiedzy prawniczej, mimo tytułu doktorskiego, Łubieński naprawdę nie nabył nigdy. Padł w ten sposób ofiarą szkoły polskiej i polskich uniwersytetów, które i przed wojną nie umiały — a cóż dopiero dzisiaj! — przycisnąć młodzieży do książki, wyżyłować ją jakby wyżymaczką, zmusić do straszliwie wytężonej i systematycznej pracy, jak to czynią po dziś dzień uniwersytety francuskie i niemieckie (angielskie wcale, przynajmniej, jeżeli chodzi o studia nieprzyrodnicze). Prawda też że Łubieński nie był z usposobienia intelektualistą. Wszystko co umiał — a umiał i rozumiał wiele — zawdzięczał raczej szkole życia, jak studiom. Z domu wyniósł dobre wychowanie, gładkość i zręczność w obyciu, gust do polityki i jakiś realizm, wyczucie rzeczywistości, niechęć do abstrakcji, do mędrkowania, do bujania w obłokach, do dogmatyzmu, które to cechy są tak typowe — i tak katastroficzne! — dla naszej inteligencji. Znałem sporo ludzi zdolniejszych od Łubieńskiego: znałem bardzo niewielu, którzy mieli jego dozę zdrowego rozsądku. I obaj Bocheńscy, i obaj Pruszyńscy, i przede wszystkim obaj Mackiewicze górowali zdolnościami nad Łubieńskim: ale wszystkim było niezmiernie daleko do jego trzeźwości. Łubieński wychował się w szkole życia. Nie był to typ książkowca: w rzeczy samej czytał niewiele, właściwie prawie wyłącznie gazety, czasami periodyki, choć miał nieoczekiwaną, a bardzo polską, predylekcję do poezji: Kochał za młodu Tuwima, później był jednym z pierwszych, którzy się zorientowali w wielkim talencie Gałczyńskiego, wreszcie, już po wojnie, był wiernym admiratorem madryckiego przyjaciela, Józefa Łobodowskiego, o którego niestrudzenie kruszył kopię.

Ten relatywny antyintelektualizm sprawiał, że Łubieński nie był człowiekiem ideologii ani fanatykiem partyjnym. Z domu wyniósł patriotyzm i katolicyzm: starszy jego brat zginął w czasie kampanii 1920 r., jego młodszy brat w armii krajowej w r. 1944, on sam walczył jako ochotnik w Małopolsce Wschodniej w ułanach jazłowieckich w latach 1919-1920, i już wówczas, jako gołowąs-maturzysta, dosłużył się Krzyża Walecznych i stopnia porucznika. Był to człowiek fizycznie odważny, choć przezorny: nie lubił się narażać niepotrzebnie, ale nigdy nie widziałem go w najmniejszym stopniu zdenerwowanym, czy to gdy wyruszał na front we Francji, czy w czasie bombardowań w Londynie, czy gdy wyjeżdżał do Berlina w przeddzień wybuchu wojny, czy znowuż gdy wracał do obecnego Berlina, gdzie, w razie awantury, mógł się znaleźć w ciężkiej sytuacji. Ale nigdy nie strugał bohatera. Uważał wojnę czy służbą wojskową czy ryzyko polityczne za normalną część życia, nigdy o swych

przewagach wojskowych nie opowiadał, ani też dla tak zwanego bohaterstwa nigdy nie miał nabożeństwa. Tak samo jego patriotyzm był pozbawiony wszelkich elementów rasizmu, które są zawsze wyrazem jakichś kompleksów niższości. Łubieńskiemu, podobnie jak wszystkim normalnym Polakom, nigdy nie mogło przyjść do głowy, że ktoś może go traktować jako członka niższej rasy, i stąd jego patriotyzm był spokojny, pozbawiony wszelkich momentów pyszałkowatości, nienawiści, zazdrości, podejrzeń. Był frankofilem, jak prawie cała młodzież mego pokolenia: to dopiero teraz — niestety! — stało się modne wśród młodzików polskich, wychowanych w Anglii, przyswoić sobie wszystkie antyfrancuskie kompleksy Anglików, z angielskim kompleksem niższości na czele, i wołać nie tylko w rozmowach, ale i w ,,Konturach'' Dziennika Polskiego w Londynie, że Francuzi są narodem skończonym, wypominać im w najgłupszy i najbardziej nietaktowny sposób ich porażkę z 1940 r., jakby nasza własna klęska wrześniowa upoważniała nas do rozdawania laurów i ciskania kamieniami. Poza tym Łubieński lubił Hiszpanię, gdzie spędził 10 lat, choć zdawał sobie sprawę z jej zacofania i kołtuństwa. W stosunku do innych narodów cechowała go głównie ciekawość. Wobec Żydów np. był idealnie neutralny: sam wolny od jakiegokolwiek rasizmu — jednym z najbliższych jego przyjaciół był Dr Ludwik Berger, dzisiaj poważny dziennikarz w Izraelu — nie uważał, by z tego tytułu nie wolno mu było utrzymywać przyjaznych stosunków z antysemitami, jak np. z Wojciechem Zaleskim z ABC, dzisiaj z radia madryckiego, choć ich metafizykę antysemicką uważał za idiotyzm. Podobnież wyśmiewał się z masonerii. Tradycyjnie, jak wszyscy w Galicji, był raczej antyrosyjski niż antyniemiecki, a raczej rozumiał, że Polska i Polacy nie mogą sobie na konflikt z Niemcami pozwolić. Mniej tradycyjne, jak na Małopolanina, było jego stanowisko wobec Czechów: przed wojną jeździł do Pragi i zdawał sobie sprawę — wbrew stanowisku ówczesnego rządu, a także znacznej części opinii, podjudzanej przez krakowskiego Ikaca z Rubłem na czele — że kłótnia polsko-czeska nie miała cienia sensu. Podobnie wrodzona trzeźwość nie pozwoliła mu wpaść w naiwną pro-angielskość, która cechowała Rubens i cały rząd londyński, gdy przez rok pracował w ,,Sztabie Naczelnego Wodza'' w roku 1943; nieraz mi wówczas mówił: ,,Anglików nie znam, język angielski znam słabo, ale na nosa, nie mam żadnego zaufania, myślę, że w razie czego puszczą nas jak stary kalosz''. Nie trzeba było długo czekać, aż się te przewidywania sprawdziły.

Silniej niż nacjonalizm grał u Łubieńskiego katolicyzm. Zapewne nie był to ani pustelnik, ani święty, ani teolog. Ale Łubieński był nie tylko głęboko przywiązany do katolicyzmu, był on także, jak mało kto w moim pokoleniu i w moim środowisku, świadom znaczenia i roli Kościoła. To były rzeczy, które kochał prawdziwie i rozumiał instynktownie. Pod tym względem zachodziła między nami głęboka różnica. Wobec prostego plebana

stoję jakby wobec przybysza z Marsa: ani nie wiem jak się zachować, ani nie widzę mego interlokutora, jako człowieka, jako jednostki. Niedawno musiałem odbyć rozmowę z Arcybiskupem, i przychodziła mi z największą trudnością — nie wiedziałem jak prowadzić rozmowę, ciągle obawiałem się popełnienia nietaktu, nie wyczuwałem wcale reakcji na moje słowa. Łubieńskiego katolicyzm był tradycyjny, bez fanatyzmu, bez bigoterii, bez klerykalizmu, z akcentem na moment wierności dozgonnej — *mourir dans la foi Catholique, Apostolique et Romaine* (tak zresztą umarł) — ale subtelności teologiczne były mu obce, choć za młodu, pod wpływem Franciszka Potockiego, wówczas dyrektora Wyznań, popełnił książkę pod tytułem ,,Droga na Wschód Rzymu'' (niezdarny tytuł!), którą Kardynał Kakowski w swym bezmiernym nietakcie i niezręczności umieścił na indeksie! Natomiast Łubieński świetnie się orientował w mentalności przeciętnego księdza: wiedział doskonale, jak do niego podejść, jak zagadać, jak grać na nim, wiedział, że najsilniejszym instynktem u przeciętnego proboszcza jest to co Niemcy nazywają *Gueltigkeitskomplex,* chęć odegrywania roli, chęć zamanifestowania, że jest on pewną personą, odgrywającą pewną rolę, mającą prawo do pewnych honorów. Co do tego ostatniego punktu Łubieński podzielał to zdanie, ale jego siła polegała znowuż na jego trzeźwości: nie oczekiwał on że każdy kapłan będzie świętym, wiedział, jak bardzo ludzką instytucją jest Kościół w osobach swego duchowieństwa. Przy całym oddaniu Kościołowi, przy wszystkich wpływach rodzinnych, była też w Łubieńskim jakaś żyłka Józefinizmu, może odziedziczona po Feliksie Łubieńskim, który, jako minister sprawiedliwości Księstwa Warszawskiego, miał sobie również poruczoną pieczę nad stosunkami z Kościołem: i miałem zawsze wrażenie, że jeżeliby zdolnościom Łubieńskiego odpowiadało jakieś stanowisko w administracji państwowej, to przede wszystkim kierownictwo spraw wyznaniowych, a zwłaszcza stosunków z hierarchią katolicką. Giętki, zgrabny, układny, przyjazny, umiałby uniknąć starć i nieporozumień, a jednocześnie dyskretnie narzucać formy współżycia bardziej nowoczesne od nieraz archaicznych wyobrażeń, teokratycznych a jeszcze bardziej ciasno-nacjonalistycznych (z nienawiścią do Unitów włącznie), które w tych czasach przedwojennych były tak rozpowszechnione zarówno w episkopacie, jak zwłaszcza wśród naszego kleru.

Łubieńskiego kariera rozpoczęła się dopiero w 1927 roku, kiedy to został sekretarzem stronnictwa konserwatywnego, po Adamie Piaseckim, napuszonym i niemiłym intrygancie, który przeniósł się na stanowisko dyrektora biura Senatu, i tam do śmierci — w 1938 roku — wyżywał się w najgłupszych intrygach. Było to stanowisko i trudne, i niewdzięczne. Ogromna większość normalnej klienteli konserwatywnej znajdowała się w Polsce ówczesnej w szeregach Narodowej Demokracji, to znaczy w grupie, a później w grupach, które zarzuciły credo za-

chowawcze na rzecz demagogii, antysemickiej i antyniemieckiej, które nawet przestały wierzyć w ewolucję i zerkały w kierunku zmian rewolucyjnych, faszystowskich. Nawet znaczna część ziemiaństwa i wielkiego przemysłu wolała iluzje nacjonalizmu od konserwatywnej trzeźwości. Tradycji organizacyjnej konserwatyści nie posiadali żadnej: ich pozycja, zwłaszcza w Galicji, opierała się na wpływach ekonomicznych, na ustroju klasowym, na kontaktach z władzami, na opanowaniu namiestnictwa, wreszcie na niepisanym porozumieniu z uniwersytetem krakowskim. Polacy, jako naród, są jednym z najbardziej konserwatywnych na świecie: każda myśl o zmianie napawa ich wstrętem, są zbyt leniwi by lubić wszelkie nowinki, mają skłonność do godzenia się z każdym istniejącym ustrojem, a buntu intelektualnego, który jest przesłanką i warunkiem każdej prawdziwej ,,lewicowości'', nienawidzą z całej duszy, mianem ,,warchoła'' darzą każdego, kto nie powtarza bezmyślnie urzędowych frazesów. Slogany w rodzaju ,,Bóg i Ojczyzna'', ,,silna władza'', ,,jedność narodu'', ,,sprawiedliwość społeczna'' i inne, które wszystkie razem nie znaczą absolutnie nic, zastępują nam myślenie polityczne. Do tego dołącza się niesłychany brak odwagi cywilnej u polityków. W prywatnej rozmowie wielu z nich daje niekiedy wyraz jakimś rozsądnym poglądom, ale w wypowiedziach publicznych frazes, sztanca, tani patriotyzm i demagogia, przymilanie się przesądom czy nawet zabobonom gawiedzi górują całkowicie. Tak więc mimo silnego konserwatyzmu Polaków, mimo faktu, że właściwie i Piłsudski, i Sosnkowski, i nawet Sikorski — mimo jego żyłki demagogicznej — nie mówiąc już o Auguście Zaleskim, byli konserwatystami, mimo silnych konserwatywnych sympatii ludzi takich, jak Witos i Rataj, a nawet Niedziałkowski, konserwatyści w Polsce byli zawsze partią słabiutką, omal kanapą.

W okresie sanacyjnym konserwatyści stali się członem BBWR, i to członem nie tyle najbardziej prawicowym, ile najbardziej liberalnym. Wbrew terminologii, prawicę BBWR stanowili ,,pułkownicy'', którzy czasami sięgali do arsenału demagogii lewicowej i antykapitalistycznej, ale za to, oczadzeni ,,ideologią'' władzy i siły, jaskrawo faszyzowali życie publiczne. BBWR był równie pozbawiony oblicza co Gaullistowska Union de la Nouvelle République. Ta ostatnia jednak, głównie dzięki samemu de Gaulle'owi, utożsamiła się niemal całkowicie z siłami francuskiego konserwatyzmu, odrzucając skrajności w postaci ,,nieprzejednanych'' zwolenników ,,Algérie Française''. UNR stała się tylko nową wersją, może tylko bardziej autorytatywną, mniej parlamentarną tradycyjnej francuskiej prawicy, *les Indépendents*. Rządy de Gaulle'a, jak wszystkie rządy autorytatywne, ale nie komunistyczne, i nie faszystowskie, stały się de facto rządami centroprawu. Innej możliwości dla tego typu rządów nie ma, jeżeli nie chcą się oni stoczyć do nizin faszyzmu. Niestety, Piłsudski tego nie rozumiał, a po nim Rydz rozumiał to jeszcze mniej. Stąd reżym sanacyjny, zachowywał

pozory pewnego radykalizmu społecznego, a pod tymi pozorami, pod tą etykietą, pod sztandarem — na zewnątrz — Miedzińskich, Poniatowskich i innych ,,lewicowców'', stawał się z roku na rok bardziej faszyzujący. Faszyzujący jest w wypadku polskim bardziej trafnym wyrazem, niż faszystowski, Jan III nie doprowadził ogrodów Wilanowskich do Wisły, myśmy nigdy żadnej myśli politycznej nie potrafili doprowadzić do jej logicznej konkluzji.

Łubieński nie miał talentów organizacyjnych, i stąd na sekretarza partyjnego wcale się nie nadawał. Był, jak mówią, Amerykanie, *a good mixer*, był doskonałym *contactman*'em — terminy amerykańskie same się nasuwają, gdy chodzi o określenie jego zdolności, częstych i cenionych na Zachodzie, niedocenianych i prawie że nieznanych u nas. Łubieński nie nadawał się na *whipa*, to znaczy na stróża prawomyślności partyjnej, nie nadawał się na *einpeitschera*. Byłby natomiast dobrym posłem, właśnie posłem ,,niezależnym'', to znaczy konserwatystą, strawnym a nawet lubianym w centrum i na lewicy: i w normalnych polskich warunkach parlamentarnych, które, sądzę, doprowadziłyby do rządów centrolewu, do gabinetu Rataj-Niedziałkowski (który, jak mi się dotąd zdaje, najbardziej by odpowiadał układowi sił politycznych w Polsce), Łubieński doskonale by się nadawał do uzupełniania takiej kombinacji na wpół lewicowej: znacznie układniej niż wszyscy znani mi endecy, tym bardziej niż Mackiewicz, mógłby zapewnić tradycyjnym elementom konserwatywnym jakiś udział w rządach i łagodzić ich niepokój przed kursem zbyt radykalnym. Takich polityków jest bardzo, ale to bardzo wielu na Zachodzie. Zapewne, nie są to nigdy osobistości historyczne, pierwszoplanowe. Ale świat nie może żyć samymi wielkimi ludźmi. Gdy myślę o wiceministrze ,,młodych'' konserwatystów (co prawda wymyślonym przez Ozon, a nie przez Konserwę), o nieszczęsnym Michale Wierusz-Kowalskim, który skończył karierę obrzydliwym spoliczkowaniem Raczkiewicza, czy też o innym przedstawicielu ,,młodych'' w rządach ozonowych, o prokuratorze Grabowskim, wówczas cała wyższość Łubieńskiego, i pod względem wyrobienia, i charakteru, i rozsądku, wychodzi doprawdy jaskrawo.

Jako sekretarz konserwy, Łubieński pracował pod wieloma handicapami. Przede wszystkim sama organizacja konserwy nie miała cienia sensu. Pełno tam było rad, komitetów wykonawczych, prezydiów, klubów poselskich, kół gospodarczych, pełno też było najrozmaitszych godności, prezesur i sekretariatów, i w rezultacie, jak zawsze bywa w takich wypadkach, nikt nie miał żadnych kompetencyj i funkcje stały się posadami, z lepszą czy gorszą pensją, ale bez właściwego zakresu działania i bez istotnego ciężaru gatunkowego. Mnogość instytucji sprawiła, że jedyną instancją w partii konserwatywnej był Janusz Radziwiłł, a jedyną formą działania — zaproszenie na śniadanie do księcia-prezesa.

Janusz Radziwiłł był człowiekiem poważnym, rozumnym i uczciwym. Byłby na pewno lepszym ministrem spraw zagranicznych od Becka, i należy żałować, że tej teki, którą mu Piłsudski po zamachu majowym proponował, i to przez dwa miesiące, nie przyjął. Miał on wrodzony umiar, trzeźwość, brak megalomanii, i narodowej i osobistej, był sceptykiem, w genialne inicjatywy nie wierzył, nie śpieszył się, nie marzył o tanich sukcesach, nie snobował się na nic i na nikogo, a są to wszystko zalety w polityce zagranicznej niezmiernie cenne. Z natury ostrożny i wstrzemięźliwy, byłby na pewno uniknął przesady i afektacji Becka w afiszowaniu rzekomej przyjaźni z Hitlerem czy Goeringiem, byłby znacznie bardziej stanowczo niż Beck sterował w kierunku jedynej dla słabiutkiego państwa (jak Polska) wskazanej polityki, a mianowicie w kierunku neutralności, byłby uniknął niepotrzebnych a nawet skandalicznych zadrażnień z Francją, byłby mniej dziecinnie oddawał się iluzjom przymierza z Anglią, byłby nawet bardziej dbał, niż Beck, o unikanie zadrażnień z Sowietami. Wątpię bardzo, by Radziwiłł zdołał uniknąć w ostatecznym rachunku wojny z Niemcami: Hitler był na to zbyt niemożliwym partnerem, koszt uniknięcia wojny byłby w oczach ówczesnej opinii — i nade wszystko rządzącej w Polsce kliki wojskowej — zbyt wysoki. Mimo wszystko sądzę, że w latach 1926-1939 Janusz Radziwiłł byłby zapewne najlepszym możliwym ministrem spraw zagranicznych: choć sam nie czechofil, byłby nam na pewno zoszczędził kompromitującej awantury anty-czeskiej.

Ale o ile Radziwiłł miał sporo danych na tradycyjnego dyplomatę dziewiętnastego wieku, wpatrzonego w równowagę sił i koncert mocarstw, o tyle wątpię, by miał on jakiekolwiek dane na przywódcę stronnictwa. Po pierwsze, był to człowiek bez istotnej ambicji politycznej, bez żyłki do pchania się na czoło, co zresztą oczywiście dodawało mu cech sympatycznych: nikt nie lubi „streberów". Janusz Radziwiłł doskonale zdawał sobie sprawę, że swą pozycję, swe wpływy zawdzięczał urodzeniu, tytułowi, fortunie: stąd był jakby ospały, inicjatywy przejawiał mało, miał raczej bierną postawę wobec życia, niezadowolenie markował głównie milczeniem lub wyjazdem do ulubionej Ołyki, rzadziej już do podwarszawskiego Nieborowa. Jako człowiek rozsądny, zdawał sobie doskonale sprawę, że konserwatyści nie mogą ograniczać swego zasięgu do ziemiaństwa i wielkiego przemysłu, ale w praktyce był zupełnie niezdolny do odegrania roli polskiego Disraeli'ego. Rozumiał on, że antysemityzm osłabia front, jakże słabiutki, polskiego kapitalizmu, ale poza dobrymi stosunkami z Falterem nie umiał na to znaleźć środka zaradczego. Rozumiał, jak bardzo byłoby pożądane ściągnąć do szeregów konserwy inteligencję pochodzenia chłopskiego, ale znowuż, poza zapraszaniem na obiady kilku ludowców czy eks-ludowców, nie umiał dać temu praktycznego wyrazu. Gdy dzisiaj patrzę na niestrudzoną energię, właśnie partyjną, właśnie organizacyjną Adenauera, który umie tworzyć na gruzach dawnych feudalnych

pruskich „Deutschnationale" naprawdę nowożytne, współczesne stronnictwo konserwatywne, rozumiem dużo lepiej, jaką katastrofą dla Polski był fakt, że Radziwiłł poświęcił się temu zadaniu, a nie dyplomacji.

Była jeszcze i inna przyczyna tej absolutnej bierności Radziwiłła w sprawach organizacyjnych, a raczej były ich dwie. Jedną była jakby nowa wersja starej tezy: Polska nierządem stoi. Wersja ta brzmiała: konserwatyści słabością stoją. Janusz Radziwiłł nie wierzył, by konserwatyści mogli stać o własnych siłach, by mogli być czymś więcej niż bluszczem, nie wierzył w ich solidarność, nie wierzył, by się oparli urokom antysemityzmu i nacjonalizmu endecji, nie wierzył by mogli oddziaływać inaczej, niż ukrytymi wpływami. Wierzył, jak większość ludzi z jego sfery, w „stosunki", wierzył też w układność, w kompromisy, a nie w walkę polityczną. Pod tym względem miał w pewnym sensie rację. Jego pesymistyczna ocena konserwatywnych możliwości i układu sił w BBWR była bliższa prawdy, niż entujazmy Stanisława Mackiewicza. Ale przeceniał on znaczenie konserwatyzmu Piłsudskiego, a zwłaszcza Sławka. Zawsze z lubością powtarzał, że nie zna większego konserwatysty od Sławka. Tak było w istocie, ale Radziwiłł nie doceniał, jak bardzo ludzie, zaczadzeni mitem władzy, potrafią wszystkie zasady zachowawcze na tym ołtarzu poświęcać. W rezultacie swą deflacją sanacja bardziej zniszczyła polskie klasy posiadające, niż dwudziestoletnie rządy lewicowe potrafiły to zrobić w Czechosłowacji.

Dla ludzi, którzy z nim współpracowali, Janusz Radziwiłł przedstawiał i inne defekty. Nie były to cechy czysto osobiste, znacznie bardziej były one i są typowe dla magnaterii, zarówno rodowej, jak i dla „magnatów", którzy wyskoczyli z elity legionowej i wojskowej czy nawet dyplomatycznej. Nie tylko Edward Raczyński, niepisany wódz konserwatystów na emigracji, jest pod tym względem do Radziwiłła arcypodobny (choć jednocześnie bardziej dynamiczny i ambitny od niego, a równocześnie znacznie bardziej urzędniczy), ale tak samo przypominali czy przypominają temperament Radziwiłła i Sikorski, i Sosnkowski, i Anders, i August Zaleski. Ulubieńcami Radziwiłła byli ludzie typu urzędniczego, i w końcu jego jedynym suflerem, sekretarzem osobistym, sekretarzem stronnictwa i redaktorem „Czasu" został Jaś Moszyński, zapewne jedyny człowiek, którego Radziwiłł kiedykolwiek kochał poza najbliższą rodziną. Otóż Jaś Moszyński był przezacnym i inteligentnym chłopakiem, ale bezbarwnym, ale pozbawionym jakiejkowiek dynamiki. Poza tym Radziwiłł lubił gogusiów, układnych chłopczyków, którzy go bawili, dobrze polowali lub mieli jakieś bardzo taniutkie walory towarzyskie. Natomiast indywidualności czy intelektualistów wśród konserwatystów nie znosił, i nie miał do nich żadnego zaufania. Nie rozumiał, że do ludzi wybitniejszych, zdolniejszych trzeba się nagiąć, trzeba się napracować, by z nimi mieć możliwe stosunki, że trzeba się zdobyć na odpowiedni wysiłek. Radziwiłł nie lubił Mackiewicza, nie lubił też Łubieńskiego,

który już był dla niego zanadto myślący, zanadto kombinujący, zanadto indywidualny. Wolał nicość urzędniczą od dobrego publicysty. Wolał konformizm i nudę od nieuniknionych kłopotów, które się ma, gdy się współpracuje z indywidualnościami. Jedyny wyjątek robił na rzecz lewicowców. Miał sentyment dla Niedziałkowskiego. Dawniej mówiło się, że każdy szlachcic musi mieć swego Żyda, dzisiaj powiedziałbym, że każdy magnat, czy dygnitarz musi mieć swego ,,lewicowca''. Skrzyński miał Łukasiewicza, Radziwiłł emablował Niedziałkowskiego, Raczyński ma febla do Ciołkosza. Wybór ten świadczy, że Skrzyński był jednak od swych błękitnych (i autentyczniejszych) rywali o klasę gorszy.

Ale Radziwiłł nie był czynnikiem niezależnym. Nad nim stał Sławek, i Sławek, nie Radziwiłł, decydował o doborze posłów konserwatywnych, on też musiał każdą inicjatywę sekretarza konserwy zaaprobować. Tak więc Łubieński bardzo szybko z racji swych funkcji zetknął się ze Sławkiem i z całym aparatem BBWR.

O ile Radziwiłł wszystko na ogół rozumiał, i trafnie rozumiał, ale nie miał talentów realizacyjnych, o tyle o Sławku trzeba powiedzieć, że to był człowiek, który nie rozumiał absolutnie nic. Byłem obecny na kilku rozmowach, które Sławek odbywał z politykami konserwatywnymi, i za każdym razem odnosiłem wrażenie zupełnej bezradności tego człowieka. Coś bajał o ulach, o pasiekach, o łapaniu ryb: wszystko to nie miało żadnego składu ani sensu, ani celu, ani znaczenia. Nawet emigracyjne wielkości, jak np. Jundziłł Baliński, robią wrażenie lepsze niż Sławek, bardziej konkretne, bardziej realistyczne, bardziej do rzeczy. Każdy ustrój polityczny opiera się w gruncie rzeczy na KOOPTACJI: wybory są zawsze nominalne, w rzeczy samej sztaby partyjne dokooptywują swój narybek, i ta funkcja jest najważniejszą czynnością przywódcy partyjnego. We Francji III Republiki, a zresztą i dzisiaj, każdy minister ma swój ,,gabinet'', którego członkowie rekrutują się spośród dziennikarzy, docentów (*agrégés de l'Université*) etc, kandydatów na posłów i na czynnych polityków: ci członkowie gabinetu nie należą do normalnej hierarchii urzędniczej, ale zapoznają się z problemami, z administracją, z personelem rządzącym, i potem w ogromnej większości z nich się rekrutują nowi kandydaci na posłów. W Anglii jest trochę inaczej: o wyborze, zazwyczaj już bardzo młodo, kandydatów na posłów decydują normalnie Eton i Oxford, stosunki rodzinne i koligacje z arystokracją czy City, ale potem taki młody poseł konserwatywny zostaje PPS (*parliamentary private secretary*) ministra czy wiceministra i z tego tytułu zapoznaje się z odpowiednim resortem, a jednocześnie informuje swych kolegów posłów o planach i pracach swego pryncypała, jego zaś o nastrojach w izbie gmin. Wszyscy angielscy mężowie stanu bodaj w ten sposób sposób wstąpili w szranki: Eden był PPS Austin Chamberlaina, Lord Home Neville'a Chamberlaina itd. Zawsze uważałem, że co w Polsce najbardziej szwankowało

— to przeszkolenie młodzieży PO studiach wyższych: ale nigdzie to przeszkolenie nie wyglądało katastrofalniej, jak tam gdzie jest ono najtrudniejsze i najbardziej potrzebne, to znaczy w parlamencie i w polskim życiu publicznym.

Partie tradycyjne — Narodowa Demokracja, ludowcy, PPS — ukształtowane poza systemem polskich rządów rekrutowały swą młódź poselską z szeregów partyjnych: mandat był nagrodą za wierność wobec władz centralnych; stąd sztaby poselskie tych partii znajdowały się w trudnej sytuacji, gdy miały okazję obsadzania stanowisk ministerialnych, bo były jednostronnie obciążone „aparatczykami" partyjnymi, bez doświadczenia administracyjnego: i stąd dziwoląg „ministrów fachowych" w gabinetach partyjnych, nominacje generałów, zawodowych dyplomatów czy nawet ekspertów finansowych na stanowiska ministrów spraw wojskowych, spraw zagranicznych czy skarbu w rządach Witosa, czy tym bardziej Grabskiego lub Nowaka. Otóż Sławek miał doskonałą okazję, by sobie narybek poselski wychować i by wreszcie rozpocząć konieczną symbiozę między administracją a Izbą Poselską. Nigdy mu to nawet nie przyszło do głowy. W dobieraniu posłów, podobnie jak we wszystkich problemach, biedny, a raczej nieszczęsny Sławek obracał się w całkowitej próżni. Wbrew własnej i Piłsudskiego woli, nawet nie rozumiejąc i nie widząc jak się to stało, Sławek zrobił z Polski Jowiałówkę dla oficerów i urzędników, a posłów zdegradował do roli figurantów i maszyn do głosowania, względnie „chadatajow po diełam". Od 1930 do 1935 r. Sejm, i jeszcze bardziej BBWR, spał, zupełnie martwy i strupieszały. Posłów Sławek dobierał sobie sam: udział Radziwiłła w desygnowaniu posłów konserwatywnych był właściwie zupełnie fikcyjny. A Sławek dobierał ich według przedziwnych kryteriów. Gros z nich rekrutowało się z Legionów i innych formacyj piłsudczykowskich — i tutaj decydowały nie ich kwalifikacje, ale numer pułku, zachowanie się w czasie kryzysu Legionów, jakieś sitwy i powiązania: rozum i zdolności czy wyrobienie odegrywały rolę najmniejszą. Chociaż reżym pomajowy był w gruncie rzeczy wyrazem klasy oficerskiej, która stanowiła jego kręgosłup, Sławek, zapewne z inspiracji samego Piłsudskiego, robił co mógł, by tę wąziutką podstawę jeszcze zwęzić: odrzucał np. oficerów rezerwy, którzy, jak np. Łubieński, zgłosili się na ochotnika w 1919 czy 1920 r., zostali odznaczeni czy nawet ranni. To wszystko nic nie znaczyło — trzeba było być oficerem Legionów czy POW, reszta nie istniała. Nawet własnych peowiaków czy legionistów dzielił Sławek na gorszych i lepszych. W tym systemie oczywiście nie było miejsca na całe pokolenie urodzone w dwudziestym wieku, i stąd całe to pokolenie Sławek odtrącił. Potem na gwałt próbowano brak ten zastąpić improwizacjami, Legionem Młodych naprzód, a gdy ten zawiódł kompletnie, kumaniem się z oenerowcami. Był to spektakl przygnębiający, *c'est le moins qu'on puisse dire!*

Jeszcze bardziej prymitywne zasady stosował Sławek przy

doborze posłów konserwatywnych. Witał jakby radośnie magnatów: Radziwiłła, Eustachego Sapiehę, Artura Tarnowskiego. Akceptował, niechętnie i z urazem, tak zwanych przedstawicieli życia gospodarczego, czyli po prostu Lewiatana: Hołyńskiego, Minkowskiego i innych, z reguły eliminując wszystkich wybitniejszych i bardziej niezależnych, wybierając raczej urzędników kartelowych. A wreszcie faworyzował małych ziemian z najgłębszej prowincji, ludzi poczciwych, zacnych, ale o formacie nawet nie powiatowym, ale gminnym, wąsaczów z wytrzeszczonymi oczami, których horyzonty nie sięgały poza Sieradz. Mógłbym tu przytoczyć dziesiątki nazwisk: przez litość z tego rezygnuję. Ale inteligentów konserwatywnych Sławek nie znosił. W ogóle nie lubił on intelektualistów, ale poseł konserwatywny, nie będący ziemianinem lub milionerem, wydawał mu się naruszeniem porządku świata. Tolerował jednego Mackiewicza, choć go nie lubił, ale wiedział, że ten miał dostęp do samego ,,Pana Marszałka'' czy raczej ,,Komendanta'', jak się zawsze z afektacją wyrażał. Toteż szanse Łubieńskiego dostania się do Sejmu czy rozwinięcia jakiejkolwiek aktywności w ramach BBWR były za Sławka zupełnie iluzoryczne.

Lecz każdy ciężko rozstaje się z ukochanymi złudzeniami. Łubieński przez blisko 10 lat walczył uparcie o mandat poselski. Wobec braku jakiegolwiek życia organizacyjnego i masowego, czy to konserwy, czy BBWR z konieczności jego działalność przybierała anormalne formy, właściwe Polsce sanacyjnej: tak zwanych kontaktów z dysponentami władzy i faworów. Ta praca jałowa, ale której się poświęcały setki młodych i zdolnych ludzi w orbicie sanacyjnej, dała mu jedno: głęboką znajomość personalii, mafii, klik, i w ogóle zwierzęcia politycznego. Łubieński wniósł w tę pracę i zainteresowanie, i zdolność obserwacyjną, i umiejętność słuchania, i trzeźwość oceny, i wreszcie doskonałą pamięć. Pamiętam jak po latach bawiło mnie w Maisons-Laffitte przysłuchiwanie się rozmowie Łubieńskiego z Giedroyciem: obaj bez pudła umiejscawiali nawet Zapasiewicza, nawet umieli stwierdzić, czy Hoppe był ,,człowiekiem'' Sławka czy Prystora.

Gdyby Sławek w 1935 r. nie zmienił ordynacji wyborczej, która z parlamentu zrobiła karykaturę, lecz trzymał się dawnej, choćby bez proporcjonalności, i gdyby zaryzykował wciągnięcie młodych posłów i z Myśli Mocarstwowej i z Legionu Młodych, to by Ozon nie był zmuszony już w rok później błagać wszystkich oenerowców o współpracę i aprobatę. No, ale do śmierci Sławek tego nie zrozumiał, jak i wszystkich innych swych katastroficznych błędów. Sam zapłacił samobójstwem swą predylekcję do starościńskich i wojskowych nicości. Można powiedzieć, że osobiście takie rozwiązanie jest ,,honorowe'': ale co jest warte politycznie?

Łubieński miał pogodne, optymistyczne usposobienie: nie był to typ samoanalityka, który normalnie wpada w hipochondrię. Z wrodzonym sobie realizmem uznał, że z marzeń posel-

skich trzeba skwitować, rozstał się też gładko i bez tragedii z sekretariatem konserwy, i nawet nie zachował żalu ani do Sławka ani do Radziwiłła. Rzucił się natomiast z furią do nowej pracy, w której był dotąd tylko wolontariuszem i to dorywczym, mianowicie do reporterki politycznej.

Kiedy dokładnie stał się on reporterem warszawskim ,,Słowa'' Stanisława Mackiewicza nawet ja nie umiałbym powiedzieć. Jakoś zaraz po fatalnych wyborach 1935 r. Staś Mackiewicz musiał mu powiedzieć: ,,A może byś spróbował coś nam przetelefonować z Sejmu, gdy będzie coś ciekawego?''. Łubieński spróbował i w ciągu kilku tygodni stał się filarem ,,Słowa'', twórcą sensacji, twórcą nowego *genre*'u dziennikarskiego w Polsce, stał się potentatem, przed którym wielu polityków i działaczy drżało, którego informacje, proroctwa, domysły, plotki przedrukowała dzień w dzień cała prasa polska. Rzadko kiedy w Polsce widziano równie świetną i równie błyskawiczną karierę dziennikarską.

Uśmiechnęło mu się wówczas szczęście, bez którego w życiu niczego nie można dokonać. Staś Mackiewicz zdecydował się wówczas nareszcie dać spokój swej wierności obozowi ,,Wielkiego Marszałka'', przestał też nareszcie odgrywać smętną i niepopłacalną rolę waleta Sławka. Co więcej, sam utracił mandat poselski, i w związku z tym przestał sam z Warszawy spełniać rolę reportera politycznego. Po wtóre obraz prasy w Polsce wyglądał wówczas słabo, konkurencji tak dobrze jak nie było. W parę miesięcy później, w kwietniu 1936 roku, Matuszewski wyleciał z ,,Gazety Polskiej'', dzięki połączonym wysiłkom Kwiatkowskiego, Mościckiego, Rydza i Becka: i pismo to, dotąd doskonałe, stało się domeną jakichś piramidalnych nudziarzy, tak zwanych ideologów, pomimo nominalnej redakcji wytrawnego dziennikarza, Miedzińskiego. Jest swoją drogą rzeczą przedziwną, że pomimo katastrofy finansowej wszystkich tego typu rezonerskich dzienników i periodyków, ciągle się znajdują politycy, rządy, działacze czy wodzowie, którzy w ten sposób trwonią własne czy publiczne pieniądze, choć setki doświadczeń pouczają ich o braku wszelkiego echa takich elukubracji: widocznie więc wydawanie rozwlekłych i przenudnych, grafomańskich wypocin ,,ideologów'' odpowiada — tak samo jak przenudne akademie 3-majowe, 12-majowe, 11-listopadowe etc. — jakimś tajemniczym instynktom narodowym. Myślę osobiście, że po prostu to beznadziejne ględzenie, pompatyczne i nadęte, ma przesłonić naszym szaraczkom ich brak inteligencji i wykształcenia. Gdy czytają te nudziarstwa, lub słuchają tych oklepanych frazesów mogą sobie, zasypiając, mamrotać: no ten, nie jest mądrzejszy ode mnie, i jabym tak potrafił. Zresztą to cecha nie tylko polska.

Jako reporter polityczny, Łubieński tak dobrze jak nie miał wówczas konkurencji: bo poza sprawozdawcą syjonistycznego ,,Naszego Przeglądu'', Regnisem (Singerem), nie było wówczas w Polsce nikogo. Prasa opozycyjna kontentowała się kazaniami

partyjnymi, artykułami pryncypialnymi i ,,ideologią'', słowem zanudzała czytelników. Prasa sanacyjna staczała się co dzień do coraz głębszych nizin: dość powiedzieć że luminarzami jej ,,informacji politycznej'' były nicości w rodzaju Wrzosa. Łubieński wpadł też na pomysł prosty, ale procentujący: wykrył czy wyczuł, że publiczność nie chce polemik z opozycją, nie chce też domysłów na temat, co myśli ten czy inny matador opozycyjny, lecz że żąda, że jest spragniona wiedzieć, co się dzieje w obozie rządowym, jeżeli już nie w samym rządzie. A wiedziano tyle tylko, że PAT co dzień uroczyście donosił, iż ,,Pan Prezydent (naturalnie ten niepotrzebny PAN musiał zawsze figurować.) przyjął posła Gwatemali, który Mu (,,Mu'' przez wielką literę — co za kretynizm!) wręczył listy uwierzytelniające'', lub że ,,Minister Beck'' konferował *z chargé d'affaires'*m Portugalii (znowuż błąd, bo oczywiście ,,minister Beck'' nigdy nie istniał — istniał tylko p. J. Beck, minister spraw zagranicznych; pisanie min. i nazwisko, np. min. Lloyd, co z upodobaniem robi analfabetyczny ,,Dziennik Polski'', nie tylko za Kirkiena, ale i za jego następców, jest występkiem przeciwko językowi polskiemu, istnieje tylko p. Selwyn Lloyd, ongi *Foreign Secretary,* a dzisiaj kanclerz szachownicy). Wracając do kochanego Łubieńskiego: wpadł on na pomysł niezmiernie prosty podawania w swym telefonie z Warszawy (który wkrótce zajął prawie całą pierwszą stronę wileńskiego ,,Słowa'') tego wszystkiego — i to bez retuszu — co się mówiło po kawiarniach i korytarzach ministerialnych. A że Łubieński miał kolosalne stosunki, znał wszystkich, jak się to mówiło, wiedział naprawdę (a nie z podtytułu) co w trawie piszczy, a poza tym umiał swe informacje zestrzelić w jedną całość, nadać im sens i kierunek, przeto czytelnik miał wrażenie, że znalazł się w loży, skąd mógł oglądać zawiłe kontredanse obozu sanacyjnego.

Dzięki współpracy Mackiewicza i Łubieńskiego ,,Słowo'' stało się pismem cytowanym przez całą resztę prasy polskiej: zwłaszcza król wieczorniaków warszawskich, St. Strzetelski, gęsto i obficie korzystał z informacji Łubieńskiego, niemal co dzień je omal *in extenso* przedrukowując.. Były to zapewne najszczęśliwsze lata w życiu Łubieńskiego: miał pracę, którą lubił, która dawała mu rozgłos, sytuację i pozwalała mu utrzymywać rozległe stosunki — od Faltera i Wellisza, do Polakiewicza i Koca, od Matuszewskiego i Radziwiłła aż do — Bolesława Piaseckiego. Mackiewicz był na tyle rozumny, że go nie cenzurował, pozwalał mu pisać co chce i jak chce, choć miał z powodu telefonów Łubieńskiego tysiączne awantury i przykrości, nie tylko od wrogów, ale i od najbliższych przyjaciół, którzy nie mogli odżałować, iż ich misterne intrygi i kombinacje były wywalane ,,kawa na ławę''. Dopiero na emigracji Mackiewicz zapomniał, że każda cenzura redakcyjna w sposób nieunikniony zabija nawet najlepsze pismo, z najlepszych współpracowników robi gryzipiórków i zawodowych nudziarzy, i zaczął sam się bawić w cenzora, niczym ,,gwiazdory'' prasy emigracyjnej, wy-

chowani w takich akademiach smorgońskich, jak ,,Iskra'', ,,ATE'' czy ,,Czerwoniaki''. I naturalnie Mackiewicz musiał położyć swoje własne ,,Lwów i Wilno'', bo taki musi być koniec każdego pisma, które nie uznaje wolności słowa swych współpracowników: przestaje być periodykiem a staje się biurem, urzędem, urzędzem, więzieniem myśli, karykaturą organu opinii publicznej. Redaktor-cenzor jest jeszcze gorszy od cenzora *tout court*. Z cenzurą sanacyjną Łubieński bardzo zgrabnie dawał sobie rady, choć było to arcy-trudne zadanie, ale umiał przemycić myśli czy informacje ,,zdrożne'' pod niewinnym tytułem. Ale z redaktorem opętanym ambicją zostania nowym Pelikanem czy Nowosilcowym — a takimi, z wyjątkiem Giedroycia (*et encore!*), są dzisiaj wszyscy nasi redaktorzy na emigracji — żaden dziennikarz, żaden reporter, żaden publicysta nie da sobie rady: tym się właśnie tłumaczy, dlaczego nasza prasa emigracyjna stale bokami robi, choć emigracja żyje w krajach fantastycznej *prosperity*, choć jej dochody, w porównaniu z okresem sprzed dziesięciu laty, wielokrotnie wzrosły.

Mackiewicz ówczesny dawał nie tylko Łubieńskiemu pełną wolność wypowiedzi, oraz oczywiście pełną swobodę poruszania się, wolność od jakichkolwiek godzin biurowych, i tym podobnych starościńskich nonsensów, które w pracy dziennikarskiej są absolutnym kryminałem, ale także — jak na nędzarską Polskę — wspaniałe pobory, które pozwalały mu żyć beztrosko, dużo podróżować i utrzymywać bardzo rozległe stosunki. A bez tego oczywiście nie ma reporterki politycznej, ani żadnej innej. Wystarczy przejrzeć jakiekolwiek pismo emigracyjne, by od razu wiedzieć, że jego współpracownicy to są nędzarze, którzy odwalają kawałki w jakiejś nędznej suterynie, nie mają ani na kawę, ani na stosunki, ani na podróże, są głodni i źli, i wiecznie zatroskani o przyszłość, która może im wróżyć tylko śmierć głodową.

Trudno było o większy kontrast dwóch ludzi, niż Mackiewicza i Łubieńskiego. Mackiewicz był wielokrotnie zdolniejszy, był człowiekiem dużo większego formatu, był dużo silniejszą indywidualnością, zapewne najsilniejszą indywidualnością obozu sanacyjnego. Był wielkim publicystą, nawet wielkim pisarzem. Ale Łubieński górował nad Mackiewiczem, jeżeli chodzi o zdrowy rozsądek. Miał go wielokrotnie więcej. Pomijam stosunek do Piłsudskiego: prawdziwy fanatyzm, który Mackiewicz wobec ,,Wielkiego Marszałka'' odczuwał, wynikał nie tylko z jego poglądów, z jego romantycznych urojeń, z jego nietscheańskiego gustu do dramatyzowania i personifikowania historii, ale chyba w jeszcze większym stopniu z jego patriotyzmu wileńskiego. Mackiewicz był zawsze bardziej patriotą wileńskim i litewskim (a właściwie wielkoksiążęcym) niż ogólno-polskim, i myślę, że właśnie wileńskość Piłsudskiego była tym momentem, który najbardziej decydował o jego prawdziwym kulcie i przywiązaniu do dyktatora. Natomiast zawsze się dziwiłem sentymentowi Łubiańskiego, człowieka tak trzeźwego i w gruncie rzeczy mało

sentymentalnego, do Piłsudskiego, nie tylko przed wrześniem, co jeszcze można zrozumieć, ale i po wojnie, kiedy to rozmiary i głębia naszej katastrofy były przecież dla wszystkich, oprócz kilku obłąkańców, arcyjasne. Tłumaczę to sobie znowuż atmosferą krakowską, w której wyrósł Łubieński: był on uczniem gimnazjalnym, gdy wyruszała kadrówka, i to musiało oddziałać na wyobraźnię młodego chłopca. A wiadomo, że my, Polacy, jakoś dziwnie pozostajemy wierni tym dziecinnym czy młodzieńczym wrażeniom.

Natomiast Łubieński w najmniejszym stopniu nie podzielał zupełnie fantazyjnych poglądów Mackiewicza na Sławka, w którym upatrywał nie Zawiszę Czarnego plus nowego Cyda, ale słusznie widział w nim tylko zacnego safandułę. Podobnież nie demonizował Grażyńskiego i ,,Naprawy'', jak to wiecznie robił Mackiewicz, głównie na podstawie jakichś reminiscencyj czy urazów z okresu lat studenckich: rozumiał doskonale, że polityka na Śląsku, tak jak i w Gdańsku, była dziełem samego Becka i jego rzekomego ,,makiawelizmu'', a nie podrzędnych oficjalistów. Podobnież wyśmiewał się z jakiegoś rzekomego konfliktu Sławek-Prystor, który się ciągle roił Mackiewiczowi. Nie brał na serio rozdźwięków Mościcki-Rydz: wiedział, że poza normalnymi tarciami personalnymi nic ich w gruncie rzeczy nie dzieliło. Nie wierzył w tak zwany kurs liberalny Mościckiego i Kwiatkowskiego, sądził że chodziło o pozory, że żaden z nich nie miał dość indywidualności, by się od monopolu władzy oderwać. Znacznie trafniej, niż Mackiewicz zdawał sobie Łubieński sprawę, że reżym przestał być polityczny, lecz stał się tylko wyrazem sfery urzędniczej, a życie polityczne ograniczało się tylko do rozgrywek między dygnitarzami czy nawet tylko biurokratami. W przeciwieństwie do obu swych bliskich kuzynów — od których był dużo wytrawniejszy — a którzy należeli do najbliższych wyznawców i współpracowników Becka, Henryk Łubieński nie miał złudzeń co do tej katastrofalnej postaci.

Ale nade wszystko Łubieński tysiąckrotnie ostrzegał Mackiewicza, że jego napaści na Rydza skończą się, jak się skończyły zesłaniem go do Berezy. Łubieński nie miał żadnych sympatii ani uznania dla Rydza, ale znał zbyt dobrze ówczesnych bezpieczników. Łubieński przestrzegał więc sto tysięcy razy Mackiewicza, że bezpiecznicy i łapsy reżymowi mniej mu zarzucają to co pisał, niż to co wygadywał na Rydza u Simona i Steckiego i w innych knajpach warszawskich, niby to szeptem, a w rzeczywistości rycząc, tak, że głos Stasia rozlegał się aż na Krakowskim Przedmieściu. Łubieński, jako człowiek trzeźwy, nie miał nigdy najmniejszej żyłki do masochizmu. natomiast Stan Mackiewicz, który ten masochizm i instynkt samobójczy naszego narodu tak piętnuje w ,,Zielonych Oczach'' i innych książkach sam był nań podatny w najwyższym stopniu, chciał koniecznie być całe życie męczennikiem. Przewidywania Łubieńskiego sprawdziły się do joty.

W przede dniu wojny Łubieński znajdował się w Berlinie. Nie podzielał on złudzeń Wierzbowej, która sądziła naiwnie, iż Hitler tylko bluffuje, uważał wojnę za murowaną, i nie robił sobie też złudzeń co do jej wyniku. Z Berlina zdołał zbiec do Kopenhagi, stamtąd przedostać się do Londynu, skąd niebawem wyruszył do armii we Francji, jako porucznik rezerwy. I oto raz jeszcze przypadek pokierował jego losami. Wraz ze swym rozbitym oddziałem Łubieński dostał się do Brestu w pół godziny po odejściu ostatniego statku do Anglii: zdążył tylko zmienić mundur na ubranie cywilne i w ten sposób uniknąć niewoli niemieckiej. Z Bretanii przedostał się do nieokupowanego wówczas Vichy. Tam zmobilizował go zaraz gen. Kleeberg, i wciągnął do podziemnej dwójki, która pracowała we Francji. Niebawem przerzucono go do Algieru, jako oficera informacyjnego: świetnie znał język francuski i miał paszport na nazwisko francuskie, o ile mnie pamięć nie myli na M. Henri Lefèvre, kupca z Lille. Doczekał się tam desantu Eisenhowera w Północnej Afryce, i pierwszym krążownikiem angielskim, odesłano go Anglii, do dyspozycji ,,Naczelnego Wodza''. Gdyby nie to spóźnienie o pół godziny w Brest, Łubieński dotarłby już w 1940 r. do Londynu, i ta zmiana może wpłynęłaby poważnie na jego dalsze losy, a w każdym razie zupełnie inaczej ułożyłaby jego życie prywatne, na pewno dużo pomyślniej.

W dwójce Łubieński odznaczał się tymiż walorami, które cechowały go jako dziennikarza: spokojem, rozsądkiem, taktem, dyskrecją, łatwością nawiązywania kontaktów, umiejętnością obchodzenia się z przełożonymi, z których zawsze sobie bimbał, ale umiał zawsze zażywać, jak tabaki. Nie miał *des idées préconçues,* jak ja, co do oficerów, ale orientował się w mentalności zawodowego oficera równie dobrze, jak dawniej w mentalności plebanów — zresztą dodawał, że obie są podobne. ,,Próżność, mój drogi, nieraz mi mówił, próżność jest główną cechą normalnego oficera. Próżność i niewyżycie się — to są wszystko zapoznane geniusze, każdy z nich chce bajać o sobie, o swych zasługach, i o tym, że wszystko przewidział, i że mu się krzywda dzieje, i że jakiś drań X czy Y świnię mu podpuszcza itd. Trzeba tych bredni słuchać poważnie, i udawać, że się wszystko bierze za dobrą monetę; wówczas można facetulka okręcić dookoła małego palca. Inna sprawa, że potem każda zasługa będzie zawsze na kredyt twego szefa, a każdy wpadunek idzie na Twój debet''. — Ale, jak zwykle, Łubieński szybko zapominał o niemiłych wrażeniach i przeżyciach: zawdzięczał to wesołemu usposobieniu i temperamentowi Łubieńskich. Śmiał się też z tych wszystkich X 27, i bagatelizował znaczenie wywiadów. ,,Wielka bujda, mawiał. Jedyna rzecz realna — to wykradzenie dokumentów, a i to, co to właściwie daje... A już te wszystkie podsłuchy czy już zwłaszcza agenci i konfidenci, przecież to z reguły jełopy i analfabeci''... Tak samo wyśmiewał się z legend o różnych Mata Hari, słusznie powiadał, że chodzi wówczas tylko o romanse, finansowane

przez pieniądze wywiadu lub kontrwywiadu, bo o takiej cudow-nej szpiegówce wie zaraz cały świat. ,,Jeżeli kobieta nadaje się na agenta, mówił mi nieraz, to tylko stara i ohydna baba, na którą nikt nie chce patrzeć, taka jeszcze czasem potrafi jakiś potrzebny dokument wykraść. Ale, dodawał, najważniejszym jest własne wyrobienie i znajomość kraju i stosunków, czyli to co powinno być domeną normalnego dziennikarza: sto razy daje to więcej od wszystkich rzekomo tajnych raportów''. Tam też w Afryce Północnej, Łubieński spotkał się po raz pierwszy z Amerykanami, i jakoś zawsze umiał do nich trafić, w przeci-wieństwie do Anglików i Polaków, naturalizowanych w Stanach a udających super-Amerykanów.

Po kilku miesiącach pracy w Rubensie Łubieńskiego wy-słano do Madrytu, oficjalnie na attaché prasowego, faktycznie na attaché wojskowego, albowiem neutralna Hiszpania nie chciała się zgodzić na przydział oficjalnego przedstawiciela na-szego wojska do poselstwa naszego w Madrycie. W trudnej sytuacji Łubieński potrafił zręcznie pomagać naszym kurierom w przedostaniu się z okupowanej Francji do Lizbony i Londynu, ułatwiał wysyłkę pieniędzy do kraju poprzez Pireneje. Jak zaw-sze obrotny i aktywny, taktowny i zgrabny, nie łudził się ani chwili co do sytuacji. Po wyzwoleniu Francji pisał mi z Madrytu, że znaczenie placówki madryckiej siłą rzeczy maleje, i przewi-dywał najgorszy przebieg wypadków. Chociaż poselstwo nasze w Madrycie cieszyło się nadal *agrément* rządu Franco, Łubieński powoli musiał znaleźć sobie inne źródła utrzymania, bo mizeria finansowa rządu londyńskiego nie pozwalała na utrzymanie kogokolwiek, poza posłem, wówczas (i teraz) Józefem Potockim. Mimochodem wspomnę, że Łubieński nie tylko był zawsze wo-bec Potockiego lojalny, ale że był mu szczerze oddany, zawsze chwalił jego patriotyzm, doświadczenie, prawość, uczciwość, po-święcenie, jego takt i wyrobienie. Brak zawiści, zazdrości, pretensyj — to była jedna z najsympatyczniejszych cech Łubień-skiego, która czyniła go niezmiernie odpoczywającym — w po-równaniu z prawdziwą manią prześladowczą, cechującą prawie wszystkich Polaków, a już specjalnie pisarzy, dziennikarzy, po-lityków, dyplomatów i wojskowych.

Dziennikarze i pisarze przeważnie nigdy nie chcą słuchać, interesują ich tylko ich własne myśli, własne koncepcje. Pod tym względem prawie wszyscy jesteśmy do siebie podobni: i obaj Mackiewicze, i obaj Nowakowscy, i ja, i Grydzewski, i Sakowski. Otóż pod tym względem Łubieński był wyjątkiem: wolał z włas-nym zdaniem nie wychylać się z nieznajomymi, robił to tylko w stosunku do przyjaciół, natomiast był gotów słuchać, chyba że stwierdził definitywnie, iż facet nic nie ma do powiedzenia. Większość z nas chce w rozmowie brylować: Łubieński zawsze myślał, czy i na co rozmówca może mu się przydać.

Po końcu wojny emigracja zainstalowała w Londynie dość rozległą, jak na nasze możliwości, prasę. Obsadzono je niefortun-nie: wyszukano nie tylko aferzystów, ale i pętaków, jakieś po

staci blade, wyróżniające się głównie zupełnym brakiem rozsądku, wyrobienia i zwłaszcza talentu. W obsadzaniu tych sztabów prasowych elementy konserwatywne miały raz jeszcze wpływ bardzo znaczny. Przeszukano wszystkie wybiórki z ,,Czerwoniaków'': do Łubieńskiego nie zwrócił się nikt. Polscy politycy konserwatywni pozostali wierni swej doktrynie ignorowania dziennikarzy bez etykiety lewicowej, chociaż wszystko co zostało po wojnie z obozu zachowawczego — to było kilku rozsądnych dyplomatów, którzy rozumieli (choć rzadko śmieli to powiedzieć publicznie), iż Polska musi prowadzić ostrożną, przezorną i trzeźwą politykę zagraniczną, kilku wyrobionych dziennikarzy i publicystów, paru światłych uczonych i kilka ładnych kobiet. Dyplomaci, urzędnicy, profesorowie, i naturalnie wojskowi byli z sobą z grubsza solidarni. Ale dziennikarzy poświęcono natychmiast, jako ,,warchołów'', czy jako znajomych drugiej kategorii. Tak konserwatyści polscy postępują stale od 1918 roku. Sami wyrzekają się swej najlepszej artylerii. I w rezultacie prasa i propaganda polska są stale w rękach Litauerów, tyle tylko że z biegiem czasu coraz bardziej zaściankowych, coraz głupszych.

Łubieński miał wiele talentów, ale jak prawie wszyscy potomkowie rodzin ziemiańskich, i jak bez mała wszyscy zawodowi pisarze i dziennikarze nie miał pojęcia o tak zwanych interesach. Uważam — wbrew zdaniu większości naszych działaczy i redaktorów — że trzeba młodym jak najbardziej odradzać karierę dziennikarską, bo zwykle każdy w niej po paru latach zasmakuje, a po 10 latach staje się do innej pracy niezdolny. Więc jeżeli taki młody człowiek nie ma danych na dziennikarza, wyrządza się mu krzywdę, skazuje się go na wieczne klepanie biedy, a prasę i budżety prasowe obciąża się martwymi pozycjami. Sam w mej karierze, zwłaszcza radiowej w Voice of America, widziałem wiele przypadków werbowania młodych ludzi, którzy nie mieli najmniejszych choćby talencików, najmniejszej smykałki w tym kierunku: było to połączone z ciężką krzywdą nie tylko dla instytucji, które mogły sobie z tego bimbać, ale zwłaszcza z wykolejeniem tych młodych ludzi, którzy może staliby się dobrymi buchalterami czy nadzorcami parku samochodowego jakiejś fabryki, a tymczasem zrobiono z nich grafomanów i ludzi do niczego. Gdy się raz kogoś do dziennikarstwa wciągnęło, powinno mu się do śmierci zapewnić posadę — inaczej skazuje się człowieka na śmierć głodową. A ci, co przeprowadzają takie ,,redukcje'' robią sobie potem najgorszych wrogów, alimentują szeregi ludzi podejrzanych, agentów, szpiegów, malkontentów. ,,Redukcje'' personalne więcej zrobiły sanacji wrogów, niż Brześć i Bereza.

Dość że Łubieński musiał w Madrycie imać się ,,interesów'', by się jakoś utrzymać. Był to na pewno bardzo smutny okres jego życia. ,,Interesy'' skończyły się długami, i później biedak przez lata żył jak najskromniej, najoszczędniej, by te długi spłacić. Na szczęście mu się to udało, choć kosztem heroicznych poświęceń. Pod tym względem nasza emigracja ogro-

mnie korzystnie odbija od poprzedniego pokolenia, kiedy to niepłacenie długów uchodziło w Polsce za rzecz omal szykowną, a w każdym razie normalną. Wśród mych znajomych na wygnaniu nie znam nikogo, kto by tę zgubną filozofię ,,konsumpcyjną'' wyznawał. I uważam, że jest to jeden z najważniejszych kryteriów zdrowia moralnego, wartości charakteru i zadatków na lepszą przyszłość. Sam osobiście nigdy bym i nigdzie nie wysunął nikogo na odpowiedzialne stanowisko, kto by odznaczał się lekkomyślnym stosunkiem do pieniądza i do długów.

Dość że Łubieńskiemu było bardzo ciężko, i gdym się dostał do ,,Voice'' w Monachium nie szczędziłem żadnych wysiłków, by Łubieńskiego tam ściągnąć. Była to jedyna konkretna, realna usługa, którą kiedykolwiek przyjacielowi temu oddałem: ale com się namęczył przy tej okazji! Moim szefem był jakiś nieszczęsny człowiek, którego jedyną kwalifikacją był paszport amerykański: nie tylko że sam nie był w stanie dwóch zdań napisać, nie tylko że nie miał cienia wyobrażenia o tym czym jest prasa czy radio czy propaganda, ale odznaczał się absolutną, idealną nieznajomością świata dziennikarskiego: mniej wiedział o kwalifikacjach na dziennikarza i mniej się orientował w hierarchii polskiego świata dziennikarskiego, niż ja w personaliach rządu pana Lumumby i jego antagonisty pana Tchombé.

Wreszcie w maju 1953 Łubieński zjechał do Monachium, i w ten sposób, ponownie, u schyłku życia znowuż mogliśmy przez rok kolegować. W jakżeż odmiennych warunkach! Nie była to już żadna praca polityczna, po prostu obaj mieliśmy posady. Wymagano od nas tylko byśmy 8 godzin odsiedzieli w biurze, odwalając mechanicznie kawałki, nieprzejawiając żadnej inicjatywy, nie wychylając się nigdy z żadnym zdaniem. Dnie się toczyły szaro i jednostajnie na tłumaczeniu z angielskiego monstrualnie zredagowanych depesz: dopiero dnie wolne przynosiły jakąś przerwę w tej idealnej martwocie. Pamiętam, jak już po 3 dniach Łubieński mi mówił: ,,Mój drogi, widziałem w życiu wiele bezsensownych instytucji, ale takiego dziwologu nie widziałem nigdy''. Było to w pewnym sensie tragiczne: były to najcięższe lata stalinizmu i zimnej wojny, był to okres głębokiego kryzysu w Sowietach, spowodowanego walką o władzę po śmierci Stalina, był to okres, w którym śmiała myśl, śmiała inicjatywa mogły poważnie wpłynąć na ewolucję wypadków. Lecz był to też okres werbalizmu Dullesa, który momentu nie wyzyskał i poza ,,Sunday-preaching'' nigdy się nie wychylił: a zależny od niego ,,Voice'' myślał tylko o satysfakcji szefów, z Dullesem na czele, nigdy o słuchaczach w kraju. Cóż dwaj biedni urzędnicy, zepchani zresztą do rangi ,,lokalnej'', całkowicie zależni od humorów i łask ,,Amerykanów'' (z racji paszportu, bo normalnie nawet nie mówiących po angielsku!), mogli na to poradzić? Ja objeżdżałem góry, i zamki, i jeziora, Łubieński spłacał długi, obaj odwiedzaliśmy umierającego na raka A. Chrząszczewskiego (Jerzego Lipskiego), w niedzielę chodziliśmy do kościoła; między sobą, i jeszcze z Feliksem Chrzanowskim

(bo reszta naszego zespołu składała się z ,,niegramotnych'') wymienialiśmy poglądy polityczne, ale już na poziomie czysto kawiarnianym. Łubieńskiego zainteresowania polityczne nie opuszczały zresztą nigdy. Pamiętam, jak 6 września 1953, w czasie wyborów do Bundestagu, Łubieński i ja staliśmy na wówczas jeszcze zburzonym i opustoszałym Karlsplatz (Stachus) i oglądaliśmy pierwsze w Bawarii pasma świetlne z rezultatami wyborów. Łubieński mieszkał wówczas zaledwie od czterech miesięcy w Niemczech, po niemiecku mówił wówczas bardzo słabo, ale już zdążył — z własnej pilności naturalnie, bo przełożonych naszych taki pomysł mógł był tylko przerazić! — gdzieś pobiegać, pogadać z jakimiś szoferami czy zamiataczami ulic, i, przy pomocy swego ,,nosa'' swego prawdziwego instynktu dziennikarskiego już się orientował w sytuacji. ,,Zobaczysz — prawił z uporem — że Adenauer odniesie ogromne zwycięstwo, kolosalny sukces''. Ja mieszkałem wówczas w Monachium już od lat dwóch, a nie byłem tego tak bardzo pewny, nie wierzyłem w absolutną większość Adenauera. Rezultaty wykazały, że Łubieński, najlepiej wyniki przewidział. Raz jeszcze się przekonałem, że ten człowiek miał skarby rozsądku i wrodzony talent sondowania opinii publicznej.

Jakże odmienne były te wspomnienia monachijskie o Henryku od warszawskich! Wówczas roznosiły nas ambicje, ekscytowały nas różne piękności, lataliśmy po Bristolach, tęskniliśmy do Paryża. Teraz dożywaliśmy żywota, jak rozbitki, które dotarły do portu.

Nigdy nie zapomnę, jakim ciosem była dla mnie — wpośród tej całej euforii — ,,redukcja'' Łubieńskiego. Współczułem z głębi serca przyjacielowi, który — tak jak każdy polski dziennikarz — był wobec losu zupełnie bezsilny: podczas gdy każdy nasz kolega, dziennikarz-Niemiec, cóż dopiero Amerykanin, mógł każdej chwili o coś innego się zahaczyć, o co, o kogo, mógł zahaczyć się polski emigrant? Jak rozpoczynać, w tym morzu wrogości i obojętności, nową karierę? Jak znaleźć siły i energię, by raz jeszcze startować? Łubieński siedział struty, milczący, ponury — on, z natury taki wesoły, pogodny, optymistyczny. Odczułem tę redukcję, jako osobisty policzek. Ta redukcja była votum nieufności dla mnie. Była powiedzeniem, jak mało się z moim zdaniem liczono. Czułem i rozumiałem, że jedyną dla mnie właściwą reakcją byłoby natychmiastowe podanie się do dymisji, a jednocześnie nieszczęsny instynkt samozachowawczy paraliżował we mnie tę jedyną zdrową i uczciwą reakcję. I wreszcie było mi głęboko żal mych pracodawców amerykańskich. Prawda, byli to ludzie ograniczeni i bez polotu. Ale ożywiały ich najlepsze intencje. Swoje radiostacje Amerykanie stworzyli w najlepszych, altruistycznych intencjach, pragnąc zmobilizować najlepszych Polaków — dziennikarzy i pisarzy — na emigracji, by jakąś otuchę przynosić okupowanemu krajowi. I oto dzięki fatalnej polityce personalnej, dzięki kompletnej ignorancji stosunków polskich, wyrządzali sobie samym najgorszą

krzywdę, obniżali zaufanie do Ameryki, wpajali, wbrew własnym intencjom a dzięki durakom spod najciemniejszej gwiazdy, przekonanie w swych własnych pracowników, że nie są oni aliantami, lecz tylko najemnikami, zależnymi od kacyków godnych tylko pogardy.

Na szczęście Łubieński zdołał uniknąć śmierci głodowej, dzięki Radiu ,,Wolna Europa''. Został przedstawicielem tej radiostacji w Berlinie: przyjęty z natury rzeczy, dzięki niedźwiedziej usłudze ,,Voice'u'' zrazu omal z łaski, zdołał wkrótce zaskarbić sobie i zaufanie, i szacunek, i przyjaźń nowych szefów, i harmonijnie współpracować z nimi na nowej placówce aż do śmierci. Nigdy go w Berlinie nie odwiedziłem, a od 1954 roku spotykałem Łubieńskiego tylko rzadko, w Monachium lub w Paryżu. Lecz pisał do mnie często. Na nowej, eksponowanej placówce Łubieński odnalazł dawniejsze zainteresowania polityczne: gros listów poświęcał analizie polityki sowieckiej, sytuacji Berlina, ewolucji stosunków niemiecko-sowieckich. Był zawsze trzeźwy. Po pierwszym ultimatum Chruszczowa w sprawie Berlina w listopadzie 1958 roku pisał mi, że Zachodni Berlin będzie można zapewne uratować, lecz że jego rola jako taranu antybolszewickiego, jako placówki promieniującej na Wschód się skończy, pozostanie Berlin, nie będzie przyczółka dla zimnej wojny.

Łubieńskiego widziałem po raz ostatni dwa lata temu w Paryżu. Był zawsze szczupły, miły, uroczy, dobrze ubrany, tylko bardziej łysy i bardziej siwy. Chodziliśmy po ulicach, gdzie mieszkaliśmy przed 35 laty, po kawiarniach, gdzieśmy za tych studenckich lat popijali kawę lub *un petit blanc sec.*

Mówił mi wówczas, że ma raka krwi, wiedział, że jego miesiące są policzone. Jak zawsze, zachowywał całkowity spokój. Prosił mnie tylko, bym nikomu o tym nie mówił: był przeciwieństwem ekshibicjonisty.

Nie byłem przy jego śmierci. Bóg miłosierny sprawił, że był nieprzytomny, w malignie pono tylko wołał: bolszewizm, Free Europe... Do końca pozostał wierny zamiłowaniu do polityki. Zmarł w kieracie, uniknął wózka, inwalidztwa, życia z jałmużny. U łoża umierającego wiernie czuwali żona i syn. Był wciąż aktywny, wciąż zarabiał na siebie, był w zgodzie z Kościołem i jego prawami. Myślę, że nie chciałby innego końca.

Słyszę, że zwłoki Łubieńskiego mają być przewiezione do rodzinnego Zassowa, choć w tamtejszym dworze znajduje się dzisiaj siedziba jakiegoś kołchozu. Był on przywiązany do tego kawałka rodzinnej ziemi, do tego piaszczystego krajobrazu, porosłego smutnymi gruszami polnymi. Myśl o wiecznym spoczynku w tym kącie ziemi rodzinnej na pewno by go ucieszyła. Obecnym ustrojem na pewno się w grobie nie przejmuje: wiedział on zbyt wiele o zmienności dziejów.

W. A. ZBYSZEWSKI

Kroniki miasta Pornic

ZAMEK SINOBRODEGO

Zamek na skale słonej od przyboju
zbudowano w dziesiątym wieku. Pokład każdej łodzi
zmierzającej do portu w czas przypływu
dosięgnąć można strzałem z kuszy.
Odpływ pokazuje cienką linię raf.
Gilles de Laval natomiast, baron de Retz,
był, myślę, chuliganem albo teddy-boy albo halb-starke.
Ojciec jego zginął na polowaniu w 1415 roku
bo kordelas nie trafił w mocne serce dzika.
I Gilles miał być może zbyt wiele swobody,
choć nauczono go czytać i mówić po łacinie
oraz podziwiać sztuki wyzwolone.
W złym towarzystwie nadwornych Falstaffów
szczenię było postrachem tutejszych okolic.
Miał lat szesnaście kiedy poślubił Katarzynę de Thouars.
I jeden z pierwszych wyruszył pomagać Joannie d'Arc,
nieustraszony, prawe ramię Joanny,
on to podtrzymał ją ranną w bitwie pod Tournelles.
Ale później, dwudziestosześcioletni Marszałek Francji,
nudził się, więc opłacał poetów i aktorów
oraz ,,pogwałcił wszelkie prawa boskie i ludzkie'', jak powiada [kronika,
tu, w zamku Pornic, oddając się rozpuście.
Wyrokiem sądów świeckich i duchownych skazany w Nantes.
Kat go udusił, ale ciało nie spadło w płomień
bo sześć kobiet w welonach podniosło je aby złożyć w poświę- [conej ziemi.
Mówią, że arcybiskup, książę i rodzina
zabili go, chciwi majętności.

GALIPAUD

Koło portu przechodzę uliczką Galipaud.
Proboszcz Galipaud nie był patriotą
i odmówił złożenia przysięgi na Konstytucję.
Ukrywał się więc w grotach i odprawiał msze
w domach na wrzosowisku. Straże zbrojnych chłopów
nawoływały się hukaniem sowy.
Osaczony, znalazł schronienie w baszcie zamku
u markizy Brie-Serrant, aż korweta ,,Alcyon''
ratująca bretońskich księży wpłynęła na te wody.
Przebrany za marynarza patrzył z rozpaczą na brzeg
kiedy okręt pod pełnymi żaglami wychodził z zatoki,
mijał wyspę Noirmoutier i brał kurs na południe.
Galipaud umarł na wygnaniu, w San Sebastian, tęskniąc.
Okazuje się tutaj sprzeczność pomiędzy szczególnem i ogólnem
gdyż kochali go ci nawet co tańczyli Carmagnolę.

DZIEDZICE

Markizę Brie-Serrant i jej córkę Annę
aresztowano bo przechowywały proboszcza Galipaud.
Nie opuściły wzroku siadając w dyliżans
ponieważ spełniony został obowiązek.
W drodze do Nantes, dokładnie, w Moutiers,
pijani mężczyźni karali je za dumę.
Rewolucyjny trybunał ogłosił wyrok
i nie płakały w celi śmierci.
Kiedy prowadzono je na miejsce kaźni
brodaci siłacze obalili strażników.
Byli to marynarze korwety ,,Alcyon''
stojącej na kotwicy przy ujściu Loary.
Rozpamiętując przeraźliwość świata
który zabiera nam dziewictwo pamięci i ciała
Anna, kiedy matka umarła, wstąpiła do klasztoru.
A markiza ścięto w Paryżu za udział w spisku,
chciał bowiem porwać króla tuż sprzed gilotyny.
Zamek był pusty. Aż zagnieździł się w nim
kowal zwany Nędzą, najuboższy z obywateli.
Monsieur Lebreton, kupiec, dał mu dwieście franków
byle się wyniósł i dług ostatnich dziedziców,
pięćdziesiąt tysięcy, wykupił za tysiąc dwieście.
W spadku wziął zamek Joubert, fabrykant sukna.

WANDEJCZYCY

O nierozumni Wandejczycy, że wy, nazywani bandytami,
zdobywszy Pornic chcieliście się zemścić, to można pojąć,
i rozstrzelaliście krawca Viau, notariusza Bonamy, Libeau
[kowala,
kupców Martin i Tardiff, leśnika Poisson, dwóch cieśli
[okrętowych
i nawet starca Naud, choć miał osiemdziesiątkę.
Ale żeby wieczór triumfu święcić winem
i upić się nieprzytomnie, jak potrafią chłopi,
nie ustawiwszy nawet nigdzie straży?
W ciemności zbliża się już oddział pod dowództwem księdza-
[patrioty
i będziecie wyrżnięci albo wzięci w niewolę.
O świcie w piasku plaży kopano doły
(to znaczy że odpływ na te godziny przypadał)
i dwustu piętnastu z was zostało oddanych krabom,
podczas gdy dwustu pięćdziesięciu stało zataczając się
i z ust im ciekła ślina przerażenia.
Do niedawna jeszcze powtarzano opowieść
bardzo starej kobiety: wtedy kilkuletnia
biegła z koszykiem dróżką nad zamkową skałą.
Uzbrojeni mężczyźni kazali jej uciekać
bo kiedy rozstrzeliwuje się jeńców nie potrzeba świadków.

MADONNA OCALENIA

Były srogie zimy kiedy wymarzało wino.
Wilki nad ranem biegły ulicami.
Były wieczory kiedy nadaremnie
kobiety wkładały najpiękniejsze stroje
i zbierały się na skale zaklinając ptaki.
Ptak widzi w dole morze ciemne, ciemne.
Rudy żagiel wleczony w bruździe fali
wydaje mu się algą, twarz tonących
nie dla niego jest twarzą mężów i kochanków.
Ale wiek za wiekiem otwierała ręce
w granitowej kaplicy Madonna Ocalenia.
Zaiste, ocean czyni z nas to czym jesteśmy naprawdę:
dziećmi udającymi przez chwilę mądrość kapitanów
i ludzkość jest wtedy kochaną rodziną
a tysiąclecie liczy się za dzień jeden.
Matko, uratuj mnie, grzeszne moje życie,

wróć mnie na piękną ziemię, jeszcze daj mi czas.
Matko, nie zasłużyłem, ale zacznę na nowo.
Ty nie żyłaś daleko bo jesteś koło mnie.
I w kapturach ociekających wodą, boso, ze spuszczoną głową,
myśląc: dlaczego ocaliła mnie,
szli złożyć na jej ołtarz ślubowaną świecę.
Potem pili, wrzeszczeli, kobiety poczynały.
Jej uśmiech znaczył, że podług jej woli.

SŁOWACKI

O smętny, o kochany
Srodze ty oszukany.
Nie duch wieczny rewolucjonista, Lucifer,
wije się w przebitym zębatą ością węgorzu,
Nie on ma tak twarde życie że łbem o kamień
trzeba go długo rzucać, aż ucichnie.
Łoskot i szum ten sam ale nie ma wcieleń.
Piana zatruta posoką, martwy morski pająk
jest tylko tym czym jest, niczym więcej.
Cokolwiek pisał Lamarck na próżno łańcuch żywotów
splatać w girlandę żurawi aby mękę ciał
demokratycznie przybrać w dążenie i cel.
Samotni. Samotni z naszymi dębowymi skrzyniami,
luidorem i wstążką i farbką do ust
i echem dzwonów Świętego Andrzeja.
Kiedy spacerowałeś tutaj był wrzos i żarnowiec,
małe czarne owce pasły się koło druidycznych głazów,
notariusze i kupcy pobudowali wille,
łoża ich, lustra ich z odbiciem wysoko upinanych włosów
i nagich ramion nad krzaczastym cieniem
idą po niebie w migotaniu świec.
Bracie Atessy na Luksoru wyżyni!
Ty nie byłeś bratem węża który spojrzał w słońce.
Oddzielone są na zawsze świadomość i nieświadomość.
Po cóż mówiłeś tak dużo? Każdy jak ty truchleje
bo życie ostateczne i śmierć ostateczna.
Ale masz, daję tobie tę szklankę koniaku.

LOUKIANOFF

Jeżeli osiedli się wśród was cudzoziemiec
przyjmijcie go łaskawie, bo nie znacie lasów
po których biegał dzieckiem i drogich mu imion

nie umiecie wymówić — a jednak co jego
jest i wasze naprawdę, choć o tym nikt nie wie.
Fotograf pod szyldem „Studio Loukianoff"
Był kiedyś oficerem carskiej armii.
Stranno jemu zdieś pajot okiean.
Że obcy jest potrzebny złożył dowód
kiedy za sprawą trzech Polaków spadło na Pornic nieszczęście.
Albowiem do Maurice'a, członka Résistance,
przyszło w sierpniu 1944
(Niemcy trzymali się tutaj aż do końca wojny)
trzech Polaków w mundurach Wehrmachtu
ofiarowując współpracę i broń
w zamian za cywilne ubrania.
Czy jeden z nich wygadał się swojej dziewczynie?
Więc wzięto zakładników, bliska była data,
jeżeli nie stawi się winny, Maurice, który uciekł.
Wtedy Łukianow rozpoczął rozmowy
z majorem Potierejką, dowódcą rosyjskiego batalionu.
Potierejka naciskał na hauptmana Meyera
(Właśnie Rosjanie mieli zastąpić niemiecki garnizon).
Wrócili zakładnicy. A Polacy
pochowani są na cmentarzu Sainte-Marie.
Zmienili się na zawsze w „trois soldats polonais".
Mają nagrobek z orłem: „dar Samarytanów".

BRITISH WAR CEMENTERY

Pod drobnym deszczem który wsiąkał w strzyżone trawniki
rząd za rzędem, czy imię, nazwisko i pułk,
czy tylko krótko: „Żołnierz, znany Bogu",
czytałem: „17 czerwca 1940".
Pamiętam ten dzień w Wilnie, na Placu Katedralnym.
Wtedy „Lancastria" wiozła z Francji cztery tysiące żołnierzy
i bomba niemiecka wpadła w komin i statek pękł
rozlewając oleistą masę w której nikt nie mógł pływać.
Uratowało się stu czterdziestu dziewięciu. Ich koledzy
powoli wędrowali niesieni prądami,
pomykali w grzywaczach koło St. Brévin-Océan,
koło Préfailles i tutaj, obciążając rybacką sieć.
A także marynarze statków zatopionych przez łodzie podwodne
jeżeli zwolniły ich z otchłani czarne kleszcze homarów
leżą pod trawą, także inni,
których wiatry z nad morza niosły na spadochronach.
I kapitan S. Makowski, lat trzydzieści,
syn Henryka Makowskiego z Kruszwicy.
I obok Muriel Tamara Byck, Women's Auxiliary Air Force,
pod kamieniem z izraelską gwiazdą,

„nasze jedyne dziecko i kochana córka".
Mówił tak Mr. Richard, opiekun cmentarza,
(zaprowadził mnie do niego chłopiec od rzeźnika):
— A, tych dwoje? To byli wielcy przyjaciele.
Zginęli w ostatnim roku wojny.
Przywieziono ich z daleka, aż spod Pirenejów.
W jakiej wysłani misji nie wiadomo.
Panna Byck jest z rodziny rosyjskich emigrantów.

Znów nie uważasz, Makowski! I nauczyciel polskiego
szlachetnie recytował początek „Genezis z Ducha":
Tu, gdzie za plecami moimi
palą się złote i srebrne skały nabijane mikowcem
niby tarcze olbrzymie przyśnione oczom Homera,
tu gdzie odstrzelone słońce...
Makowski nie uważał. Makowski chciał na boisko.
Nie mógł odgadnąć, że będzie częścią tego właśnie krajobrazu,
ani że po Londynie biega Muriel Byck
dozgonna i pozgonna przyjaciółka.

PORNIC

Port śmierdzi kloaką, nie tylko rybami.
W kasynie orkiestra i prócz niej nikogo.
Zakonnice podciągają habity, pluska fala
na wrzask lepiących babki kolonii wakacyjnych.
Wycięto las dębowy gdzie leżał skarb piratów.
Pył, karłowate krzaki, wyschłe solawy.
Emeryci na domkach malują szarotki,
lilie wodne i pejzaże Alp.
Podczas mszy dziewczynka jak Sybilla
przewraca strony księgi na pulpicie,
litery są tak duże jak dwie dłonie.
Jest to pieśń do Madone de Recouvrance
(*qu'elle protège ce doux coin de la France*).
Prosiłem Boga żeby zrobił ze mną co zechce
i mówiłem mu, że jestem wdzięczny.
Nawet za bezsenność kiedy huczy przypływ
i rachunek życia.

Czesław MIŁOSZ

List na adres w Warszawie

Przed kilku laty spędziłem całe popołudnie na dyskusji z polskim młodym marksistą, który nie taił swej sympatii dla rewizjonizmu. W pewnym momencie mój rozmówca wypowiedział pogląd, który utkwił mi w pamięci: ,,Współczesne życie staje się coraz bardziej skomplikowane. Człowiek w wielkim mieście przemysłowym zagubiony jest w dżungli sloganów reklamowych, wydany na łup telewizji, radia, kampanii wyborczych, misjonarzy konkurencyjnych wyznań — tumaniony i równocześnie konfrontowany z najdonioślejszymi problemami epoki jak bomba atomowa, rozbrojenie, wojna czy pokój. Polityka — tak jak termin ten rozumiany jest na Zachodzie — nie daje odpowiedzi na zagadnienia tego wymiaru. Odpowiedzieć na te problemy może tylko ideologia. Bo ideologia — w przeciwieństwie do polityk staroświeckich partii — jest systemem i filozofią, która uczy co jest dobre a co złe — innymi słowy, uczy rzeczy najistotniejszej: jak należy żyć''.

Przypomniałem sobie tę wypowiedź czytając wynik głosowania TUC (*Trade Union Congress*) na wyspie Man. Dwie sprzeczne rezolucje, które zostały uchwalone w kardynalnej sprawie zbrojeń atomowych — dowodzą, że polityka nie musi być — jak to głosił Bismarck — ,,grą rzeczy możliwych''. Okazuje się, że może być czasem grą rzeczy niemożliwych.

Emigrantom trudno jest zrozumieć tego typu masowe rozszczepienie jaźni. Trudno jest nam to pojąć, ponieważ my wszyscy jesteśmy wyznawcami ideologii i jako wyznawcy harmonizujemy bez trudności moralność z polityką. Polityka niepodległościowa — tak jak rozumiemy ten termin na emigracji — jest w znacznie większym stopniu ideologią niż polityką w praktycznym, racjonalnym tego słowa znaczeniu. Stosując pewne uproszczenie w myśl naszej ideologii komunizm z istoty rzeczy jest złem i w konsekwencji, wszystko co zmierza do jego likwidacji jest dobrem. Nasz stosunek do komunizmu jest

czysto narodowo-osobisty. Odrzucamy komunizm w pierwszej linii jako Polacy a nie jako krzyżowcy demokracji. Teoria i założenia filozoficznie komunizmu mało nas interesują i gdyby komunizm nie był komunizmem lecz faszyzmem ustosunkowalibyśmy się do niego identycznie. Komunizm jest bowiem systemem zaborczego państwa, które pozbawiło nas niepodległości i to jest zasadniczy punkt w tej całej sprawie.

Ale przeciętny Anglik nie ma ,,ideologii niepodległościowej'' ponieważ Związek Sowiecki nie zagraża bezpośrednio niepodległości Anglii. Jego stosunek do komunizmu jest stosunkiem agnostyka do egzotycznej religii.

Czy można walczyć z komunizmem z postawy agnostycznej? Nie — i dlatego z komunizmem nikt nie walczy, tak, jak nikt nie walczy i Islamem. Jeżeli władze, organizacje czy jednostki interesują się komunistami swoimi czy cudzymi to zawsze ze względów praktyczno-politycznych. Nikogo nie interesuje marksizm tylko powiązania z Rosją. Nie jest istotne czy pan X głosi wyższość poglądu materialistycznego nad innymi poglądami — istotne jest tylko czy nie uprawia szpiegostwa na rzecz Związku Sowieckiego.

Prawo do agnostycyzmu jest sprawdzianem wolności i demokracji. Tam gdzie nie wolno być agnostykiem nie ma wolności ani demokracji. Agnostycyzm na Zachodzie, a w szczególności w Anglii, jest wynikiem długiego historycznego procesu.

W lipcu bieżącego roku minęło 100 lat od słynnej kontrowersji na temat teorii Darwina pomiędzy T. H. Huxley'em a biskupem Oxfordu. ,,The Observer'' wykorzystując jubileusz ,,Royal Society'' — wznowił na swych łamach dramat sprzed stu laty. Zaprosił wnuka T.H. Huxley'a znakomitego biologa Sir Juliana Huxley'a (brata Aldousa), a na jego przeciwnika poprosił czołowego teologa kościoła anglikańskiego Dr. E.L. Mascall'a z Oxfordu. Huxley w swej wypowiedzi reprezentował pogląd agnostyczny — Dr Mascall pogląd religijny.

Ale mimo, że obie wypowiedzi były na znakomitym poziomie — widowisko wypadło martwo. To tak, jakby ktoś dziś wskrzeszał proces Sokratesa. Nie było żadnego listu do redaktora — żadnego echa w prasie. Potraktowano to wznowienie jako występ jubileuszowy nie mający żadnych powiązań z współczesną sytuacją.

Nie oznacza to, że życie religijne wymarło w Anglii. Być może, że ludzi szczerze religijnych jest dziś na tych Wyspach więcej niż sto lat temu. Ale prawo do postawy agnostycznej jest powszechnie uznane i dlatego agnostycyzm przestał być problemem.

Agnostycyzm jest fundamentem tolerancji. Prawdziwa tolerancja jest późnym owocem racjonalizmu. Ludzie z natury są nietolerancyjni. Racjonalista jest tolerancyjny w tych sprawach w których nie może być nietolerancyjny. Innymi słowy jest tolerancyjny w odniesieniu do zagadnień, które w danym okresie rozwoju nauki nie są obiektywnie przesądzone. Nie jesteśmy

tolerancyjni w sprawie szczepienia ospy — bo istnieją obiektywne dowody w tej sprawie. Odrzucamy natomiast pogląd o niższości rasowej Murzynów, ponieważ zwolennicy tej teorii nie są w stanie poprzeć jej obiektywnymi dowodami.

Na wyższym szczeblu, tolerancja w ramach kultury zachodniej wypływa z przekonania, że nie dysponujemy „prawdami absolutnymi". Gdybyśmy dysponowali „prawdą absolutną" tolerancja straciłaby wszelki sens. Wszyscy hołdowalibyśmy jednemu — oczywistemu w swej absolutnej prawdzie — światopoglądowi, a słowo „tolerancja" moglibyśmy spokojnie wykreślić ze słowników, jako termin bezprzedmiotowy i bezużyteczny.

Do takiej metafizycznej utopii dąży marksizm. Marksiści odrzucają agnostycyzm ponieważ uważają, że prawda absolutna jest nie tylko osiągalna ale częściowo już osiągnięta. Dlatego w świecie komunistycznym tolerancja jest tylko formą taktyki a nie postawą kulturalną.

Komuniści odżegnują się od dogmatyzmu i piętnują dogmatyków na równi z rewizjonistami. Przyznaję, że marksizm nie ma wielu dogmatów. W rzeczywistości ma tylko jeden dogmat, ale ten jeden decyduje o wszystkim.

W „Podstawach Marksizmu-Leninizmu" (oficjalne wydawnictwo sowieckie — przekład polski) w rozdziale „Teoria poznania" czytamy m.in.:

„W procesie poznania wykrystalizowują się i gromadzą cząstki prawdy absolutnej. Do ich liczby należą też fundamentalne zasady nauki marksistowsko-leninowskiej. Ostatnie można i należy rozwijać, wzbogacać i konkretyzować na gruncie danych nauk i praktyki społecznej, ale nie wolno się ich wyrzekać. Byłoby to bowiem sprzeniewierzeniem się prawdzie".

Któż chciałby sprzeniewierzać się prawdzie? Gdyby powyżej przytoczone dogmatyczne stwierdzenie było istotnie „cząstką absolutnej prawdy" — nie byłoby zbrojeń, nie byłoby konfliktów Wschód-Zachód — ponieważ wszyscy wykształceni ludzie byliby od dawna marksistami.

Jest coś oczywiście absurdalnego w nieodwołalnej ostateczności cytowanej deklaracji. Jeżeli podstawy marksizmu-leninizmu są cząstką absolutnej prawdy, oznacza to kres ludzkiej przygody na tej planecie. Niczego więcej nie możemy już oczekiwać. Jeżeli podstawy marksizmu są absolutną prawdą dziś — będą absolutną prawdą i za milion lat. Już nic istotnego nie może się stać ani nic istotnego nie możemy odkryć. Postęp we wszystkich dziedzinach może mieć tylko charakter drugorzędny i pomocniczy. Możemy dorzucić garść pożytecznych informacji do skarbnicy „absolutnych prawd" marksizmu-leninizmu i to wszystko.

Co innego jest być przekonanym o prawdziwości danej teorii a co innego przypisywać jej charakter prawdy absolutnej. Pozycja marksistów w świecie zachodnim byłaby niepomiernie silniejsza gdyby głosili, że są przekonani o prawdziwości swej

teorii i ufają, że rozwój wypadków potwierdzi w pełni ich teoretyczne założenia. Wówczas byłaby możliwa dyskusja i prawdziwy sukces. Z ,,absolutną prawdą'' nie ma dyskusji. Można ją tylko przyjąć albo odrzucić. Osobiście, choćbym był do głębi przekonany o trafności i słuszności wielu założeń marksizmu-leninizmu to dogmat o ,,absolutnej prawdzie'' uniemożliwiłby mi zostanie marksistą. Sądzę, że jest to reakcja typowa dla przeciętnego zachodnio-europejskiego inteligenta.

Można by zapytać jaki jest cel owego mitu o ,,absolutnej prawdzie''? Ów mit zaspakaja pewną prymitywną *social nostalgia* jeśli wolno użyć terminu J.K. Galbraith. Ludzie Zachodu nie są również wolni od owej nostalgii. Ilekroć z ust zawodowych polityków padają słowa o *simple faith* czy o *simple life* ilekroć Eisenhower zwraca się do swych słuchaczy jako ,,prosty żołnierz'' a Chruszczow jako ,,zwykły robotnik'' — wiadomo że wchodzi w grę ów prymitywny motyw ,,socjalnej tęsknoty''. Tęsknoty za prostotą i ,,twardym gruntem'' pod nogami. Odpowiednikiem tej tęsknoty jest wiara, że życie jest de facto znacznie prostsze niż sobie to wyobrażają agnostyczni intelektualiści niesforni pisarze, rewizjoniści, zwariowani socjologowie i inne ,,niepewne elementy''. Zamówieniem społecznym owej wiary jest dogmatyzm, totalizm i ,,kult jednostki''.

Galbraith w ,,The Liberal Hour'' zwrócił uwagę na fakt że ,,kult jednostki'' w bardzo znacznym stopniu jest samoczynnym procesem socjologicznym płynącym od dołu. Tylko w państwach totalistycznych ,,kult jednostki'' jest w całości sterowany odgórnie. Za przykład Galbraith podaje kult Eisenhowera. Jego ujmującą skromność, prostotę, obowiązkowość — powiększono do wymiarów heroicznych, ponieważ ludzie pragnęli dopatrzyć się w nim Mojżesza, który przeprowadzi nas pewnie i suchą nogą przez Morze Czerwone.

Nie ma żadnej różnicy ani w sensie genezy socjologicznej ani w świetle analizy logicznej między sloganem faszyzmu, że ,,Duce ma zawsze rację'' a twierdzeniem, że zasady marksizmu zawierają prawdę absolutną.

Byłoby szczęśliwie powiedzieć sobie podróżowaliśmy i błądzili przez kilka tysięcy lat. Budowaliśmy cywilizacje i religie nie rozumiejąc ani siebie ani naszej historii. A w gruncie rzeczy to wszystko jest niezmiernie proste. Tak proste, że można to zmieścić na tysiącu stron druku ,,Podstaw Marksizmu-Leninizmu''. W tym jednym tomie jest absolutnie wszystko. Filozofia etyka, ekonomia, system społeczny. Od kolebki do grobu odpowiedzi na wszystkie pytania. Przesądzone są nawet takie sprawy jak problem powstania wszechświata — choć nauka ,,burżuazyjna'' jeszcze definitywnie nie rozstrzygnęła tej kwestii.

Zawsze wprawia mnie w zdumienie bezbrzeżny antropocentryzm marksizmu. Ludzkie poznanie i ludzkie możliwości nie mają granic. W dziejach ludzkości nie było chyba filozofii równie pozbawionej sceptycyzmu. Sokrates ze swoim skromnym i ma

drym: ,,to wiem, że nic nie wiem'' — nie stanowiłby konkurencji dla prof. Schaffa.

Oczywiście ,,Podstawy Marksizmu-Leninizmu'' o których mówimy to jest marksizm w wydaniu dla ubogich. Ale wulgata jest najważniejsza. To jest bowiem prawdziwe ,,opium dla ludu''.



Być może, że za kilka czy kilkanaście lat zrealizujemy przepowiednię Oskara Miłosza i wówczas przeciwnicy koegzystencji umierając będą mogli uśmiechnąć się z przekąsem: ,,Acha, a przecież wyszło na nasze!''.

Jeżeli Oskar Miłosz powiększy legion fałszywych proroków i Rosja nie zostanie zlikwidowana kawałkiem księżyca — warto się zastanowić nad przyszłymi losami koegzystencji.

Gdybym w tej chwili wyszedł na londyńską ulicę — przy której mieszkam od tylu lat — i przeprowadził ankietę wśród moich bliższych i dalszych sąsiadów — jestem przekonany, że nikt z tych pracowitych i zwyczajnych ludzi nie określiłby obecnego konfliktu mianem starcia między światem kapitalizmu a światem socjalizmu. Trzeba powiedzieć, że rewolucja węgierska nie była w całości zmarnowana. Przeciętny Anglik wie bardzo mało albo zgoła nic o ,,tajnym'' referacie Chruszczowa na XX Zjeździe KPZS. O rewolucji węgierskiej wiedzą wszyscy. Jest rzeczą charakterystyczną, że we wszystkich wypowiedziach w związku z tą sprawą — pada zawsze słowo ,,neutralność''. Imre Nagy nie był reakcjonistą, nie wskrzeszał wielkich właścicieli ziemskich i nie zgłaszał akcesu do NATO. Był socjalistą i pragnął jedynie dla swojego kraju neutralności. Skruszenie czołgami tej ,,neutralistycznej rewolucji'' pogrzebało w oczach Anglika z ulicy ostatnie iluzje ideologiczności obecnego konfliktu. Czy na ulicach Budapesztu walczyli z sobą kapitaliści z komunistami? To jest pytanie, które pada nieodmiennie w każdej rozmowie na temat Węgier.

Sowiety od czasu do czasu robią kapitalne błędy polityczne, które są bezpośrednim rezultatem opierania się na ,,cząstkach absolutnej prawdy'', zawartej w trącących myszką aksjomatach marksizmu. Takim kapitalnym błędem było zgniecenie siłą powstania węgierskiego. Wypadki węgierskie odbiły się w Anglii podwójnym echem. Spowodowały secesję wartościowych elementów z brytyjskiej partii komunistycznej i dopomogły ,,szaremu człowiekowi'' pozbyć się resztek tradycyjnych złudzeń w stosunku do Związku Sowieckiego. Secesja z brytyjskiej partii komunistycznej stanowi dziś trzon ugrupowania, które określamy w Anglii mianem ,,nowej lewicy'' (*new Left*). Tak oto z kości rewizjonistów węgierskich zrodził się rewizjonizm brytyjski. Podzielam w pełni opinię J.M. Camerona, że dziesięć numerów ,,The New Reasoner'' stanowią najświetniejszy intelek-

tualnie dorobek prądu zwanego ,,rewizjonizmem''. Wielka szkoda, że polscy rewizjoniści odcięci są od tej lektury.

Rewizjoniści brytyjscy starali się wykazać, że zrozumieć stalinizm można tylko poprzez prawidłową analizę marksistowską. Ale co innego jest wyjaśnić dane zjawisko, a co innego jest usunąć jego przyczyny. Logiczna analiza doprowadziła mnie do wniosku, że stalinizm jest produktem dogmatyzmu a nie odwrotnie. To *nie* staliniści tworzą dogmaty — tylko przeciwnie *dogmaty* tworzą stalinistów i stalinizm. W systemie dogmatycznym opartym o ,,absolutne prawdy'' funkcja społeczna intelektualistów i pisarzy staje się odwrotnością ich rzeczywistego powołania. Zamiast być analitykiem i krytykiem — intelektualista staje się apologetą i propagandystą. W ten sposób wolność parodiuje się każdego dnia co jest smutniejszym widowiskiem niż milczenie.

W systemie komunistycznym jest tylko jedno okienko kasowe i wszyscy są od niego zależni. To jest ów finalny argument, który pada w ciszę pokoju, gdy już wszystko zostało powiedziane i przedyskutowane.

Powtórzę w tym miejscu opinię, którą zakończyliśmy długą naszą rozmowę.

Żaden dogmat nie upada tylko dlatego że jest bezsensowny. Dogmatów również nikt nigdy nie anuluje. Rewizjoniści winni walczyć nie o zmianę doktryny tylko o zmianę *postawy* wobec doktryny. Ewolucja marksizmu jest możliwa tylko poprzez zmianę postawy marksistów. Mimo, że osobiście jestem sympatykiem socjalizmu demokratycznego — uważam, że nie ma możliwości budowania pomostu pomiędzy partiami marksistowskimi a partiami socjalistyczno-demokratycznymi na Zachodzie. Niemniej, jeżeli z biegiem lat koegzystencja ma nabrać jakiejś treści i sensu — pomost myślowy między Wschodem a Zachodem musi być zbudowany. Bo jeżeli nie możemy się nawzajem zlikwidować — to musimy się choćby częściowo porozumieć.

Ów pomost winien być budowany z obu stron przez marksistów. Przez ,,nową Lewicę'' po tej stronie i przez rewizjonistów po tamtej stronie. Bo w ostatecznej analizie, przeszkody w porozumieniu nie stanowi ani marksizm — ani socjalizacja produkcji przemysłowej, ani żadna z różnic systemowych. W ramach naszego świata jest miejsce na spory i walki ideologiczne, ale nie ma miejsca na konflikt cywilizacyjny. Cywilizacja zachodnia łącznie z jej marksistami i katolikami jest cywilizacją racjonalistyczną i agnostyczną. Cywilizacja bloku wschodniego jest cywilizacją dogmatyczną opartą o ,,absolutne prawdy''. Głosiciele ,,absolutnych prawd'' sięgają zawsze po absolutną władzę a tolerancja w ich oczach jest równoznaczna z karygodnym tolerowaniem ciemnoty i zabobonu. Tak pojmowany marksizm przestaje być ideologią i staje się czymś spoza kręgu naszej cywilizacji. Dlatego w odczuciu szerokich mas na Zachodzie konflikt Wschód-Zachód już dawno utracił cechy ideologiczne. To tylko prasa bloku wschodniego powtarza slogan

w walce systemu socjalistycznego z systemem kapitalistycznym. Ale w odczuciu zwyczajnych producentów i zjadaczy chleba w Londynie, w Liverpoolu czy w Glasgow — konflikt Wschód-Zachód jest konfliktem między demokracją a totalizmem. Dopóki marksizm przez przytłaczającą większość ludzi na Zachodzie będzie identyfikowany z totalizmem, dopóty o żadnym porozumieniu nie może być mowy. Totalizmu nikt nie uważa za ideologię — tak jak nie uważano za ideologię hitleryzmu czy faszyzmu. To jest obce ciało, które odrzuca się bez dyskusji.

Rewizjoniści po obu stronach barykady winni dążyć do sprowadzenia marksizmu na wspólną nam wszystkich płaszczyznę cywilizacyjną.

Marksizm istnieje w tej chwili w trzech wydaniach: w wydaniu sowieckim, satelickim i rewizjonistycznym.

Marksizm sowiecki jest prostacki i chełpliwy. Znamy go z karabol premiera Chruszczowa i z nudnych artykułów sowieckiej prasy. Jest to marksizm przykrojony do potrzeb imperialistycznej polityki — marksizm siły, sputników i międzykontynentalnych pocisków balistycznych. Marksizm sowiecki sprzedał mit rewolucji za wielką michę imperialistycznej soczewicy. Pakt Ribbentrop-Mołotow, Katyń, Powstanie Wschodnio-niemieckie, Powstanie Węgierskie. Ten typ marksizmu nie zna wroga klasowego. Zna tylko wrogów politycznych, którzy w 80 % składają się z pracowników i z robotników małych i średnich państw zagarniętych przez Kreml.

Drugie wydanie to marksizm satelicki. Wydawałoby się, że szanse rozwojowe marksizmu w takim kraju jak Polska są znacznie korzystniejsze niż w Związku Sowieckim, ponieważ polski marksizm nie musi zawierać hańbiących kompromisów z imperializmem. Polska nie okupuje obcych państw, nikogo nie uciska, nie planuje owładnięcia Europy, Azji, Afryki i pozostałej reszty naszej planety. Toteż ogólnie rzecz biorąc polski marksizm stoi o całe niebo wyżej od marksizmu sowieckiego. W porównaniu z wydawnictwami sowieckimi nawet prace prof. Schaffa uznać należy za niedoścignione wyże myśli marksistowskiej. Ale niestety polski marksizm również nie jest wolny od poniżających kompromisów. Musi bowiem żyrować cudze kompromisy we własnym interesie. Jest rzeczą straszną, gdy moralność partii i jej przywództwa zależy od zbrodni popełnianych, gdzie indziej i przez kogo innego. Musi być rzeczą straszną nie wiedzieć ilu jeszcze Kadarów trzeba będzie uznać i ile ,,rapsodii węgierskich'' zażyrować. Nie można domagać się moralności od partii, która *nie jest podmiotem* swojego partyjnego sumienia.

Dla najwybitniejszych to jest sytuacja trudna do zniesienia. Toteż najwybitniejsi albo się załamali albo odeszli. Pewien procent uprawia ,,ketman'', który jest tylko pewną formą oportunizmu. Jeżeli dziennikarz partyjny mówi mi: ,,na dnie duszy my wszyscy jesteśmy rewizjonistami'' — to taki pan chce oględnie

zasygnalizować, że i on, podobnie jak i ja, uważa to wszystko za nonsens, ale jakoś trzeba żyć.

Sytuacja satelicka wytwarza permanentną koniunkturę dla beznadziejnych przeciętności i to stanowi jej prawdziwe przekleństwo. Czy byłoby do pomyślenia w warunkach normalnego rozwoju, by w czołowym piśmie kulturalno literackim ukazywały się w charakterze artykułów wstępnych wypracowania p. Alicji Lisieckiej? P. Lisiecka jest reprezentantką marksizmu ,,upupionego'' — jeśli wolno posłużyć się świetnym terminem Gombrowicza. Ta pani na dnie duszy nie jest ,,rewizjonistką'', lecz jest arywistką, która pnie się po trupach. Swój awans społeczny traktuje niezmiernie serio i poklepuje lekceważąco po ramieniu Słonimskiego.

Marksizm ,,upupiony'' prowadzi wprawdzie do rewolucji, ale zgoła innej niż ta, którą przepowiadali prorocy. Na etapie marksizmu ,,upupionego'' dyktatura proletariatu zostaje zastąpiona dyktaturą miernot i zer. Ustrój będący centryfugą wyrzucającą na powierzchnie serwatkę zamiast śmietanki — stanowi odwrotność racjonalizmu i socjalizmu. Ale tam, gdzie obowiązują ,,prawdy absolutne'' nie może być inaczej. W takim ustroju każda myśl oryginalna czy krytyczna jest podejrzana, ponieważ potencjalnie jest rewizjonistyczna.

Zarówno marksizm sowiecki jak i marksizm satelicki nie staną się nigdy platformą porozumienia pomiędzy lewicami Wschodu i Zachodu. Tak jak nonsensem jest mówić o światowym konflikcie kapitalizmu z socjalizmem — tak również nie można twierdzić, że jesteśmy świadkami starcia światopoglądu idealistycznego z światopoglądem materialistycznym. Ludzie Zachodu w swojej masie są świadomymi, a częściej nieświadomymi, materialistami. Ale przeciętny człowiek Zachodu sądzi, że dopóki nie wiemy wszystkiego — wiemy zbyt mało, by czemukolwiek nadawać formę dogmatu i ,,absolutnej prawdy''. I to jest ów punkt przez który przebiega południk dzielący Wschód od Zachodu. Tu chodzi o coś więcej niż kapitalizm czy socjalizm — o coś więcej niż idealizm czy materializm. Chodzi o postawę kulturalno-cywilizacyjną wobec tych problemów. By przejść na tamtą stronę nie wystarczy być materialistą i socjalistą — trzeba jeszcze uwierzyć w ,,prawdy absolutne'' marksizmu.

Rewizjoniści po obu stronach barykady winni zdać sobie sprawę z faktu, że w marksizmie nie ma powodu niczego rewidować z wyjątkiem jednego punktu, który odcina marksizm od wspólnego pnia zachodnio-europejskiej kultury. Ów punkt dotyczy ,,absolutnych prawd''. To jest dogmat, który uniemożliwia ewolucję a natomiast sankcjonuje totalizm.

Byłoby rzeczą naiwną podejmować na kilku stronach pisma maszynowego filozoficzną dyskusję w przedmiocie, któremu poświęcono setki rozpraw. Nie mogę jednak oprzeć się chęci podzielenia się z Czytelnikiem refleksją, która nasuwa mi się ilekroć rozważam te sprawy.

Być może pogląd materialistyczny jest prawdziwy. Jeżeli jest prawdziwy, zawiera jednak w sobie ograniczenia, przed którymi nie ma ucieczki. Przyjmując, że człowiek jest tylko wysoko zorganizowaną materią, byłoby nierozsądne oczekiwać od niego „absolutnych prawd''. Materia — bez względu na stopień jej organizacji — nie może się wznieść ponad materię i nie może nigdy przestać być materią. Będąc fragmentem materii człowiek nie ma żadnej możliwości pełnego wyobiektywizowania się z ram układu, którego jest cząstką — co w konsekwencji zakreśla granice jego poznania. Liść nie ma możliwości zdobycia absolutnej prawdy o drzewie, ponieważ sam jest cząstką drzewa i nie ma żadnej szansy przestać być cząstką drzewa i stać się obserwatorem. Przyjmując pogląd materialistyczny musimy uznać, że nasza zdolność poznania świata materialnego jest zawsze ograniczona faktem, że sami jesteśmy cząstką materii. Pozycja obserwatora, niezależnego od układu, stanowiącego przedmiot obserwacji — jest dla nas nieosiągalna.

W konsekwencji, pogląd materialistyczny należycie rozumiany prowadzić musi do rezygnacji z absolutów w jakimkolwiek wydaniu oraz do uznania ludzkich ograniczeń. To jest pogląd, którego wyrazem jest pełen skromności agnostycyzm i tolerancja.

Lecz to jest tylko uwaga na marginesie. Istotnym punktem w tej sprawie jest fakt, że oficjalny marksizm jest fałszywym materializmem i w rezultacie, to co się propaguje jako filozofię socjalizmu, jest fałszywą filozofią.

Rosja i Chiny, dwa olbrzymie mocarstwa o bardzo starej autokratycznej i imperialistycznej tradycji, przeżywają spóźniony renesans nacjonalizmu. Nacjonalizm działa „cuda'' — nikt tego nie wie lepiej od Polaków — ale na budulec szerokiej platformy porozumienia ten surowiec zupełnie się nie nadaje.

Idea uniwersalna, zmierzająca do zjednoczenia świata, musi być koncepcją racjonalistyczną. Żadna religia ani żadna udogmatyzowana ideologia nie ma dziś możliwości zjednoczenia ludzkości pod wspólnym dachem.

Osobiście nie jestem pesymistą. Racjonalizm na dalszą metę z całą pewnością zwycięży, bo taka jest logika postępu ewolucji człowieka. To jest jedyna wiara, w którą nie wolno zwątpić. Jesteśmy dziś innymi racjonalistami niż nasi dziewiętnastowieczni ojcowie — znacznie skromniejszymi ale bardziej... racjonalnymi. Absolutystyczny sowiecki marksizm nie jest pierwszą w naszych dziejach próbą masowego zniewalania umysłów — ale mam nadzieję, że jest to próba ostatnia.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

W ANGLII NIE MA ZALESZCZYK

,,The Guardian'' wysunął projekt przeniesienia Berlina, a ściśle mówiąc odstąpienia Berlina wzamian za korzystny płat terytorium Wschodnich Niemiec. Na uzyskanym w ten sposób terytorium Niemcy zachodni zbudowaliby sobie nowy, wspaniały Berlin, a państwa NATO z Ameryką włącznie przyczyniłyby się do budowy nowej stolicy szczodrymi dodacjami.

Projekt nowego Berlina spotkał się z jednomyślnym potępieniem ze strony prasy niemieckiej. Ale to jest tylko jeden z wielu przykładów dziwnego zjawiska. W czasie pierwszej wojny światowej ukuto powiedzenie — że ,,wojna jest rzeczą zbyt poważną, by ją powierzać generałom''. Obecnie wydaje się, że posunęliśmy się o krok naprzód i skłaniamy się do poglądu, że ,,polityka jest rzeczą zbyt poważną, by ją powierzać politykom''. Inicjatywy polityczne, plany i misje rodzą się poza obrębem oficjalnego aparatu. Ten stan rzeczy doprowadzono od dawna do doskonałości w świecie emigracyjnym, gdzie prywatne ,,warsztaty polityczne'' górują inicjatywą nad stetryczałym aparatem politycznym.

Przed kilku dniami słuchałem w tzw. ,,trzecim programie'' BBC interesującego odczytu prof. J.H. Graingera, który w pewnym momencie oświadczył: ,,jesteśmy narodem bez misji po raz pierwszy od czasów Cromwella''.

Obserwując scenę brytyjską z obiektywizmem i z sympatią — sformułowałbym powyższy sąd nieco inaczej. ,,Misja'' znalazła się poza obrębem oficjalnego aparatu politycznego.

W tej chwili można wyodrębnić dwie inicjatywy, które zrodziły się poza nawiasem wielkich warsztatów polityki brytyjskiej.

Partia Liberalna na swym zjeździe w Eastbourne wysunęła plan scalenia gospodarczego i politycznego Anglii z zachodnią Europą. Padały głosy nie tylko za przyłączeniem się do tzw. ,,wspólnego rynku'' — ale wysunięto projekt powołania dwu-izbowego parlamentu europejskiego. To jest odwrót nie tylko od wyspiarskości i *splendid isolation,* ale od pełnej suwerenności.

Druga inicjatywa jest innego wymiaru. Mam na myśli potężny ruch, który ratunek dla Anglii widzi w jednostronnym atomowym rozbrojeniu. Piszę tę notatkę w przeddzień kongresu Labour Party — na którym zagadnienie jednostronnego rozbrojenia stanowić będzie główny punkt programu.

W Anglii zawsze istnieli pacyfiści — ludzie, którzy odmawiali służenia w wojsku ze względów religijnych czy moralnych, ale żaden z ruchów pacyfistycznych w przeszłości nie mobilizował setek intelektualistów i milionów zwyczajnych zjadaczy chleba.

Powyższe dwie koncepcje — liberałów i anty-atomowców zrodziły się poza ramami systemu. To znaczy nie wyszły z politycznych laboratoriów ani z partii rządzącej ani oficjalnej parlamentarnej opozycji.

Nie wchodząc w szczegóły — co przekraczałoby ramy niniejszej notatki — warto podkreślić, że każdej z tych dwóch koncepcji odpowiada konkretna wizja polityczna. Żadna z tych wizji nie mieści się w oficjalnym systemie — innymi słowy, wybiega zarówno poza ramy programu konserwatystów jak i Labour Party.

Koncepcję liberałów można by określić jako ,,lewicę bez socjalizmu". W Anglii występują wyraźne objawy znużenia socjalizmem. Dyskusje doktrynalne osiągnęły martwy punkt. Nie brak polityków i posłów Labour Party, którzy sądzą, że włączenie do programu partyjnego haseł skrajnego anty-atomowego izolacjonizmu — zdołałoby przywrócić socjalizmowi brytyjskiemu utracony dynamizm.

Ustrój socjalistyczny jest jednym z najkosztowniejszych jaki do tej pory wynaleziono. Okulary, sztuczne zęby, opieka lekarska włącznie z lekarstwami, zapomogi, renty, pensje itp. — to wszystko pochłania miliony funtów. Wszyscy są zwolennikami ,,państwa dobrobytu i opieki", ale nikt nikt nie jest zwolennikiem wysokich podatków. Problemem kardynalnym socjalizmu są pieniądze.

W czasie ubiegłych wyborów przywódcy Labour Party w sprawach finansowych nie zawsze operowali przekonywującymi argumentami. W ostatniej fazie kampanii wyborczej socjaliści kładli główny nacisk na program pensji starczych, ale żaden z wybitnych mówców nie umiał wyjaśnić skąd przyszły rząd Labour Party weźmie pieniądze na sfinansowanie tych obietnic. I w tym punkcie program anty-atomowy oferuje rozwiązanie. Anty-atomowcy głoszą, że rząd konserwatystów wydał na zbrojenia w ciągu ubiegłych 8 lat — 13 tysięcy milionów funtów. Socjaliści szybko obliczyli, że za tę kwotę można by zapewnić sprawne funkcjonowanie NHS (Publiczna Służba Zdrowia) przez 23 lata.

Angielskie przysłowie mówi, że nie można zjeść ciastka i mieć go równocześnie. Za 13.000 milionów funtów można by mieć wspaniałe ciastko, ale obawiam się, że w jednostronnie rozbrojonej Anglii nie mielibyśmy żadnej szansy ani tego ciastka zjeść, ani go mieć.

Ruch anty-atomowy nie jest w większości wypadków prokomunistyczny ani nawet w dosłownym tego słowa znaczeniu pacyfistyczny. Nie jest nawet neutralistyczny, lecz jest tylko izolacjonizmem. Jest to rozpaczliwa próba wyjścia z sytuacji bez precedensu. Udział tysięcy inteligentów i intelektualistów w tym ruchu stanowi w moim przekonaniu największą w dziejach Anglii *trahison des clercs*.

Gdyby czołowi działacze anty-atomowi byli komunistami ich akcja byłaby logiczna. Gdyby wszyscy byli pełnokrwistymi pacyfistami ich akcja byłaby również logiczna, ale czołowi intelektualiści ruchu nie są komunistami i nie wszyscy z nich są pacyfistami. Sir Stephen King-Hall jest zagorzałym anty-komunistą. Wybitny historyk oxfordzki prof. A.J.P. Taylor w swym anty-atomowym pamflecie ,,The Great Detterrent Myth" — nawołuje do rozbudowy marynarki wojennej, lotnictwa, uzbrajania portów itd. Innymi słowy, większość jest za zbrojeniami konwencjonalnymi — wierząc, że bronie konwencjonalne spełnią podwójną rolę: uratują Anglię przed inwazją i nie sprowokują bombardowania atomowego ze strony Sowietów.

Byłoby nierozsądnie traktować Historię za jedyną mistrzynię życia. Ale jeszcze większym błędem byłoby ignorować jej rady zwłaszcza w tych sprawach, w których ma istotnie coś do powiedzenia.

Był moment, kiedy Japonia posiadała tylko bronie konwencjonalne, a Stany Zjednoczone bombę atomową. Amerykanie jednak zachowali się inaczej niż Rosjanie w pobożnych życzeniach anty-atomowców. Amerykanie — zdając sobie sprawę, że ze strony Japończyków nie grozi im atomowy odwet — z zimną krwią zbombardowali Hiroszimę. Jestem pewien, że gdyby Japończycy byli zdolni do atomowego odwetu, innymi słowy, gdyby posiadali ,,detterent" — Hiroszima stałaby nienaruszona i kwitnąca po dzień dzisiejszy.

Jakie są podstawy do wnioskowania, że Rosjanie w podobnej sytuacji zachowają się inaczej niż Amerykanie i wykażą więcej ludzkości i szlachetności? Racjonalnych podstaw do takiego wniosku nie ma żadnych.

Jak to się stało, że w flegmatycznej, rozsądnej Anglii miliony ludzi po prostu straciło głowę?

Polacy mieszkający na tych Wyspach do końca życia pozostają ludźmi kontynentu. Ale każdy Anglik wyspiarskość ma we krwi. Innymi słowy, jest instynktownie świadom faktu, że jego ojczyzna jest małą przeludnioną wyspą. Nie musi patrzeć na mapę — czuje to w swoich kościach.

W roku 1906, kiedy dokonano pierwszego przelotu nad Kanałem Anglia ,,przestała być wyspą". Ale można przyjąć, że do roku 1945 — geopolityczna sytuacja Anglii stanowiła atut i grała na jej korzyść. Kanał uchronił Anglię przed inwazją Napoleona i w znacznym stopniu pokrzyżował inwazyjne plany Hitlera. Era atomowa zrewolucjonizowała geopolitykę angielską. Elementy geograficznej dyspozycji zmieniły swój znak. To co przez wieki było plusem nagle stało się minusem. W odczuciu Anglików ich wyspa jest dziś *a sitting duck* — kaczką siedzącą na wodzie, która stanowi idealny cel.

Ludzie kontynentu w przeciwieństwie do wyspiarzy — mają kompleks, który nazwałbym ,,kompleksem Zaleszczyk". Człowiek kontynentu ma poczucie zaplecza. W razie katastrofy może zawsze uciec przez takie czy inne Zaleszczyki. Owo poczucie zaplecza daje pewność siebie Rosjanom i leży u podstaw ich tradycyjnej doktryny wojennej: ,,cofać się, cofać się aż do zwycięstwa!". W ten sposób pobili zarówno Napoleona jak i Hitlera. Rosjanie gdyby nie mieli gdzie uciekać już dawno, by nie istnieli.

Ale w Anglii nie ma zaplecza i nie ma gdzie uciekać. Sens rewolucji geopolitycznej, której ofiarą w dobie atomowej padła Anglia wyraża się w tym, że dawne poczucie bezpieczeństwa jakie dawała wyspa zamieniło się w klaustrofobię, w lęk zamkniętej przestrzeni.

U podłoża zbiorowej manii anty-atomowej w Anglii leży klaustrofobia. Na tej niewielkiej, przeludnionej, uprzemysłowionej wyspie — już nie wojna, ale sama możliwość wojny atomowej staje się katastrofą z którą trudno jest współżyć. Ludzie chcą się pozbyć tego koszmaru za wszelką cenę.

Akcja anty-atomowa dysponuje dziś w pełni rozbudowaną ,,ideologią" — zestawem sloganów, haseł itp. Literatura tego przedmiotu obejmuje setki broszur i artykułów a ruch zmobilizował pod swe sztandary tysiące intelektualistów. Obserwujemy więc ciekawe zjawisko, a mianowicie przemianę geopolityki w ideologię. Jest to zjawisko niezmiernie charakterystyczne, choć bynajmniej nie typowo angielskie.

Krakowski ,,Tygodnik Powszechny" uczcił rocznicę wrześniową serią programowych artykułów. W numerze z dnia 4 września ukazały się orędzia Stefana Kisielewskiego, Kazimierza Studentowicza i Stanisława Stommy.

„Przegląd Kulturalny" pokwitował tę rocznicowe wystąpienia stwierdzeniem, że panowie z „Tygodnika Powszechnego" usiłują z geopolityki zrobić sobie ideologię. Niezmiernie bystra i słuszna uwaga.

W epoce atomowej geopolityczna sytuacja Anglii w porównaniu z Ameryką, Rosją czy Chinami jest fatalna i należy niewątpliwie wyciągnąć z tego pewne konsekwencje. Ale nie ma powodu robić z tego „ideologii". Geopolityka niewątpliwie nakazuje Polsce szukać ułożenia stosunków z Rosją, ale również nie ma powodu robić z tego „ideologii".

Ale wracając do tematu warto podkreślić, że w Wielkiej Brytanii poza ramą tradycyjnego systemu powstają nowe ogniska radykalizmu. Nie ulega wątpliwości, że epoka atomowa wywołała przełom, który silniej wstrząsnął psychiką „szarego człowieka" niż tradycjonalistami na szczycie. Tak jak generałowie myślą zawsze kategoriami poprzedniej wojny — tak zawodowi politycy w przełomowych okresach często nie nadążają za rozwojem sytuacji.

„LORD OF THE FLIES" A... SPRAWA POLSKA

Jestem wielbicielem Williama Goldinga. Gdyby nie było Goldinga nigdy bym nie uwierzył, że taki autor kiedykolwiek w Anglii ujrzy światło dzienne. Każdy z nas mówiąc o powieści angielskiej ma przed sobą pewien schemat, który budowały lata lektury. Golding wywrócił mój schemat i obawiam się, że nie tylko mój.

Ale w tej notatce, która nie ma absolutnie nic wspólnego z tzw. recenzją — chciałbym skonfrontować Goldinga z problemem, który zarówno jemu jak i angielskiej krytyce jest całkowicie nieznany.

Mam na myśli powieść Goldinga pt. „Lord of the Flies".

Kiedy rozpoczynałem moją pracę dziennikarską sto lat temu w Krakowie — ówcześni mądrzy redaktorzy wbijali mi w głowę, że analizę rozpoczynać zawsze należy od omówienia sytuacji. Zgodnie z tą klasyczną zasadą zaczynam więc od krótkiego streszczenia „Lord of the Flies".

Na niezamieszkałej wyspie — gdzieś na morzach południowych — ląduje wprost z nieba grupa chłopców, z których najstarszy ma niepełne 13 lat. Czytelnik domyśla się, że toczy się wojna — chłopcy byli ewakuowani — a samolot uległ tajemniczej katastrofie. Ani z pilota ani z dwóch opiekunów nie ma śladu. Chłopcy są sami , odcięci zarówno od świata, jak i od dorosłych. Wyspa jest cudowna, pełna owoców, tropikalnej roślinności — jednym słowem raj na ziemi.

Piggy — gruby, astmatyczny, w okularach, reprezentant „intelektualnej postawy" znajduje piękną muszlę. Za jego radą Ralph — jeden z najstarszych chłopców przykłada muszlę do ust i dmie wydobywając dźwięk przypominający daleką syrenę okrętową. Na ten sygnał — chłopcy, którzy byli rozsiani po całej wyspie zaczynają się gromadzić.

Na tym pierwszym zebraniu Ralph drogą głosowania zostaje wybrany przywódcą. Jedynym jego rywalem jest Jack, który jako szef chłopięcego chóru, dysponuje zdyscyplinowaną organizacją i blokiem głosów na każdym zebraniu. W nowej sytuacji chłopcy chóru stają się karną drużyną myśliwską, której autorytatywnym dowódcą jest Jack.

Ralph za radą Piggy przeprowadza szereg konstytucyjnych uchwał. Piękna muszla, która służy do zwoływania zgromadzeń — staje się symbolem ładu i porządku. Ralph przemawiając trzyma ją zawsze w rękach. Ilekroć udziela głosu jednemu z obecnych wręcza mu muszlę. Nie wolno nikomu przemawiać dopóki przewodniczący nie wręczy mu muszli. Zebranie na wniosek Ralpha postanawia dniem i nocą palić ogień na najwyższym wzgórzu wyspy jako sygnał wzywający pomocy.

Tak oto zostaje odtworzona na wyspie miniaturowa prawodządna i demokratyczna społeczność.

Powolna dezintegracja tej społeczności i przekształcenie się jej w prymitywny szczep z własnym rytuałem, ofiarami i tabu — stanowi przedmiot fascynującego i subtelnego opisu Goldinga.

Wszystko dzieje się niezmiernie naturalnie, niepostrzeżenie i niejako „samo z siebie". I tak na przykład myśliwcy Jacka szybko zauważyli, że małe dzikie świnie, na które polowali z drągami — trudno jest podejść nie stosując koloru ochronnego. Chłopcy zaczynają malować się kolorowymi glinkami, by w ten sposób zlać się z barwną tropikalną roślinnością. Z biegiem czasu sposób malowania ochronnego zostaje zrytualizowany. Cała drużyna Jacka maluje identycznie twarze i piersi i wyodrębnia się jako szczep. Pierwsza upolowana zwierzyna i widok krwi wprawia myśliwców w trans. Zaczynają krzyczeć i tańczyć wokół zabitego zwierzęcia. Tak zawiązała się tradycja wojennego tańca szczepu.

Ralph i Piggy walczyli przeciw temu procesowi zdziczenia — zwoływali zebrania, przemawiali, tłumaczyli, ale na próżno. Cywilizację pokonała „zmora". Najpierw o „zmorze" mówili tylko mali sześcio i siedmioletni chłopcy, którzy w nocy budzili się z krzykiem przerażenia. To ze snów najniewinniejszych zrodził się wielki strach, który nocą wypełzał z dżungli. Ralph i Piggy tłumaczyli racjonalnie, że na wyspie nie ma ani dzikich zwierząt ani jadowitych węży i starali się ośmieszyć nocne rojenia malców. W świetle dnia wszyscy się z nimi godzili. Ale powoli „zmora" zaczęła nabierać samoistnego życia — począł wokół niej wytwarzać się mit i rytuał. Już na wyspie nie byli sami — obok nich, w sercu dżungli zamieszkała zła tajemnica. „Zmora" istniała nim ją odkryto. Jeden z chłopców w czasie samotnej wędrówki przez dżunglę dojrzał zwłoki pilota uwikłane w sznury spadochronu. Było już jednak za późno na racjonalistyczne zdemaskowanie „zmory". Unikano tej części dżungli, a szczep Jacka odcinał głowy upolowanych dzikich świń jako ofiarę dla „zmory".

Gdy zjawił się okręt-wybawiciel — Piggy już nie żył a Ralph samotny uciekał ku brzegowi tropiony przez zwycięski szczep dzikusów Jacka.

W kilkudziesięciu zdaniach jest rzeczą niemożliwą bez barbarzyńskich uproszczeń i zniekształceń streścić tę fenomenalną powieść, która jest poetycką opowieścią, a równocześnie niezmiernie wnikliwą analizą psychologiczną i mikrosocjologiczną.

Ale powyższe streszczenie — choć czytelnikowi nie może dać świadectwa ani o bogactwie ani o kalibrze książki — jest jednak dostateczną platformą do ustawienia naszego problemu. Zagadnienie, które prześladowało mnie w czasie lektury „Lord of the Flies" streszcza się w pytaniu: czy grupa polskich chłopców zachowałaby się identycznie w analogicznej sytuacji? W moim przekonaniu — nie.

Przede wszystkim umówmy się w sprawie terminu. Przez ,,grupę polskich chłopców" rozumiem polskich chłopców z prawdziwego zdarzenia — urodzonych i wychowanych w Polsce. Mam więc na myśli bractwo, do którego sam niegdyś należałem. O polskich chłopcach urodzonych i wychowanych w Anglii czy we Francji nie zabieram głosu.

Gdyby na wyspie Goldinga wylądowała paczka polskich chłopaków — nie byłoby żadnych posiedzeń ani żadnych głosowań tylko najsilniejszy objąłby komendę. Poczucie niebezpieczeństwa wyraziłoby się instynktem narodowo-mobilizacyjnym. Już pierwszego dnia nad wyspą powiewałaby flaga biało-czerwona — choćby przyszło poświęcić na nią ostatnią białą koszulę. Chłopcy zorganizowaliby się w drużynę wojskową czy harcerską. Mieszkaliby w obozie z wartami, zbiórkami itp. Braliby świadomy udział w wojnie, która dla brytyjskich chłopców w powieści Goldinga jest zagadnieniem nieistniejącym. Wojna dla polskich chłopców nigdy nie jest ,,sprawą ludzi dorosłych" tylko jest zawsze sprawą narodową.

I wreszcie problem centralny. ,,Zmorze" — pierwotnemu lękowi — polscy chłopcy przeciwstawiliby modlitwę. Brytyjscy chłopcy Goldinga nigdy się nie modlili. Ale u polskiego chłopca — choćby był wychowany w laickiej szkole — chrześcijaństwo jest tuż pod skórą. W gruncie rzeczy Polacy nigdy nie przestają być katolikami. Nawet wówczas gdy skłaniają się do agnostycyzmu — są de facto katolickimi agnostykami. Jesteśmy zawsze zachodnimi chrześcijanami — tak jak Anglicy są zawsze wyspiarzami. Polski rzymski katolicyzm jest bowiem ,,wyspą", która uwarunkowała krystalizację naszego poczucia narodowego. Dlatego walczyć z katolicyzmem w Polsce jest poniekąd rzeczą równie beznadziejną jak walczyć z wyspiarską mentalnością w Anglii.

Polscy chłopcy na nieznanej wyspie postawiliby krzyż i modliliby się codziennie. Modlitwa (wspólna) stanowi bowiem część składową zakonu polskości — tak jak flaga biało-czerwona.

W sumie jestem niemal pewien, że grupa polskich chłopców opierałaby się dłużej siłom rozkładu tropikalnej neurozy. Dłużej zachowałaby również swoją społeczno-narodową zwartość i świadomość.

Nie oznacza to, że jesteśmy bardziej cywilizowani niż Anglicy. Wprost przeciwnie. Jesteśmy bardziej surowi, bardziej pierwotni i mniej refleksyjni w swoich wierzeniach i przekonaniach. Patriotyzm brytyjski nie może być nawet porównany ze stanem emocjonalnym, który określamy terminem patriotyzmu polskiego. Patriotyzm polski jest plemiennym sprzysiężeniem przeciwko przemocy i losowi.

Innymi słowy na dzikiej wyspie Polacy prymitywowi przeciwstawiliby prymityw (krzepę), którego małym Anglikom brakło.

SKRZYNKA POCZTOWA

Nasza redakcja otrzymuje setki listów. Nie brak wśród nich listów-traktatów i listów-broszur. Gdybyśmy chcieli drukować wszystkie listy, które przychodzą na adres Maisons-Laffitte i Londyńczyka — co drugi numer ,,Kultury" musiałby się składać wyłącznie z listów do redakcji.

Nawet w imię liberalizmu, tolerancji i szacunku dla odmiennych przekonań nie można od nikogo wymagać rzeczy niemożliwych. Nie ma na świecie pisma, które drukuje listy do redakcji obejmujące czterdzieści dwie strony pisma maszynowego i trudno od „Kultury" oczekiwać tego rodzaju heroizmu. List zwięzły, zawarty na jednej stronie pisma maszynowego ma największą szansę ukazania się na naszych łamach.

Osobną kategorię stanowią listy od naszych przyjaciół i sympatyków. Nie taimy ani przed sobą ani przed naszymi Czytelnikami, że listy wyrażające sympatie i solidarność są nam nie tylko miłe, ale i potrzebne. Musi być bardzo ciężko borykać się z przeciwnościami bez słowa przyjaźni i uznania. Ale od samego początku przyjęliśmy zasadę — wydaje mi się słuszną — nie publikowania pochwał pod adresem „Kultury" na łamach „Kultury".

I wreszcie punkt ostatni. Rozmaite instytucje zasypują nas swoimi orędziami, apelami itp. i mają do nas pretensję, że „Kultura" nie publikuje tych materiałów. Drukujemy komunikaty dotyczące spraw kulturalnych i ogólno-emigracyjnych. Ale nie zamierzamy zapychać kolumn „Kultury" oświadczeniami stronnictw, orędziami Egzekutywy czy uchwałami towarzystw Ziem takich czy Ziem innych. „Kultura" nie jest (na szczęście) jedynym pismem wychodzącym na emigracji. Drukowanie tego typu materiałów należy do zadań pism informacyjnych (tygodniowych czy codziennych) lub periodyków partyjno-organizacyjnych.

Jeżeli chodzi o tzw. „ośrodki polityczne" to trzeba stwierdzić, że zainteresowanie ich działalnością (*if any*) spadło do zera. Przed dziesięciu laty Londyńczyk poświęcał tym sprawom wiele miejsca i uwagi. Wówczas dziennikarz musiał o tym pisać, bo czytelnicy żywo się interesowali i ufali, że coś z tego wyjdzie. Ale kapitał zainteresowania i zaufania został całkowicie wyczerpany. Dziś nikogo nie obchodzi co robią, a czego nie robią ci panowie i ten stan rzeczy wiernie odzwierciadla prasa emigracyjna.

LONDYŃCZYK

P.S.: — W numerze październikowym w Kronice Angielskiej w notatce pt. „Generałowie" zaszła pomyłka spowodowana złym złożeniem wiersza w korekcie, którą prostujemy.

Wydrukowano mylnie:

„Gen Sosnkowski w swym liście z dn. 15 sierpnia br. ogłoszonym w rocznicę zwycięstwa pod Warszawą — zauważył, że nie możemy wykluczyć wojny z naszych kalkulacji politycznych choćby najwymowniejsi dziennikarze przekonywali nas, że jest inaczej".

Winno być:

„Gen. Anders w swoim przemówieniu wygłoszonym w Manchester w rocznicę zwycięstwa pod Warszawą — zauważył itd.".

L.

Chruszczow nad East River

Nawet najstarsi spośród międzynarodowych włóczęgów reporterskich nie przeżyli czegoś podobnego. Nikita Chruszczow przyćmił swoim talentem światła Broadway'u. Jego paryskie sztuczki poszły szybko w niepamięć, bo to, co ten mużycki car zaprodukował w Nowym Jorku przewyższyło najśmielsze oczekiwania najbardziej zblazowanych dziennikarzy. Był to prawdziwie solowy numer wielkiego aktora, który bez reszty i z naddatkiem wypełnił scenę ONZ-tu.

Już sama postać dyktatora nastręcza takie teatralne porównania. Chruszczow, którego nie od dziś usiłuje się w Rosji tak fotografować, żeby wyglądał dostojnie, jest śmiesznie mały. Któryś ze wścibskich reporterów ustalił, że władca Rosji liczy dokładnie 166 centymentrów i to w butach. Bez butów Chruszczow jest oczywiście jeszcze mniejszy, ale za to groźniejszy. Jednak o tym trochę później.

Nieduży wzrost skraca dodatkowo wyraźna inklinacja do tycia Nie znaczy to, że Chruszczow jest przesadnie gruby, ale brzuch ma dosyć okazały. Widać zresztą, że dyktator zaczyna przywiązywać do zewnętrznego wyglądu więcej wagi niż dawniej, bo nosi teraz ubrania, o których w Niemczech zwykle mówią krawcy, że przykrywają ,,den hohen Magen''. Krawiec Chruszczowa chciał widocznie próżnemu na starość wodzowi schować ,,wysoki żołądek''. Widać że nie posiadł jednak tego kunsztu, którym się odznaczają jego niemieccy koledzy po fachu, od lat walczący z fizjologicznymi następstwami ,,cudu gospodarczego'' wśród swojej klienteli. Chruszczowowi uszyto — jak to się mówi w Rosji — ,,kostium'' na wyrost. Wygląda więc pokracznie, co potęguje jego niezupełnie zgrabna sylwetka: ogromna głowa, prawie że bez szyi, na krótkim grubym karku i osadzona na przydługim prostokątnym tułowiu, zakończonym śmiesznie króciutkimi nóżkami. Ręce ma za to, nieproporcjonalnie długie, które rękawy ,,ubrania na wyrost'' jeszcze bardziej przedłużają. Kiedy się porusza lekkim truchcikiem, przebierając szybko dolnymi kończynami, musi sobie pomagać zamaszystym machaniem rąk. Mimowoli przypominają się symboliczne figury ze sztuki Ionescu ,,Nosorożec''. Sowiecka ,,nowa klasa'' znalazła w Chruszczowie klasyczny pierwowzór.

But, język i mimika

Dwunasty października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku wejdzie do historii polityki międzynarodowej jako data

powstania nowych form repliki dyplomatycznej, przy pomocy „sapogów'' czyli butów. Odtąd Nikitę Chruszczowa należałoby nazywać towarzyszem Sapożnikowym. Działo się to mniej więcej tak: w Błękitnej Sali plenarnych posiedzeń ONZ toczyła się debata o kolonializmie. Radzono nad wnioskiem Chruszczowa o konieczności powszechnej i radykalnej likwidacji wszelkich form systemu kolonialnego. Było już pod wieczór. Wciąż jeszcze, nie zmęczeni długim posiedzeniem, oratorzy nowopowstałych państw Afryki, wyrażali raz po raz solidarność z propozycjami Sowietów. Na okrągłej jak miesiąc w pełni twarzy Chruszczowa, malował się błogi stan zadowolenia. Małe jak szpileczki oczka jarzyły się radością z udanego manewru. Gdy jednak na trybunie zjawił się przedstawiciel Filipin, senator Lorenzo Sumolong, który — popierając w zasadzie wniosek sowiecki — ostrzegł przed jednostronnym traktowaniem sprawy kolonializmu i wskazał na losy narodów Europy Wschodniej, wyraz twarzy Chruszczowa zmienił się w ciągu kilku sekund. Rozjuszony, zaczął najpierw walić obydwiema pięściami w pulpit ławki, później schylił się, zniknął na chwilę pod pulpitem i wynurzył się ze ściągniętym z nogi butem, którym zaczął tłuc z całej siły w ławkę, a następnie zamierzył się nim na siedzącego o jakieś 10-15 metrów na przodzie sali przewodniczącego zgromadzenia, Irlandczyka Bolanda. Sala zamarła w bezruchu. Nawet na twarzach niektórych delegatów z bloku wschodniego widać było niesmak, przerażenie, zażenowanie. W pewnej chwili zdawało się, że i siedzący obok Chruszczowa Gromyko jest zmieszany. Tylko mołojcy sowieccy z tylnych ławek delegacji i na trybunach prasowych szaleli z radości.

Chruszczow wprowadził do obrad nowojorskich język, który, obok jego manier, jest również swoistym *novum* w historii Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nawet smutnej pamięci Andrzej Wyszyński, w okresie najintensywniejszej zimnej wojny, unikał wyrazów i określeń nieparlamentarnych. Chruszczow sięgnął natomiast do soczystego języka rosyjskiej wsi i ulicy, a czasami nawet do słownika chuliganów. Nie wszystko z tej obfitej wiązanki wulgarnych porównań przeniknęło do prasy międzynarodowej, gdyż tłumacze ONZ — rekrutujący się często spośród białogwardzistów rosyjskich, mieszkających od rewolucji październikowej na Zachodzie, a jeszcze częściej spośród ich dzieci, wychowanych na literackim języku rosyjskim — nie byli w stanie oddać, łagodnie mówiąc, jędrnych powiedzeń Chruszczowa.

W najgorszej sytuacji znajdowali się delegaci frankistowskiej Hiszpanii, gdyż Chruszczow siedział za ich plecami. Nie było dnia aby z tej strony sali nie wybuchały jakieś dzikie awantury. Na szczęście mikrofony w takich wypadkach nie były włączane, a krewcy Hiszpanie nie znali rosyjskiego, którym operował Chruszczow. Ale patrząc od czasu do czasu na te sceny można było przypuszczać, że chodzi o niewybredne uwagi, gdyż Chruszczow tykał to tego, to owego Hiszpana w plecy lub w

szyję, a gdy tamten odwracał się, wówczas dyktator stukał się palcem w czoło.

W jednym ze swych przemówień włodarz Rosji nazwał Komitet Rozbrojeniowy ONZ ,,śmierdzącą stajnią'', a innego dnia Radę Bezpieczeństwa ,,spluwaczką'', Ministrowi francuskiemu, Jules Moch'owi wytknął, że jest kłamcą, a do spokojnego i dobrze ułożonego przedstawiciela W.Brytanii wykrzykiwał dosłownie, grożąc mu pięścią *eh, ty, ja tjebia, ty ponimajesz...,* reszty nie było już można zrozumieć z bełkotu nieartykułowanych okrzyków. Najwięcej dostał jednak za swoje wspomniany już Filipińczyk. Chruszczow nazwał go na ,,chołujem'' imperializmu amerykańskiego. Tłumacze zaniemówili, nie wiedząc co zrobić z tym kwiatkiem językowym, a później, ostrożnie, przełożyli ,,chołuj'' na ,,lokaj''. Na drugi dzień Filipińczyk zrewanżował się Chruszczowowi oświadczając wśród gromkich oklasków, że jeśli chodzi o współzawodnictwo w sensie językowym, to nie czuje się na siłach aby pójść w zawody z Chruszczowem, gdyż nie opanował jeszcze w tym stopniu co premier sowiecki języka uliczników...

Mimika sowieckiego dyktatora jest nieco inna niż miotanie się Adolfa Hitlera w Pałacu Sportowym w Berlinie lub gestykulacja Fidel Castro. Najbardziej przypomina w technice swych wystąpień przemówienia Mussoliniego, szczególnie w używaniu pięści jako chwytu mimicznego, który ma podkreślać dobitność rzucanych z trybuny argumentów. Pewne podobieństwo da się zauważyć również w grymasach twarzy nieżyjącego dyktatora faszystowskiego i jego sowieckiego kolegi. Ale jak każda wielka indywidualność wśród elitarnych wodów i nieprzeciętnych demagogów, Chruszczow posiada własne indywidualne atrybuty. Do jakich wyżyn kunsztu aktorskiego jest zdolny, wykazał w krótkiej scenie z dnia 13 października, na kilka godzin przed odjazdem. Kiedy bowiem angielski minister spraw zagranicznych zwrócił uwagę przewodniczącemu, że dyktator sowiecki odbiegł od porządku dziennego obrad, Chruszczow stwierdził najpierw, że widocznie chcą go pozbawić prawa głosu, a później oświadczył, że on może przekonać salę o dobitności swych argumentów także przy pomocy mimiki. Dla poparcia tych słów zaprodukował zaraz całą serię dzikich grymasów twarzy i pogróżek pięścią...

Podobno w Rosji nazywają go ,,Olegiem Popowym''. Jak wiadomo, Oleg Popow jest znanym i wybitnym clownem cyrku moskiewskiego.

Plany dyktatora

Swój repertuar Chruszczow odegrał zupełnie świadomie. Chciał niewątpliwie pokazać nieobecnym Chińczykom, którzy go pomawiali i pomawiają o miękkość wobec imperialistów zachodnich, że z tymi właśnie imperialistami pertraktuje językiem siły,

a nie słabości. Drugim motywem była chęć pokazania delegatom młodych państw azjatyckich i afrykańskich, że z przedstawicielami Zachodu można mówić w zupełnie inny sposób, niż to było dotychczas przyjęte. Wreszcie Chruszczow, któremu nie udał się plan pierwotnej koncepcji pokojowej koegzystencji, pragnie obecnie zmobilizować antyzachodnie i szowinistyczne nastroje społeczeństwa rosyjskiego, które tkwią w duszy każdego przeciętnego Rosjanina i na których dyktator sowiecki chce się oprzeć w nowej fazie ofensywy przeciwko Zachodowi.

Trudno przewidzieć jakie rezultaty da tego rodzaju gra dyplomatyczna. Jeśli chodzi o świat zachodni, a szczególnie o Amerykę, to Chruszczow stracił prawie że doszczętnie ów kredyt zaufania, którym rozporządzał do wiosny br. Ale władca Rosji nie po to przebywał 35 dni w Nowym Jorku, aby szukać dróg do nowego porozumienia z Zachodem. Przeciwnie, wydaje się, że ową stratę kredytu zaufania wkalkulował już przed przyjazdem na obrady ONZ. Przebieg Generalnej Sesji Organizacji Narodów Zjednoczonych, wskazuje na to, że Chruszczow doszedł do wniosku, iż dotychczasowe koncepcje, oparte na zasadzie rozmów Wielkiej Czwórki, są niekorzystne dla ideologicznej ekspansji komunizmu sowieckiego, a zwłaszcza jeśli się chce załagodzić spór rosyjsko-chiński, który w obecnej chwili, punktu widzenia polityki Kremla, jest zagadnieniem najważniejszym. Dokonuje on więc wielkiego manewru dyplomatycznego, w którego wyniku ma nastąpić przesunięcie aktywności dyplomacji sowieckiej z płaszczyzny czterech mocarstw na platformę ONZ. W tym celu Chruszczow wystąpił z planem gruntownej zmiany dotychczasowej struktury wykonawczych organów światowego parlamentu i w tym celu głosi zasadę uniwersalności ONZ. Spekulacje sowieckie opierają się na emancypacji narodów kolonialnych, gdyż Kreml liczy, że nowoutworzone lub dopiero powstające państwa i państewka Afryki i Azji poprą jego stanowisko w odniesieniu do ONZ, jeśli nie dziś — to jutro i że na podstawie zrozumiałych urazów antykolonialnych staną się sojusznikiem Moskwy w dziele powolnego przekształcania światowego parlamentu w swojego rodzaju sejm demokracji ludowej albo we front narodowy początkowego okresu, kiedy to stronnictwa burżuazyjne przez pewien okres czasu miały coś niecoś do powiedzenia, następnie zostały konsekwentnie wypierane z parlamentu, w którym zwyciężyła frakcja komunistów z sprzymierzonymi oportunistami spośród kół dawnej opozycji.

Naiwni obserwatorzy na Zachodzie pocieszają się rezultatami niekorzystnych dla Moskwy głosowań w ciągu ostatniej generalnej debaty ONZ. Nie chcą widocznie widzieć w taktyce Chruszczowa zalążka przedsięwzięcia na olbrzymią skalę, w którego końcowych wynikach drobne porażki Chruszczowa w Nowym Jorku w niczym nie przesądzają. Zachód stoi przed nową, długą próbą sił, w toku której będziemy mieli do czynienia z rozmaitymi manewrami i do których dyplomacja zachodnia —

przywykła do skostniałej rutyny — zupełnie nie jest przygotowana.

Jak dalece mocarstwa zachodnie i ich sojusznicy byli zaskoczeni nową taktyką sowiecką wykazała debata w sprawie kolonialnej. Z wyjątkiem nikłych prób, podjętych przez premierów Kanady i Australii oraz delegata Filipin, nikt nie odważył się zmierzyć z Chruszczowem w kwestii, która jest piętą Achillesową systemu sowieckiego od czasu, gdy stał się antytezą haseł marksistowskich o wyzwoleniu narodowym i zmienił się w system imperialistyczny. W ten sposób mszczą się grzechy własnego kolonializmu i oportunistycznej polityki, prowadzonej przez koła rządzącej burżuazji krajów zachodnich. Sowiety wiedzą o tej słabości, gdyż inaczej Chruszczow nigdy nie byłby się odważył na poruszenie na forum międzynarodowym tak drażliwej sprawy, jaką jest problem kolonializmu; śmiała likwidacja kolonializmu typu zachodniego mogłaby się w krótkim czasie stać ostrym i skutecznym narzędziem walki o powszechną wolność ludów imperiów sowieckiego. Wiadomo, że systematyczne odmawianie przez Moskwę prawa do wolności narodom ZSSR jest jednym z głównych czynników uniemożliwiających normalizację stosunków na świecie. Wiedzą o tym dobrze marksiści w Europie Wschodniej i wiedzą też pierwsi sekretarze partii komunistycznych, którzy wiernopoddańczo asystowali Chruszczowowi w jego grze, ale nie wiedzą — i to wykorzystuje Moskwa — dyplomaci zachodni i wychowani w przeważającej większości na uniwersytetach zachodnio-europejskich delegaci narodów Azji i Afryki, którzy nawet nie przypuszczają w jak potwornej niewoli znajdują się narody Związku Sowieckiego. Ale mimo tak posępnego obrazu można stwierdzić, że Moskwa wstąpiła na bardzo śliską drogę. Chwilowe zwycięstwa Chruszczowa w kwestii kolonialnej, którego pozytywnym aspektem będzie przyśpieszona likwidacja kolonializmu zachodniego, musi się przemienić w klęskę kolonializmu współczesnej Rosji. Taki jest bowiem nieubłagany sens głębokich procesów historycznych, których jednym z narzędzi jest Nikita Chruszczow.

New York w październiku.

Bohdan OSADCZUK

Kra

Prywatna inicjatywa pana Zygmusia

— Szkoda gadać, proszę pani, na chama trafiłem... - powiedział Pan Zygmuś smętnie. — Mówię mu, tłumaczę, ja komu dobremu: ,,po cóż panu ten amortyzator w tej rozwalon Warszawie? Dzieciom pan dasz na śniadanie, czy co? Tą kuj blachy pan i tak nigdzie nie polecisz. Do Bielan byś pan n dopchnął. Na Sąd Ostateczny byś pan do Sochaczewa nie zdąży Co panu po tym amortyzatorze?... A ja tu mam klienta, maszyı jak złoto, tylko czuć czuć... głupi amortyzator mu potrzebny ı tymczasem, no, pożyczyć tylko. To coś pan taki nieużyty? Sa nie ugryzie i innemu nie da!''. Człowiek ze skóry wyskaku proszę pani, wszystkim by rad wygodzić, a tu na chama s trafi, tylko w kółko powtarza: ,,Pan nie miał prawa nic wymo towywać z mojego auta...'' i do bicia się zabiera. Jacy to ni którzy są, proszę pani, nieużyci, to przechodzi ludzkie pojęcie.

Pan Zygmuś chodził smutny. Dla prywatnej inicjatywy cz to był w Polsce Ludowej nieszczególny. Nie można powiedzi żeby najgorszy — w minionym okresie bywało gorzej — ale dobrego to mu było daleko. A Pan Zygmuś był przedstawiciele prywatnej inicjatywy *par excellence,* można powiedzieć z tale tu i z zamiłowania. Czyli powinienby być szczęśliwy w swoi własnych Zakładach Reparacji Samochodowych przy ulic Wydmuchowskiej. Od czasu do czasu był, ale... Buty by trzel zdjąć, żeby wszystkie ,,ale'' powyliczać.

Zwała się po prawdzie ta instytucja szumniej niż wyglądał. Dzieliła małe, przedmiejskie podwóreczko ze spółdzielnią wyr biającą izolacyjne materiały budowlane, i z olbrzymim sągie porąbanego drzewa. Z ulicy obrosłej kocimi łbami skręcało s w bramę podwórzową, opatrzoną ostrzegawczym napisem: - ,,UWAGA! AUTO!''. Uważać tam za bardzo nie trzeba był bo te auta co do Pana Zygmusia trafiały, rzadko wjeżdżały własnych siłach. Ale wyglądało poważnie.

Była tam co prawda jakaś szopa, ale na ogół wszystkie roboty odbywały się w plenerze. Czego brakło w zakresie ekwipunku technicznego i wykwalifikowanego pracownika — nadrabiano obfitością fachowych rad gremium zbierającego się *ad hoc* nad każdą ruiną samochodową; piekielną pomysłowością nieujarzmionego Pana Zygmusia, który wił się z artyzmem węgorza między brakiem części, żądaniami klientów, a kłodami rzucanymi mu pod nogi z uporem godnym lepszej sprawy przez ustrój Polskiej Republiki Ludowej; no i — *last but not least* — genialną organizacją zapoczątkowaną przez Pana Zygmusia po dojrzałym namyśle *pro publico bono*.

Organizacja ta nie miała zarządów, statutów, ani — broń Boże! — inspektorów. Całkiem nieformalnie znana była pośród na przemian rozwścieczonych i rozpromienionych automobilistów Warszawy jako „Samopomoc Klientów Pana Zygmusia”. Jak wszystkie prężne organizacje, odpowiadające potrzebom społeczeństwa, wyrosła z małego.

Właściwe jej początki — wspomnijmy to jako przyczynek historyczny — datują się od czasu kiedy Pan Zygmuś postanowił zorientować się w nowościach automobilowych na Zachodzie i obejrzeć stoiska zachodnich fabryk samochodowych na Targach Poznańskich. Tak mu dobrze podleciało, że akurat Pan Iksiński przywiózł swego Mercedesa do przesmarowania.

Pan Iksiński wjeżdżał na Zygmusiowe podwórko powolutku i z przygnębiającym poczuciem winy. Co tam się właściwie pod tą maską mercedesowską działo pojęcie miał więcej niż słabe. Wiedział, że jak ten pedał naciśnie, a tamten rygielek przesunie, to mu te ileś tam koni skoczy z miejsca i wóz pociągnie mniej więcej tam gdzie chce pojechać. Ale co poza tym... nie był pewny. Kiedy mu zadano jakieś mechaniczne pytanie przy egzaminie na prawo jazdy, obruszył się szczerze i rozłożył bezradnie ręce.

— Panowie! — jęknął — Skąd ja mogę wiedzieć? Może tam diabeł siedzi, a ja mu na ogon depczę i wtedy rusza?...

Dali mu wobec tego model skrzyżowania piekielnego, bez świateł, z czterema samochodami nadjeżdżającymi z czterech stron jednocześnie.

— Jak by Pan pojechał? Kto ma tu pierwszeństwo?

Iksiński zademonstrował z gracją i z animuszem, cechującym zwykle jego prowadzenie. Egzaminatorzy zbledli. Dali mu prędko prawo jazdy, żeby już na to nie patrzeć. Słabymi głosami życzyli mu dużo szczęścia.

Wielu rzeczy o swoim Mercedesie nie wiedział Pan Iksiński, ale jedno wiedział: co 1000 mil wóz musi być przesmarowany. Ktoś, w czyj geniusz mechaniczny wierzył ślepo, powiedział kiedyś Iksińskiemu, że w Mercedesie trzeba smarować 42 tekalamitki, albo wszystko na nic.

Pan Iksiński, przejechawszy o 200 mil więcej niż powinien, wjeżdżał więc na Zygmusiowe podwórko ze skruchą w sercu i myślał z melacholią opartą na solidnym doświadczeniu, ile z

tych tekalamitek już tam piszczy w bólach, i ile z nich będz cierpieć dalej, ledwie muśniętych po wierzchu palcem w Zakł dach Reparacyjnych Pana Zygmusia.

— Panie Zygmusiu! — stęknął błagalnie. — Czterdzies dwie kalamitki! Niechno pan dopilnuje, żeby mi nie zbyczy Przecież chyba zależy panu na reputacji...

— Zrobi się, Panie Dyrektorze, — uśmiechnął się Zygm pogodnie.

Po czym odwiózł Iksińskiego do domu — uprzejmość c klienta jest cechą wyróżniającą inicjatywę prywatną od taki pożal się Boże warsztatów samochodowych jak państwowy TC — i, nie tracąc czasu na smarowanie, jako że pogoda była ład machnął się Mercedesem Iksińskiego do Poznania na Tar i inspekcję nowych modeli.

Wrócił w dobrym humorze. Widział dużo ciekawych rzecz Niewiele z nich jednak mogło się równać z wyrazem twar Iksińskiego, którego zastał na podwórku, czekającego na sw wóz. Na liczniku niesmarowanego Mercedesa doskoczyło jeszc 400 mil.

Zygmuś nie stropił się nadto. Jakby się miał głupstwar tropić, to byłby mechanikiem w TOS'ie, a nie właścicielem Z kładów Reparacji Samochodowych przy ul. Wydmuchowskiej

— Ignac! — krzyknął w stronę szopy. — Weźno się zar do tego smarowania. I żebyś mi ani jednej z tych 42 tekalamitc nie opuścił, rozumiesz? Licz jak robisz. W porządnej firmie pr cujesz, nie w żadnym TOS'ie!...

Do zeszłego tygodnia Ignac roznosił mleko. Ale w krótki okresie pracy u Pana Zygmusia poduczył się już *savoir faire* mechanicznego na tyle, że choć ani w ząb nie wiedział co to tek lamitka, odkrzyknął raźno:

— Już się robi, panie szefie!

— Na Ignaca można liczyć jak na Zawiszę — wyjaśn Zygmuś pogodnie. — On o niczym nie ma pojęcia. Nie wie c ważne, a co nie ważne, więc z samego strachu dla pewnoś każdą śrubkę panu przesmaruje. Murowany facet! — dodał ent zjastycznie, i zaczął Iksińskiemu opowiadać o ostatnich cudac techniki z Targów Poznańskich.

Iksiński słuchał z ponurym zainteresowaniem.

„Coś innego by trzeba", skombinował szybko Zygmu I nagle go olśniło: przecież nadeszło wreszcie ze Stuttgartu, p najdłuższym czekaniu, lusterko dla tej Szwajcarki, lekarki, a t akurat — jak świetnie się składa! — Iksiński też takiego p trzebuje.

— Panie Dyretorze — powiedział Zygmuś. — Mam d pana niespodziankę...

— Zauważyłem! — powiedział ponuro Iksiński.

— Lusterko jest! — triumfował Zygmuś. — Żadnych kł potów, pisanin, czekania! Głupie 500 złotych na stół i lusterec ko w oryginalnym opakowaniu mercedesowskim już jest pan Udało się, co?

Iksiński rozchmurzył się nieco. Każda część do Mercedesa była na wagę złota. Zwariować można z tymi wypisywaniami, dewizami, cłami. Rzeczywiście się udało. Dłużej już bez lusterka jeździć nie mógł. Bez mandatu karnego by się nie obeszło.

— To ja panu zwrócę jeszcze koszty sprowadzenia, — ofiarował.

— Eee, do wójta nie pójdziemy... — uśmiechnął się promiennie Zygmuś. — Ignac, dawaj no już ten wóz dla Pana Dyrektora!

Tak się narodziła Samopomoc Klientów Samochodowych Zakładów Reparacyjnych Pana Zygmusia.

W warsztatach Pana Zygmusia działy się cuda, o jakich nie śniło się najwspanialej wyposażonemu garażowi amerykańskiemu. Na kilkunastu metrach kwadratowych koło szopy robiło się nieraz to, co w języku budowlanym Warszawy nazywa się mylnie przecznie ,,generalny remont''. Przetłumaczone na język samochodowy znaczy to, że budowało się tam auto ,,od koszulki''. W zwinne ręce ,,murowanego faceta'' Ignaca, zgalwanizowanego geniuszem Pana Zygmusia, dostawała się skorupa samochodu, goła karoseria, z którą ,,kombinowało się'' póty póki się nie wybudowało nowego samochodu.

Były to operacje drastyczne i zamierzone z rozmachem i na szeroką skalę. Stanowiły niewątpliwie *challenge* dla inwencji i niespokojnego ducha Pana Zygmusia. Jak każdy wielki człowiek miał on jednak swoją słabość: była nią obsługa Mercedesów warszawskich. Dawało mu to możność poruszania się w ekskluzywnych kołach *high life'*u stolicy. Ileż bo tych Mercedesów było w Polsce? Może 300. Przyciśnięty do muru, Pan Zygmuś mógłby zapewne wymienić właścicieli przynajmniej połowy. Samopomoc klientów, uwzględniając proletariat automobilowy jeżdżący Syrenami, Warszawami i Moskwiczami, nie ignorując Wołg, Volkswagenów i Fiatów — koncentrowała się jednak głównie na mercedesowiczach.

Pole to było ciekawe, bogate, niewyzyskane, a pełne możliwości. Do Klubu Samopomocy należeli, nic o tym nie wiedząc, członkowie cudzoziemskich ambasad i misji, nieraz ktoś z rządu, często luminarze tych zawodów, którym i w obecnym okresie wpadało do kieszeni więcej, niż rytualne ,,czy się siedzi, czy się leży, dwa tysiące się należy'': literaci, dziennikarze, doktorzy, artyści. Wszyscy oni, jak w masonerii, byli na niższym szczeblu wtajemniczenia. Fartuszek wyższych stopni należałby się chyba tylko polskim szoferom cudzoziemskich ambasad, którzy spluwali z podziwem, obserwując praktyki Pana Zygmusia, ale od czasu do czasu podnosili gwałt w obronie własnych skór, w rzadkich chwilach kiedy łańcuszek ręka rękę myje nawalał i ręka zawisała w powietrzu... pusta.

Tak było na przykład z Mercedesem z Ambasady amerykańskiej, którego wycieraczka została pożyczona dla Mercedesa Doktora Igrekowskiego, wyjeżdżającego z uroczą, rudą żoną na winogrona i plażę do Bułgarii. Zygmuś życzył doktorowi

słońca 24 godziny dziennie, ale jasne było, że w tę daleką drogę Doktor bez wycieraczki jechać nie mógł.

Samopomoc Klientów poszła w ruch: doktor wyjechał na wakacje, Mercedes amerykański wrócił do garażu ambasadzkiego minus wycieraczka, Pan Zygmuś zainkasował cenę niewiele wyższą od katalogowej, szofer ambasadzki dostał nagrodę pocieszenia, i wszystko byłoby w porządku najlepszym, gdyby nie zdumiewający brak kooperacji ze strony kierownika *motor pool*'u Ambasady Stanów Zjednoczonych.

— Z cudzoziemcami zawsze kłopoty, cholera, języka wspólnego znaleźć nie można... — skonstatował ze smutkiem Zygmuś, kiedy mu szofer ambasadzki przyleciał na podwórko następnego dnia z gwałtem, że jeśli natychmiast nie „odnajdzie" zgubionej wycieraczki, to straci posadę.

— Tak ci ten cham powiedział? — zainteresował się Zygmuś życzliwie.

— Jak Boga kocham! Nic się nawet nie pytał co, gdzie, jak. Powiedział tylko: przywieź, albo wylecisz. Panie Zygmuś, wytrzaśnij mnie pan jaką wycieraczkę, pókim dobry. Przez jedne rude doktorowe pracy tracił nie będę...

— Co ja panu, do Stuttgartu po wycieraczkę polecę? — obruszył się Zygmuś. — Przez takiego jednego inostrańca, któren zrozumienia nie ma dla sytuacji w jakiej się nasz naród chwilowo znajduje?

Ale się udobruchał, klepnął szofera po ramieniu i powiedział:

— Nie martw się pan zanadto, bo to na urodę niedobre. Jak się da, to się zrobi... — Potem pomyślał chwileczkę, i coś widać wymyślił, bo dodał: — A może i dać nie będzie trzeba.

Tak też i było. Jeden z członków Samopomocy, człowiek obrotny, zapobiegliwy i nałogowo nieufny, dostał właśnie przesyłkę z NRF-u różnych drobnych części mercedesowskich. Między innymi miał mieć zainstalowaną nową wycieraczkę, bo mu już stara gumą zaczynała nawalać.

— Panie Redaktorze! — zatelefonował Zygmuś miodowym głosem. — Pół godzinki i załatwimy Panu te wszystkie drobiazgi... Wystukamy też ten prawy błotniczek, że będzie jak nowy.

W pół godziny wóz redaktora odstawiony był z powrotem — ze starą wycieraczką. Wóz ambasadzki wjeżdżał do *motor pool*'u.

— No, co? Znalazło się? — pytał kierownik.

— Cholera z tymi garażami! — skrzywił się szofer. — Koszulę by z grzbietu ściągnęli, człowiek by nawet nie zauważył. Jak mrówki do kości objedzą, tylko oczy odwrócić na chwilkę!

Kierownik przyjrzał się uważnie. Puścił w ruch wycieraczkę.

— *O key!* — powiedział.

— Spiczaste ma oczy, szkoda gadać! — pomyślał szofer z uznaniem. — Dobrze, że nie pozwoliłem sobie wtrynić tamtej starej wycieraczki. Redaktor i tak nie zauważy...

Gorzej się powiodło szoferowi z ambasady chińskiej. Ledwie zostawił u Zygmusia swego lśniącego, czarnego Mercedesa, dostał rozkaz, żeby go natychmiast odebrać, bo attaché chiński musi jechać do Lublina na jakieś oficjalne funkcje. Poleciał na Wydmuchowską, do Warsztatów Samochodowych. Mercedesa nie było. Zygmusia też nie było. Tak wypadło, że Zygmusiowa małżonka akurat się na wczasy do Zakopanego wybierała. Zygmuś był mąż i ojciec wzorowy. Samej kobiety — czuł to wyraźnie — puścić nie mógł, żeby się nieboga poniewierała zatłoczonymi pociągami.

Załadowali tedy chińskiego Mercedesa i pojechali z szykiem, z furkotem chińskiego proporczyka na maszcie, szpalerem milicjantów salutujących uniżenie dyplomatyczne tablice rejestracyjne. Udana była wycieczka. Zosia lubiła Mercedesy jak żadne inne wozy. W Mercedesie zawsze była w dobrym humorze. Aż się Zygmusiowi wracać do Warszawy nie chciało.

Zrozpaczony szofer chińskiej ambasady zapowiedział Bogu ducha winnemu Ignacowi, że się jego noga z Zygmusiowego podwórka nie ruszy, póki wozu z powrotem nie dostanie. Chiński attaché, w pośpiechu nagłego wyjazdu, nie miał nawet czasu się dziwić długiemu rejestrowi niespodziewanych przypadłości czarnego Mercedesa, ani nie zauważył nieobecności szofera, który rozbił namioty na podwórzu Pana Zygmusia. Siedział cały dzień, spędził noc w szopie, siedział drugi dzień. Do Zakopanego było daleko.

Wieczorem drugiego dnia nadjechał Zygmuś. Patrzył z westchnieniem za odjeżdżającym Mercedesem.

— Jak on tak zawsze nerwowo biegami zgrzyta i z jedną nogą na gazie a drugą na sprzęgle jeździ, to go tu jeszcze zobaczymy... — pocieszał się.

Okazało się jednak, że szofer ,,u Chińczyków'' był to jeden z tych niewielu upartych klientów, którzy się do obsługi Zygmusia zniechęcili niepowrotnie. Zygmuś westchnął, ,,odfajkował'' jednego Mercedesa ze swojej listy. ,,Nie wszyscy ludzie tacy są, że na nich można liczyć jak na Zawiszę'', pomyślał filozoficznie.

Miał zresztą w tym czasie inne kłopoty. Szykowało się spotkanie członków Samopomocy Klientów Pana Zygmusia. Przyjechał właśnie do Warszawy inżynier Stolz, przedstawiciel Mercedesa z NRF-u, ofiarowując automobilistom warszawskim swoje usługi w przeglądzie wozów swojej firmy, sprawdzając obsługę i przyjmując ewentualne reklamacje.

Bogiem a prawdą wszystkie te auta w Polsce to była latająca reklama, że Mercedes to wóz żelazny i wytrzymujący niemal wszystko co się z nim wyprawia. A co się z nimi wyprawiało nie mogło być przewidziane w najliberalniejszych gwarancjach na świecie. Tym niemniej był to czas Wielkiej Konfrontacji, której zapobiec nie mógł nawet cały kunszt dyplomatyczny Pana Zygmusia.

W piękny lipcowy dzień zjechały się na Pradze cztery Mercedesy naraz, poddać się surowym oględzinom Inżyniera Stolza. Pan Zetowski — Inżynier Stolz wyraził żywe zdziwienie, że na dwóch śrubach jeździ mu się równie dobrze jak na pięciu — odjechał właśnie w stronę Wydmuchowskiej, zionąc ogniem. Pozostali panowie, czekając swojej kolejki, w rozmowie towarzyskiej osiągali wyższy stopień wtajemniczenia w sekrety Samopomocy Klientów Pana Zygmusia.

— Cóż za zabawny zbieg okoliczności! — cedził Inżynier Kowalski. — Pan Doktor ma lewą latarnię wypożyczoną ode mnie: Miło mi było wyświadczyć usługę...

— Chyba pomyłka, Panie Inżynierze — odpowiadał Doktor Piotrowski z maleńką nutką niepokoju w głosie. — To było specjalnie dla mnie sprowadzane z NRF-u. Zygmuś mi się zresztą z tym szybko uwinął. Choć co prawda słono extra kosztowało, ale miałem wóz na chodzie raz dwa. Ten chłopak po prostu cuda umie robić! Nie pytam już nawet jak...

— Może ja panu potrafię wyjaśnić... — szepnął słodko Inżynier. — To było wtedy, kiedy Pani Doktorowa miała ten niefortunny wypadek, prawda? Wtedy, kiedy całą chłodnicę i lewy błotnik rozbiła, nacisnąwszy przez pomyłkę na gaz zamiast na hamulec na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i Nowego Swiata?...

— Ależ skąd! — oburzył się Doktor. — Z tą lampą to było tak: żona stała, zaparkowana, i cofnął się w nią jakiś idiota nie mający pojęcia o prowadzeniu, i rozbił lewą lampę. Chwała Bogu, nic więcej nie uszkodził. I takim durniom dają prawo jazdy! Chciałem interweniować, ale mnie żona ubłagała. Kobiety zawsze mają niepotrzebnie miękkie serca.

Inżynier chrząknął nieobowiązująco. Doktorostwa Piotrowskich wprawdzie osobiście nie znał, ale miał pełne zaufanie do swojej wersji, zwłaszcza że te chłodnicę to widział na własne oczy. Pamiętał wyraźnie jak wyglądał Mercedes Doktora, bo był właśnie na Zygmusiowym podwórku kiedy Zygmuś Niezastąpiony, Zygmuś Rycerski, dotaszczył tam resztki Mercedesa i Doktorowej na generalny remont. Nie najmniejszym z jej zmartwień było wtedy: ,,Co mąż na to powie?!...''.

— Co ma powiedzieć, Pani Doktorowo? — pocieszał Zygmuś. — Nic nie powie, bo nie będzie o czym. Jak my tu z samochodzikiem skończymy — mucha nie siądzie. Pani zadzwoni do Doktora, że się troszkę u koleżanki zasiedziała, a my tu raz dwa w try miga się uwiniemy i po krzyku.

Doktorowa spojrzała łzawo i wdzięcznie. ,,Zbawco!'' mówiło to spojrzenie, typowe dla kobiet zamężnych i w opresji.

— Musiem kobiete ratować, no nie, panie inżynierze? — szeptał Zygmuś w kącie podwórza. — Lampę bym jedną od pana wypożyczył, bo jak raz nie mam pod ręką... Nim panu te kierownice poprawie — już pan ją będziesz z powrotem miał, jak Boga kocham.

Inżynier się bronił przez dwadzieścia cztery godziny, a może nawet — niejasno tylko pamiętał jak długo to trwało i dlaczego w końcu uległ — przez całe czterdzieści osiem. Stąd w ogóle Doktor coś wiedział, że cokolwiek z lampą było nie w porządku. Powinien był się bronić dłużej i do skutku, myślał gorzko inżynier, bo skutek poddania się był taki, że pierścień gumowy łączący kierownicę z mechanizmem sterowym nie został w jego wozie wymieniony przez okres czasu długi nawet jak na Warsztaty Reparacyjne Pana Zygmusia. Części nie było. Nic się nie dało zrobić. O lampie w ogóle się już nie mówiło. Takie głupstwo. Tu chodziło o sprawy wiele ważniejsze, żeby samochód w ogóle na chód postawić. Inżynier Kowalski pamiętał całą tę sprawę boleśnie i uważał się za autorytet jeśli chodzi o chłodnicę Pani Doktorowej. Ale taka była siła perswazji Pana Zygmusia, nawet na odległość, że Inżynier połknął gorzkie słowa i nawet bąknął coś, co mogło być poczytane przy szczypcie dobrej woli i imaginacji za grzeczne zaprzeczenie samemu sobie, a co w rzeczywistości brzmiało:

— Wszystkich nas ten pieroński facet w butelkę nabija, panie drogi. To geniusz!

Żeby oderwać się od tych zmartwień, tych fermentujących klientów, tej milicji nos wścibiającej w rejestracje samochodowe i transakcje handlowe, tych wozów rozebranych na proszek i obiecanych na dawno przeczasiałe terminy — Pan Zygmuś postanowił wyruszyć na wielką turę samochodową po Europie. Obmyślał ją długo i szykował starannie. Pożyczał nawet w tym celu od Iksińskiego, starego wygi samochodowego, dokładne mapy drogowe Europy Zachodniej. Przy tej okazji zwierzył mu się z planowanej trasy.

— Polecę, panie, najpierw do NRD. Potem do NRF. Potem wskoczę do Czechosłowacji. Potem do Austrii, Jugosławii, znowu przez Austrię do Czechosłowacji. NRF, Włochy, znowu Jugosławia, Austria i Czechy...

— Coś pan tu pokpił z trasą, Panie Zygmusiu! — przerwał Iksiński. — Po co tak ciągle do tej Czechosłowacji nawracać?

Zygmuś rozłożył ręce.

— Żyć jakoś trzeba, Panie Dyrektorze, przecież... — wytłumaczył. — Jakoś człowiek musi światopogląd poszerzyć i te podróże, co jak wiadomo kształcą, sfinansować.

Do jakiego stopnia staranny był Zygmuś w swoich przygotowaniach i jak dbał o najmniejsze szczegóły, przekonał się Iksiński sam któregoś wieczoru, gdy odstawił auto do garażu i wracał do domu piechotą po Wydmuchowskiej, bo mieszkał niedaleko. Przechodząc po ciemku koło podwórka Pana Zygmusia posłyszał jakieś ciche bulgotania i zaciekawiony zajrzał przez płot, co się dzieje. Długą chwilę patrzał jak Zygmuś rureczką gumową benzynę odciąga z klientowskich samochodów, sprawiedliwie nawet, nie można powiedzieć, z każdego mniej więcej tyle samo.

Chrząknął wreszcie Iksiński głośno i powiedział:

— Dobry wieczór, Panie Zygmusiu. Co się tu dzieje?

Zygmuś ukłonił się szarmancko.

— Moje uszanowanie Panu Dyrektorowi! — powiedział ochoczo. A potem posmutniał, głową pokiwał, ręką machnął.

— Co za czasów dożyliśmy, Panie Dyrektorze, słowo daję!... Splunąć nie warto. Do czego to ten cholerny socjalizm człowieka doprowadza...

Westchnął ciężko i sięgnął znów po rureczkę.

Marta ERDMAN

Przekleństwo grzechu pierworodnego

Czy się stoi, czy się leży —
Dwa tysiące się należy.
(Popularny aforyzm krajowy)

Nawet powierzchownych obserwatorów zastanawia paradoks wydajności pracy polskiego robotnika w kraju i zagranicą. Paradoks zadziwiający: ceniony na emigracji, zdyscyplinowany, pochłonięty myślą o dorobieniu się — w kraju staje się jednym z najgorszych robotników świata. Jego wydajność spada w sposób niezrozumiały, stosunek do pracy zmienia się radykalnie. Ani skompromitowany ruch stachanowski, coraz pełniej odżywający w krasie tych samych frazesów, ani anemiczny i niewystarczający system premii nie mogą zdynamizować gospodarki krajowej i przywrócić jej należnej prężności działań — niezbędnej do prawidłowego funkcjonowania *jakiegokolwiek* organizmu gospodarczego.

W czasie mego pobytu w kraju obserwowałem godzinami grupy robotników zatrudnionych przy budowie warszawskich osiedli, wrocławskich kamienic, poznańskiej kanalizacji. Znam się na tym: sam byłem robotnikiem. Przyglądałem się im pełen podziwu dla perfekcji z jaką ci ludzie *udają*, że pracują. Zdumiało mnie ich nieprawdopodobne lekceważenie zadań i czasu, zdumiała powszechność tego zbiorowego obijania. Tu już robotnik nie kryje się przed majstrem, majster przed inżynierem. Obijają się wszyscy. Jedni na drugich patrzą przez palce, jedni drugich kryją. Nie udało mi się, mimo starań, dotrzeć do poważniejszych źródeł krajowych na temat wydajności pracy polskiego

robotnika w różnych gałęziach gospodarki narodowej — taką czystą kartą jest zresztą również problem rentowności różnych dziedzin życia gospodarczego. Ale własne obserwacje i liczne rozmowy z inżynierami, ekonomistami i robotnikami skłaniają mnie do postawienia pozornie nieprawdopodobnej tezy, określającej tę wydajność na około 20% przeciętnej wydajności robotnika zachodnio-europejskiego, nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych. Jest to oczywiście liczba szacunkowa, ale też liczba zajmująca się wyłącznie kwantytatywną stroną problemu. Uwzględnienie funkcji kwalitatywnej, cyfrowe uchwycenie różnic jakościowych — pogorszyłoby jeszcze ten stosunek na niekorzyść kraju. Mleko kupowane w MHD (Miejski Handel Detaliczny) zaprawione jest budzącą szacunek ilością wody, samochód kupiony za równowartość 3 lub 4-letniej pracy dobrze zarabiającego urzędnika (2000 złotych miesięcznie) może się zepsuć po opuszczeniu sklepu i trzeba podobno długich tygodni, aby nakłonić kogo należy do naprawy. Nowy telewizor wymaga najczęściej zabiegów zakładu naprawczego, nowe ubranie trzeba z miejsca zanieść do krawca: do poprawki. Takie przykłady można mnożyć w nieskończoność. Na nic stałe piętnowanie tego stanu rzeczy w prasie krajowej, ośmieszające winnych wystawy „bubli" czy całe audycje radiowe poświęcone marnotrawstwu. Na nic hałaśliwa, ale też tylko teoretyczna mobilizacja przemysłu, wytwórczości i usług do walki o jakość produktu. Choroba rozprzestrzeniła się, wniknęła w tkanki organizmu narodowego". Stała się zjawiskiem powszechnym, zjawiskiem — w polskiej gospodarce narodowej — powszechnym.

Szukając przyczyn wskazuje się często na złą organizację pracy, na zabójcze obciążenie produkcji machiną kontrolno-administracyjną, przechodzącą od lat wyraźny elephantiasis i wyrosłą w całą piramidę działów, zjednoczeń, centralnych zarządów. Mówi się o braku należytej kontroli jakościowej i sankcji zapewniających rytmiczność i termin produkcji poza niezawsze wystarczającymi ramami planu z jego podstawową sprzecznością między ilością a jakością produkcji. Ale istotna przyczyna tkwi głębiej — poza zasięgiem oficjalnej analizy. Powiem więcej poza możliwościami naprawy. Jest to przyczyna strukturalna, związana z samą istotą gospodarki planowej w jej sowieckim wydaniu, powielanym od lat w kraju.

Jak wiadomo podstawowa teoretyczna różnica między ustrojem kapitalistycznym i socjalistycznym polega na określeniu podmiotu własności i wskazaniu na zmianę teoretycznego posiadacza środków produkcji z kapitalistycznego właściciela na właściciela społecznego, jakim jest całe społeczeństwo. Reprezentuje je na zewnątrz i wewnątrz wszechwładne państwo — rzeczywisty właściciel i organizator produkcji. Z tej zasadniczej różnicy, bardzo pięknie opiewanej w całej literaturze ekonomicznej i politycznej bloku sowieckiego, płyną ważne skutki praktyczne: kapitalistyczna żywiołowość rynku z jego prawem wartości i regulującą równowagę grą podaży i popytu, zastąpiona zostaje

ogólnonarodowym planem gospodarczym. Plan ten staje się generalną dyrektywą teleologiczną i wykonawczą dla podległych mu planów szczegółowych, które rozbijają generalne zadania planu ogólnego na sieć zadań konkretnych — rozłożonych w przestrzeni i w czasie. Jak dotąd wszystko wygląda przyzwoicie, szczególnie w teorii i po kosmetyce frazesów. Ale zadania i wielkości planu są określane apriorycznie. Nie według rzeczywistych potrzeb społeczeństwa, ale według zamierzeń partii. Idea polityczna wypiera swobodną grę popytu i podaży i określa obowiązujące wielkości produkcji i spożycia. Obiektywne prawo wartości zostaje pogwałcone i zepchnięte do roli teoretycznego kryterium pomocniczego przy określaniu cen i wymiany. Przekreślony zostaje jedyny, praktycznie użyteczny i prosty miernik wartości. Otwarta zostaje droga do absurdu, do lekceważenia potrzeb i możliwości, do pogardy dla najważniejszego kryterium działalności gospodarczej, jaką jest opłacalność, a używając języka bardziej precyzyjnego — rentowność produkcji. I to nie koniecznie w skali jednostkowej ale w skali całości gospodarki narodowej. Zaczyna się zaczarowany teren gospodarki księżycowej, oderwanej od bezpośredniego sprawdzianu celowości i wysokości nakładów, posługującej się jedynie wymiarem niesprawdzalnego w swoich podstawowych założeniach — planu. Droga do marnotrawstwa, rozszerzona przez absurdy organizacji i kontroli, zostaje otwarta, grzech pierworodny popełniony.

Dlaczego jednak nie ujawnia się absurdu? Dlaczego nie walczy się dostatecznie skutecznie z marnotrawstwem? Ponieważ marnotrawstwo i absurd nie są w Polsce sprawą przypadku, ale są funkcją systemu. Nie zapominajmy, że plan gospodarczy określa nie tylko wysokość produkcji dóbr i usług, hierarchię cen i wysokość akumulacji i inwestycji — ale także ogólny rozdział dochodu narodowego. Więc określa jaka część produktu globalnego zostaje przeznaczona na spożycie, a jaka na inwestycje. Piszę o produkcie globalnym, a nie o tej jego części, która staje się dochodem narodowym, ponieważ przy rabunkowej gospodarce, jaką w tych warunkach staje się gospodarka planowa, niektóre dziedziny produkcji w ogóle nie znają dobrodziejstw konserwacji i remontów i cała wartość uzyskana z ich pracy, po potrąceniu kosztów surowca i robocizny, zostaje przerzucona na odcinki zagrożone, odcinki uprzywilejowane, a więc zbrojenia, ciężki przemysł, górnictwo. Inaczej mówiąc w licznych dziedzinach działalności i produkcji — organizm gospodarczy zjada częściowo sam siebie.

Nie wiadomo jaka część dochodu narodowego w przeliczeniu na międzynarodowe jednostki obrachunkowe, przypada w Polsce na głowę ludności. Milczą o tym krajowe źródła, nie ma ich także w publikacjach O.N.Z'u. Oficjalne statystyki podają te liczby w relacjach złotowych, ale do tych danych trzeba podchodzić z dużą ostrożnością, nie tylko dlatego, że nie bardzo zgadzają się z oficjalną statystyką płac, ale oderwane od kosztów utrzymania, pozbawione naturalnego tła (rynku), stają się czystą

abstrakcją. Znacznie bezpieczniej operować już liczbami szacunkowymi i wielkościami korelatywnymi w stosunku do dochodu narodowego, przypadającego na głowę ludności, a więc — płacami. Oficjalne płace są w Polsce bardzo niskie. Struktura płac, o małej stosunkowo rozpiętości, nie zna grup specjalnie uprzywilejowanych — z wyjątkiem wysoko wyspecjalizowanych naukowców i bonzów administracji. Cała reszta mieści się w granicach od 500 do 3.000 złotych miesięcznie. Przeciętna waha się około kwoty 1.450 złotych. Przy istniejących i stale zwiększających się kosztach utrzymania (stała deprecjacja pieniądza) sumy te całkowicie wykluczają jakąkolwiek tezauryzację. Uniemożliwiają również utrzymanie rodziny. Tutaj nie od rzeczy będzie przypomnieć czytelnikowi ceny detaliczne najważniejszych artykułów spożywczych i przemysłowych w kraju:

Chleb — 3,00 zł.
Bułka — 0,50 — 1,00
1 kg mięsa — 20,00 — 60,00 zł.
1 kg kiełbasy — 24,00 — 70 zł.
1 kg cukru — 12 zł.
1 kg masła — 70 zł.
1 kg cytryn — 30 zł.
1 kg jabłek 6 — 18 zł.
1 jajko 2 zł.
1 kg kawy 270 zł.
Obiad w popularnej restauracji — 15 — 40 zł.
Obiad w barze mlecznym — 5 — 12 zł.
20 papierosów — 4 — 10 zł.
1 litr wódki wyborowej — 110 zł.
1 litr wódki zwyczajnej — 80 zł.
Butelka wina owocowego — 12 — 24 zł.
Butelka wina gronowego — 30 — 120 zł.
Buciki — 150 — 800 zł.
Ubranie gotowe — 600 — 2.500 zł.
Ubranie szyte — 700 — 5.000 zł.
Płaszcz — 500 — 2.500 zł.
Koszula — 40 — 500 zł.
Radio — 800 — 4.500 zł.
Telewizor — 6.000 — 12.000 zł.

Spiżowe prawo płacy, jeden z postrachów wczesnego kapitalizmu, nie tylko odżywa w socjalizmie, ale przybiera jeszcze szczególnie radykalne formy. Mężczyzna na ogół nie może wyżywić rodziny. Często więc pracuje w Polsce kobieta. Często poszukuje on również drugiej i trzeciej posady, czy tzw. „pracy zleconej”. Ale planowana siatka płac jest przecież odbiciem planu gospodarczego, oficjalną częścią funduszu spożycia, przypadającego na jednostki. Wynika z naszych rozważań, że część ta kształtuje się w Polsce poniżej niezbędnego minimum. Pogwałcone prawo wartości mści się dotkliwie oderwaniem płacy od wartości pracy i wprowadzeniem uposażeń spychających mi-

liony w granice nędzy. Nie może być inaczej skoro lwią część dochodu narodowego pochłania akumulacja, zgodnie z postulatem szybkiej budowy socjalizmu. Miliony ludzi zmarłych z głodu w Rosji Sowieckiej i sukcesy przemysłowe stalinowskich pięciolatek są najlepszą ilustracją tego zagadnienia. Ale przecież ludzie nie umierają w Polsce z głodu — przeciwnie: powodzi im się stosunkowo nieźle, a stopa życiowa, aczkolwiek powoli, ale przecież wzrasta, Paradoks? Nie koniecznie. Raczej głębsza prawidłowość polskiej gospodarki, rewanż zdrowego rozsądku i konieczności życiowej na idealistycznej próbie budowania socjalizmu w warunkach, które — nawet w okresie wczesnego kapitalizmu — budziłyby grozę. Związek Sowiecki posiada wprawdzie ogromną wprawę w mobilizowaniu wielomilionowych rezerw do pracy nieomal darmowej, do pracy niewolniczej, wprawa ta jednak w Polsce zawodzi. Prawa ekonomiczne biorą odwet za cenę wielu anomalii odzywających się potem dalekim echem. Powstaje zjawisko wtórnego, nieoficjalnego rozdziału dochodu narodowego: zgodnie z naturalnymi tendencjami życia zbiorowego. Sprzyja mu dziesiątki sposobów, nie zawsze godnych polecenia. Powstaje żywiołowa tendencja do złagodzenia absurdalnych norm planu, wielka akcja oporu, podejmowana przez cały naród. W tej walce o byt, o poziom życia, o ludzkie warunki egzystencji, zaostrzonej różnicą stopy życiowej między krajem a Zachodem, a nawet między krajem a Czechosłowacją, Niemcami Wschodnimi, Węgrami i Bułgarią — wszystkie chwyty są dozwolone. Tam gdzie zarobek nie wystarcza nawet na jedzenie pojawia się kradzież bądź jako pokusa, bądź jako konieczność. Tam gdzie jedynie spryt może przynieść sukces, rzetelność codziennego wysiłku staje się problematyczna, a często absurdalna. Tworzą się nowe warstwy społeczne, ukształtowane według kryteriów zarobku, nie zawsze oficjalnego, a już z reguły nie ujawnianego. Pieniądz nieoficjalny, pieniądz z ukrytej repartycji dochodu narodowego, staje się miarą sukcesu, bo choć nie zapewnia współuczestnictwa we władzy — daje całkiem przyzwoity stopień niezależności. Oczywiście nie jest to pieniądz gospodarczo i społecznie obojętny. Liczne afery gospodarcze, nierzadko sięgające milionów złotych i powszechne skorumpowanie życia w Polsce są tylko jednym ze skutków tego stanu rzeczy.

W Polsce kradnie zastraszająca ilość ludzi. Zastraszająca ilość żyje z kradzieży, jako systemu uzupełniania zarobków. Robotnicy kradną surowiec, ekspedienci towar, urzędnicy — czas. Wszyscy oni pracują byle jak, bez normy, bez sankcji, bez pośpiechu, bez dostatecznej kontroli, a nawet bez tej minimalnej lojalności wobec drugiego człowieka — petenta czy klienta — wymaganej już nie przez obowiązki zawodu, ale przez prostą przyzwoitość. Pracują, ale wydajność ich jednostkowej pracy jest minimalna. Nie mogąc ukraść czegokolwiek, bądź z konieczności bądź z osobistej przyzwoitości, kradną bodaj czas, opłacony w założeniu jako czas pracy. Najczęściej kradną

jedno i drugie. Skoro cena pracy (płaca) jest w zasadzie sztywna i nie zależy bezpośrednio od wydajności, albo zależy w bardzo małym stopniu, i skoro sztywny jest w zasadzie rynek pracy, nie ma rezerwowej armii bezrobotnych, czekającej na wszelkie luki, wówczas powstaje tendencja do zmniejszania ilości pracy, doprowadzająca do tych zdumiewających nas zjawisk, jak opisane już przeze mnie tempo pracy robotników drogowych czy budowlanych czy nieprawdopodobny wzrost administracji. Ów spadek wydajności pracy *zapłaconej* nie jest przywilejem warstw mniej zarabiających. Przeciwnie: to właśnie wysoko kwalifikowani specjaliści, naukowcy i przedstawiciele wolnych zawodów, biją tu wszelkie rekordy. System półetatów czy kumulacji posad stwarza prawdziwych bohaterów pracy, szczycących się nie byle jakimi sukcesami: 20 — 24 a nawet 32 godzin zajęć na dobę! Zjawisko jest więc powszechne. Powszechne, ale nie uniwersalne. Przedstawiłem bowiem tendencję ogólną, naturalną skłonność wyzyskiwanych do reakcji i obrony. Ale aparat wyzysku nie zawsze pozostawia podobne luzy. W wielu dziedzinach pracuje się i to pracuje solidnie, po 10 i więcej godzin dziennie. Kapryśność i niejednolitość aparatu wyzysku nie zmienia jednak słuszności naszych spostrzeżeń o kradzieży, jako funkcjonalnej chorobie gospodarki narodowej.

Kradzież systematyczna, niedostrzegalna, często przesłonięta parawanem bardzo oficjalnych papierków i operacji buchalteryjnych, zostaje podniesiona do rangi instytucji społecznej. Staje się przedmiotem kalkulacji i jednostkowego planowania — podobnie jak ewentualna kara. *Opłaca się* w Polsce siedzieć w więzieniu rok czy dwa, aby postawić willę, czy zabezpieczyć starość sobie i rodzinie. Opłacają się zresztą różne formy kradzieży. Opłaca się wynosić z rzeźni kilogramy mięsa, bo strażnik też chce żyć i nie ceni swojej władzy zbyt wysoko, opłaca się jeździć na gapę w tramwaju czy autobusie, bo to nic nie kosztuje. Suma tych działań, tworzących całe systemy, rodzi na rynku poważne „dzikie'' kapitały, które działają anarchicznie, rozkładając go niejako od wewnątrz i łagodząc tym samym radykalność i surowość narzuconych z góry norm życia. Sądząc według siatki płac powinni mieszkać w Polsce sami nędzarze. Tak jednak nie jest: popyt na artykuły luksusowe i spożywcze nie stoi w żadnym stosunku do ogólnych kosztów utrzymania i oficjalnych norm płacy. Suma wydatków społeczeństwa jest większa od sumy oficjalnych dochodów. Tworzy się dodatkowa tendencja inflacyjna, osłabiająca i tak deprecjonujący się pieniądz. Zaplanowana relacja między popytem a podażą ulega jeszcze poważniejszemu zachwianiu. Rynek reaguje na te przypływy i odpływy gwałtownie i destrukcyjnie. Rząd robi co może, aby „przychwycić'' nadwyżki. Absurdalne z punktu widzenia kalkulacji i godziwego zysku ceny towarów poszukiwanych czy usług (wycieczki zagranicę), nieustannie drenują rynek, ale żywioł jest silniejszy i polska stajnia Augiasza nie prędko zostanie oczyszczona.

Można by się właściwie cieszyć ze skuteczności samoobrony organizmu społecznego — gdyby nie cena, jaką się za nią płaci. Jest to cena powszechnej demoralizacji, cena wzajemnej pogardy i lekceważenia, bo tam gdzie wartości stają się antywartościami stosunki międzyludzkie ulegają zwyrodnieniu i zaciera się różnica między samoobroną a chorobą. Nauczycielka, która stawia stopnie w proporcji do ilości pończoch, cukru czy mięsa przyniesionego przez rodziców dziecka, doskonale orientującego się w przedmiocie tej transakcji, przestaje być wychowawczynią — staje się kimś diametralnie przeciwnym. Lekarz, który z zabiegiem decydującym o życiu pacjenta czeka na łapówkę rodziny, przestaje być bohaterem, staje się łajdakiem. Pielęgniarka, która okrada chorego z należnej mu porcji jedzenia czy starań o ile nie zostanie dodatkowo zapłacona — przestaje być pielęgniarką. Nota bene opowiadano mi w kraju charakterystyczne zdarzenie. Na pewnej konferencji, dotyczącej pracy pomocniczych pracownic szpitalnych, odbytej w jednym z województw z udziałem wysokiego delegata Min. Zdrowia, zwracano uwagę na ich głodowe uposażenie, jako na źródło korupcji. Delegat przyznał słuszność, ale dodał: ,,Myśmy analizowali ten problem, ale *to się nie opłaci*''. Nie opłaci się podniesienie uposażeń, bo kradzieże lepiej się kalkulują. Są mimo wszystko — tańsze. Przynajmniej dla państwa.

Szereg stanowisk o poborach na granicy najniższego uposażenia, kosztuje grube tysiące na nieoficjalnym rynku pracy. Wiadomo bowiem, że łączy się z nimi niezwykle korzystna szansa kradzieży. Stanowisko kierownika ulicznej stacji benzynowej z zarobkiem 800 złotych miesięcznie, kosztuje u odpowiedniego dysponenta pracy około 25.000 złotych. Kelnerzy zarabiają podobno 5000 — 10.000 zł. miesięcznie, kierownicy sklepów komisowych uchodzą powszechnie za finansową arystokrację reżymu. Naturalnie sama istota rzeczy spoczywa wśród misternie utkanych eufemizmów. Własność państwowa dla wielu ludzi jest własnością naprawdę bezpańską, a jednocześnie ci, którzy w rzeczywistości żyją na granicy prawa spiżowego, są często zadziwiająco uczciwi, uczciwi wbrew sobie, ale to jeszcze jeden, dodatkowy paradoks krajowego życia.

Rycerze podziemnego rynku nie działają, rzecz prosta, samopas. Posiadają odpowiednie ubezpieczenia. Korupcja staje się formą transmisji pieniądza do aparatu nadzoru i władzy, niewidoczną ale trwałą siatką scalającą jednostki w grupy, koterie gangi. Zrosty podziemia gospodarczego z aparatem władzy i dyspozycji cementują ten stan rzeczy i czynią z niego groźną siłę, o jaką rozbijają się wszelkie próby uzdrowienia, podejmowane z wielu stron. W wielu środowiskach, wielu zakładach pracy, wytwarzają się odpowiednie normy i dla ludzi uczciwych nie rozumiejących mechanizmu kradzieży, czy nie godzących się na nią, brakuje miejsca. Wywodzi się stąd wiele gwałtów, niesprawiedliwości i moralnych zbrodni. Relacje o tym w znikomym tylko procencie przenikają na łamy prasy. Zresztą krytyka

rasowa, mimo obowiązującej uchwały KC partii i odpowiedniego wykonawczego rozporządzenia Rady Ministrów, jest najczęściej jałowa i lekceważona. Zabezpieczenia działają sprawnie jeśli już kogoś usuną w Polsce ze stanowiska w wyniku ujawnienia nadużyć, to najczęściej... na lepszą placówkę. Zwykle jednak zainteresowani nabierają wody w usta i sprawa po krótkim hałasie ulega zapomnieniu.

Kryje się tu tragiczna sprzeczność wewnętrzna systemu, ciągająca całe społeczeństwo. Sprzeczność między jakością ektu a czystością metod. Natrafiamy na nią w wielu okolicznościach: nie tylko łączy często sukces z nadużyciem i sprytem, le rokuje również jak najgorsze horoskopy dla wszelkiej inicjawy i najpożyteczniejszych prób działania. Zawsze bowiem najdzie się odpowiedni urząd skarbowy czy inna kompetentna władza, która zdusi w zarodku najcenniejszą inicjatywę. Tysiące doskonałych pomysłów i wynalazków przemysłu i organiacji pracy, tysiące potrzebnych warsztatów rzemieślniczych zy usługowych tonie w tym bagnie stagnacji i złej woli. Idą a dno, a nikt nie ma dość czasu, władzy i odwagi, aby ratoać je od zagłady. Czasem się to udaje, ale wysiłek potrzebny a utorowanie drogi najsłuszniejszym pomysłom bywa niewspółmierny do rezultatów. Wytwarza się w kraju nowy rodzaj rywatnego heroizmu, który polega na rozwijaniu własnej działalności wbrew wszystkim przeszkodom. Tutaj zresztą aprioryzm nii partyjnej daje się szczególnie we znaki. Tak na przykład owolnej ale konsekwentnej zagładzie ulega rzemiosło.

Przypadkowość owego wtórnego, żywiołowego i nielegalego rozdziału dochodu narodowego i warunkujące go nadużycia kradzieże demoralizują społeczeństwo głęboko i skutecznie. koro bezwzględność jest wyraźnie premiowana, a uczciwość raktycznie dyskryminowana, trzeba nie byle jakiej stałości harakteru, aby nie ulec pokusie. Ale pokolenie nowe, pokolenie tóre nie zna norm naszego świata, jest już znacznie podatniejze na ów destrukcyjny wpływ systemu i hasło „carpe diem" ołączone z hasłem „śmierć frajerom" — staje się coraz pełniej asłem stale rosnącej większości. Nie można się dziwić skoro brew rozsądkowi, wbrew oficjalnym możliwościom, rośnie w olsce liczba samochodów, budują się luksusowe wille, a wyieczki zagraniczne, bez względu na swój koszt, sięgający z guły kilkunastu tysięcy złotych, są stale oblegane i to w niomym procencie przez ludzi, którzy potrzebne fundusze zdobyli egalną drogą.

Zresztą w nielegalności kryje się również ziarno zasługi. zęsto tak zwane w kraju „przecieki" z produkcji państwowej a nielegalny rynek prywatny są jedyną metodą przezwyciężeia błędów planowania i humorystycznej statyczności państwoego aparatu handlowego (stroje kąpielowe i letnie najłatwiej upić w zimie). A zatem są pewnym zabezpieczeniem zaopatrzeia rynku, wprawdzie po wyższej cenie, ale za to skuteczniejzym.

Reperkusje moralne i obyczajowe budzą jednak poważne obawy. W kraju, obok zamożności warszawskiej ulicy i szyku warszawianek, najbardziej uderzyła mnie wzajemna, bezinteresowna, międzyludzka nieżyczliwość. Awantury w tramwaju czy w troleybusie są na porządku dziennym. Szofer autobusu częściej doda gazu niż naciśnie hamulec na widok spieszącego pasażera. Byle otarcie się samochodu o samochód wywołuje obustronny wybuch wściekłości kierowców, fale przekleństw, o szokujące już nas soczystości i zawartej w niej nienawiści. Pewnie, to są obserwacje powierzchowne, obserwacje turysty, który nie był w kraju od 15 lat, ale istnieje przecież ich wspólne źródło i jest ono właśnie tym niebezpiecznym zagrożeniem charakteru narodowego, powstałym przez stałe obcowanie z absurdem modelu gospodarczego. Człowiek, który balansuje na granicy prawa spiżowego nie może mieć wobec świata wielu przyjaznych uczuć. Człowiek, który kradnie rzecz, mimo wszystko, wspólną, jest w zasadzie przeciwko tej wspólnocie. Człowiek, który jest okradany przez państwo, musi to państwo nienawidzieć. Taki jest mechanizm odruchów i ślady jego aż nazbyt wyraźnie odciskają się na kraju. Są i inne skutki. Społeczeństwo, które umiejętność uchylania się od pracy podniosło do rangi zasady życiowej — przegrywa. W wielkim wyścigu pracy, zapowiadanym po wojnie przez Osmańczyka w jego ,,Sprawach Polaków", kraj przegrał sromotnie, przegrał nie tylko w porównaniu z Niemcami, ale nawet ze społeczeństwami własnego obozu.

Najgłębszym i najtragiczniejszym problemem wydaje się w Polsce — wbrew opinii większości emigracji — nie terror polityczny, a nawet nie monopartyjny system rządów, ale strukturalne błędy organizmu gospodarczego. Twierdzenie powyższe wywoła zapewne wiele protestów. Oczywiście stawiam sprawę na głowie, abstrahując od przyczyn, czyli od dyktatury partii komunistycznej, a pisząc wyłącznie o skutkach, czyli o powszechnej pauperyzującej tendencji płac. Ale nędza sprzyja terrorowi i odwrotnie, a dobrobyt zawsze był kolebkę tendencji liberalnych i demokratycznych. — Ponadto dyktatura jest faktem, którego zapewne nic w najbliższych latach nie odmieni. Jest częścią krajowej rzeczywistości, a w kraju daleko więcej sprzeciwów i goryczy zaczynają budzić szczegóły niż zasady. Społeczeństwo bardziej liczy na wewnętrzną ewolucję założeń i metod, niż na radykalną zmianę suwerena. Trzeba przyznać, że Zachód zrobił wszystko, aby ten stan rzeczy utwierdzić.

Społeczeństwo dokonało więc wyboru, o ile mogę sądzić na podstawie rozmów prowadzonych w różnych okolicznościach i środowiskach. Zaczęło myśleć bardzo trzeźwo, a nawet okrutnie. Jest potencjalnie komunistyczne i największy paradoks i jednocześnie błąd partii polega na lekceważeniu tych tendencji. Entuzjazm października był przecież entuzjazmem *w ramach systemu.* Rewolucja nie chciała obalać zasad. Październik miał oczywiście szereg płaszczyzn: od przemijającej euforii względnej swobody poprzez nadzieje walki z zakłamaniem i bezprawiem do

najgłębszego i najważniejszego nurtu usuwania absurdów gospodarczych i rehabilitacji prawa wartości jako regulatora rynku i produkcji. Szansa rewolucji w ramach istniejących form gospodarki narodowej, szansa przywrócenia organizacji produkcji i wymiany zasad zdrowego rozsądku i istotnego włączenia klasy robotniczej do odpowiedzialności za bieżące decyzje polityczne i produkcyjne, przewijająca się między innymi w koncepcji Rad Robotniczych — była, śmiem twierdzić, najistotniejszą treścią października. Nie chodziło przecież o przekreślenie partii, ale o zmianę założeń. Połowiczność przewrotu i późniejszy stały wzrost tendencji „konserwatywnych" zaprzepaścił nadzieje na poważniejszą zmianę metod gospodarczych w ramach systemu planowego. Nie przekreślił jednak obiektywnej potrzeby takiego procesu. Wręcz przeciwnie. Przed partią stoi więc dylemat dalszego brnięcia w ugory gospodarki księżycowej, albo ewolucji ku bardziej humanistycznym założeniom produkcji. W praktyce oznacza to konieczność zwiększenia funduszu konsumpcji indywidualnej i realny wzrost płac, nawet za cenę osłabienia tempa inwestycji. Oznacza zmianę w repartycji dochodu narodowego zmierzającą do wyeliminowania demoralizującego, społecznie szkodliwego a i dla samej produkcji i planowania niebezpiecznego zjawiska wtórnego rozdziału tego dochodu. Zakazy i represje administracyjne nie na wiele się tu przydadzą. Tylko rzeczywisty i szybki wzrost stopy życiowej może osłabić, a nawet zahamować procesy rozkładu. W społeczeństwie, mimo wszystko, drzemią jeszcze ogromne zasoby inicjatywy i mimo rozczarowań można jeszcze dziś zmobilizować poświęcenie i dobrą wolę. Ale już nie przez frazesy i nadzieje. Nie jest to wybór obojętny również dla samej partii: u krańca drogi księżycowej natrafia się nieodmiennie na Poznań czy Budapeszt, w wyniku polityki pojednania natomiast można wypracować sobie nie byle jaki kapitał zaufania i solidarności.

Polityka pojednania ma jednak małe szanse i nic nie wskazuje na to, aby miała uchronić partię od wstrząsów i niebezpieczeństw następnego października. Jedną z najbardziej charakterystycznych właściwości partii komunistycznych jest ich nieprawdopodobny aprioryzm i dogmatyzm polityczny, wypływający z lekceważenia rzeczywistości i z wiary w możliwość dowolnego jej kształtowania. Przy nadrzędności celu politycznego człowiek zostaje zepchnięty do roli narzędzia, staje się nawozem użyźniającym glebę pod przyszłe kwiaty komunizmu. Potęgę Związku Sowieckiego zbudowano nie w sojuszu z masami, ale wbrew masom, wzory są więc jak najgorsze. Poza tym partia boi się kompromisu, jak ognia. Fetyszyzacja problematyki i demonizacja urojonego przeciwnika podnosi drobnego rzemieślnika czy kupca do rozmiarów smoka czyhającego na socjalizm, chociaż on jeden zdolny jest złagodzić dysproporcję i dostarczyć towarów czy usług tam, gdzie centralizacja i sztywność aparatu państwowego pozostawia jedynie białe pola. Hasło wolnej konkurencji i elastycznych cen, również między

producentami państwowymi, jest w polskiej partii czymś w rodzaju czerwonej płachty. Realizacja tych wszystkich *konieczności* wymaga więc nie byle jakiej odwagi politycznej i stawia inicjatorów pod ciężkim zarzutem rewizjonizmu, czyli odejścia od ustalonej i nakazanej linii. Dla kierowników życia gospodarczego i politycznego w Polsce nie ma jednak większego znaczenia fakt, że stan obecny osłabia ich własne założenia i plany, a demoralizując społeczeństwo, stwarza jak najgorsze prognozy na przyszłość. Gotowi są zawsze odpowiedzieć, tak jak ów delegat Ministerstwa Zdrowia: ,,Myśmy to analizowali, a to się nie opłaca''.

◆

Mój pobyt w kraju pozostawił gorzki osad. Polska z bliska, Polska na co dzień, jest krajem przeciwieństw, krajem absurdów znacznie ostrzejszych niż to się wydaje z zewnątrz. Jest krajem gdzie wszystko już dawno powinno się rozlecieć, a mimo tego trwa i rozwija się poprzez ukryte, przewlekłe przesilenia i kryzysy. Jest krajem niezrealizowanych możliwości i zrealizowanych niemożliwości, ziemią obiecaną i ziemią przeklętą, pełną wieloznaczności i wewnętrznych sprzeczności, gdzie najczęściej, jak u Gombrowicza, coś jest czymś — a równocześnie tym nie jest.

Stanisław MAŁECKI

Zadania prasoznawcze emigracji

Dane statystyczne wykazują, że w czasie od września 1939 roku do stycznia 1959 roku ukazywało się poza granicami Kraju ponad półtora tysiąca publikacji prasowych, wydawanych przez Wychodźtwo Wrześniowe. Wydawnictwa te ukazywały się w pięćdziesięciu krajach na świecie, z czego na Europę przypadało około tysiąca pism, dwieście pięćdziesiąt na Azję, na obie Ameryki około sto pięćdziesiąt, na Afrykę pięćdziesiąt, i dwadzieścia pism na Australię. Ilościowo, Polacy przewyższali w ten sposób produkcję prasowo-wydawniczą każdej innej grupy narodowościowej wychodźców spoza tzw. żelaznej kurtyny.

Znaczenie tego polityczno-kulturalnego wysiłku Wychodźstwa Wrześniowego w pełni oceni dopiero potomność. Dzisiaj, z perspektywy dwudziestolecia, można bez przesady twierdzić, że rola tej prasy była osiągnięciem niespotykanym w historii dziennikarstwa polskiego.

Na równi z żołnierzem prasa ta walczyła przede wszystkim o niepodległość Polski. Informowała z pierwszej ręki o sytuacji w okupowanej Europie, podtrzymując zarazem morale krwawiącego Kraju, który właśnie dzięki niej miał poczucie łączności ze światem. Spełniała, dziś chętnie przemilczaną, rolę kwestarza dla potrzebującej Ojczyzny, prowadząc wszelkie charytatywne agendy, od zbiórki ,,dla powodzian'' począwszy, a na rozbudowanej, wieloletniej akcji poszukiwania osób zaginionych, skończywszy. W okresie chaosu powojennego, na jej barkach spoczywały dydaktyczno-wychowawcze zadania w dipisowskich obozach, gdzie poza źródłem informacji, była elementarzem, śpiewnikiem, katechizmem, kalendarzem, oraz poradnikiem prawno-gospodarczym, nie mówiąc już o jej roli ,,dziennika rozporządzeń'' licznych władz.

Bez jej istnienia trudno wyobrazić sobie publicystyczną i literacką twórczość emigracji. Przy słabym na ogół ruchu książkowo-wydawniczym — perspektywa dwudziestolecia pozwala

nam dzisiaj obliczyć roczną przeciętną — oraz z braku rozbudowanej sieci bibliotek, prasa ta, drukując utwory polskich klasyków, spełniła rolę łącznika między polską diasporą, a kulturą Polski.

Mniejsze znaczenie posiadała na terenie międzynarodowym, niemniej i tutaj śledzić można jej wpływy, jako czynnika aktywizującego i konsolidującego emigrację polską w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, Argentynie, Brazylii i Urugwaju, i jako krzewiciela idei wspólnoty krajów „Międzymorza". Najdonoślejszym zadaniem politycznym, jakie spełniła na odcinku międzynarodowym, to jej przyczynienie się do stabilizacji frontu antykomunistycznego.

Znaczenie prasy emigracyjnej doceniali przywódcy polityczni zarówno w państwach Osi, jak i politycy Mocarstw Sprzymierzonych. Znany jest np. fakt, że Stalin żywo interesował się tym, co pisze „Orzeł Biały", zaś w Niemczech hitlerowskich, bibliograf Schodrock, zestawiał dla Goebbelsa przeglądy prasowe z polskich wydawnictw ukazujących się w Anglii i w Stanach Zjednoczonych. Znamiennym potwierdzeniem roli tej prasy, jako instrumentu niezależnej polskiej myśli politycznej, były restrykcje stosowane wobec niej przez rządy Anglii, Brazylii, czy Szwajcarii oraz Polski Ludowej, a przede wszystkim drakońskie posunięcia cenzuralne domorosłej polityki międzynarodowych organizacyj UNRRA oraz IRO, powołanych do opiekowania się Dipisami.

Stan prac badawczych nad prasą wychodźczą

Zdawałoby się że ze względu na rolę tej prasy, wychodźtwo przedsięwzięło odpowiednie kroki celem zabezpieczenia zbiorów tych wydawnictw, skatalogowania posiadanego materiału, i udostępnienia go badaczom. Należałoby się spodziewać, że przede wszystkim sami publicyści i dziennikarze, jako w pierwszym rzędzie zainteresowani, powinni przejąć inicjatywę, i poprzez własne syndykaty w terenie, oraz przy współdziałaniu organizacji społeczno-kulturalnych, wspierać czy pobudzać działalność zbieraczy, przyczynkarzy i badaczy, celem nagromadzenia jak największej ilości materiału autopsyjnego do dziejów prasy wychodźczej, dopóki żyją jeszcze jej twórcy.

Rzeczywistość jest nieco inna. Wprawdzie większa część prasy wychodźczej została zebrana w polskich instytucjach naukowych w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku, i w Brukseli, ale z braku zainteresowania ze strony szerszych warstw diaspory, z braku środków pieniężnych, a co za tym idzie, wskutek braku pomieszczenia, i braku fachowców, zbiory te, w większości wypadków leżą nieskatalogowane w skrzyniach. Tylko wielkie biblioteki zagraniczne, w rodzaju British Museum w Londynie, Library of Congress w Waszyngtonie, czy Hoover Institute w Palo Alto, posiadają ten materiał zabezpieczony, skata-

logowany, i łatwo dostępny dla badaczy, jest on jednakże w porównaniu ze źródłami w polskich instytucjach nieliczny, i mało kompletny. Wcale liczne, zbiory prywatne, są dla współczesnego badacza na emigracji prawie że stracone, gdyż nie wiadomo gdzie ich szukać, skoro nie posiadamy kartoteki adresowej tych zbieraczy.

Jak przedstawiają się opracowania naukowe, bibliograficzne, i publicystyczne na temat prasy wychodźczej? Odpowiedzieć sobie musimy, że zrobiono niewiele. Na usprawiedliwienie tego stanu rzeczy, jeśli chodzi o okres wojenny, znaleźć można sporo łatwo zrozumiałych przyczyn. Trudniej wytłumaczyć, a przede wszystkim usprawiedliwić, zaniedbania ostatniego piętnastolecia.

O ile nam wiadomo nie ukazało się na Emigracji Wrześniowej ani jedno naukowe opracowanie z zakresu dziejów tej prasy jako całości, czy też traktujące poszczególne aspekty prasy wychodźczej, analizujące wydawnictwa danej grupy ideologiczno-politycznej, zespół wydawnictw o pokrewnej tematyce, czy wreszcie, wydawnictwa danego regionu.

W zakresie prac bibliograficznych *sensu stricto* uczyniono niejedno. Posiadamy dwie wartościowe monografie bibliograficzne poświęcone wyłącznie prasie: Jadwigi Jurkszus ,,Bibliographie des publication périodiques polonaises en Belgique, 1945-1948'', wydaną w r. 1950 w Brukseli, oraz Stefana Kopera ,,Polska prasa w Niemczech, 1945-1947'', leżącą od 13 lat w rękopisie, i gotową do druku. Poza tymi naukowo opracowanymi bibliografiami, ukazały się mniej dokładne, dwa dalsze spisy pomocnicze, Jerzego Grot-Kwaśniewskiego: ,,Pisma polskie wydawane w okupacyjnej strefie brytyjskiej Niemiec, z dniem 1 listopada 1946 r.'', oraz Jerzego Klukowskiego: ,,Spis prasy polskiej w Niemczech, 1945-1948'', zawierający około 300 tytułów druków ciągłych. Z wydawnictw stojących na pograniczu bibliografii *sensu stricto* a publicystyki, leżą: Jana Bielatowicza: ,,Czasopiśmiennictwo polskie na Środkowym Wschodzie'' (1944), Wiktora Ostrowskiego: ,,Genealogia Polonii argentyńskiej'' (1951), i X. Wojciecha Sojki: ,,Prasa polska w Brazylii po roku 1939'' (1959).

Na szczęście, sytuację ratują ogólne bibliografie regionalne, notujące również prasę. Najwięcej tytułów spotykamy w sumiennie opracowanych ,,Rocznikach bibliograficznych...'' Tadeusza Sawickiego, który zestawił 300 tytułów czasopism wychodźczych z lat 1939-1943, głównie z krajów anglo-saskich. Dalsze bibliografie regionalne, uwzględniające skrupulatnie także i prasę, dotyczą Austrii (T. Zagórewicz, 1957), Afryki (J. Hoffman, 1949), Argentyny (J. Dittmar, J.C. Stempowski, 1955), Indii (Wł. Błotnicki, 1948), Iraku (H. Słowikowski, 1946), Iranu (Gołaszewska, Hoffman, Kościałkowski, Zdzieński, 1944), Libanu (St. Kościałkowski, M. Łagowska, 1949), Palestyny (Cz. Horain-Hagiopolita, 1950), Węgier (A. Król, 1943), oraz Włoch (J. Bielatowicz, 1946). Mniej szczegółowo notuje prasę bibliogra-

fia poloniców szwajcarskich, opracowana przez Aleksandra Korczyńskiego, ogłoszona w r. 1948 w ,,Kulturze''. Gazetki ścienne z terenu ZSSR w części zestawił Edmund Oppman.

Z zestawienia powyższego wynika, że w większości krajów osiedlenia, czy postoju na szlaku żołnierskim, prasa wychodźcza dotąd nie została bibliograficznie ujęta, względnie, że prac takich nie ogłoszono drukiem. Jest jeszcze inny szkopuł. O ile bibliografie prasy środowisk dzisiaj prawie że zlikwidowanych (np. Iran, Irak, Liban, ZSSR) uważać możemy za skończone, i mniej lub więcej kompletne, to żadną miarą, nie można powiedzieć tego o bibliografiach środowisk ciągle żywych i aktywnych, które prawie wszystkie wymagają uzupełnień, przynajmniej za ostatnie dziesięciolecie. Najbardziej zdumiewa fakt, że środowiska mające na swym koncie setki wydawnictw, i świetne warunki pracy: Anglia, Francja i Stany Zjednoczone, nie zdobyły się do dziś dnia na monografię bibliograficzną własnej prasy emigracyjnej.

Z wysiłków bibliograficznych, będących próbą ujęcia piśmiennictwa całej diaspory, znane nam są dwa. W roku 1950 urządzono w Londynie wystawę prasy polskojęzycznej wychodzącej poza granicami Kraju i zestawiono przy tej okazji na podstawie eksponatów, wypożyczonych głównie z Instytutu Historycznego, pierwszy na emigracji katalog, opublikowany jako ,,Przewodnik po Wystawie Prasy Polskiej 1939-1949''.

W roku 1955 założono w Mountain View, w Kalifornii, kartotekę roboczą prasy Wychodźtwa Wrześniowego, w której dotąd udało się zgromadzić z górą 1500 tytułów tych wydawnictw, jak również kilkaset artykułów do projektowanej ,,Bibliografii materiałów do dziejów prasy Wychodźtwa Wrześniowego''.

Bez porównania obfitsza jest publicystyka na temat prasy wychodźczej. Gros tej produkcji stanowią opracowania biograficzne poświęcone pojedynczym wydawnictwom. Rzadsze są prace kuszące się o naszkicowanie całokształtu dziejów prasy wychodźczej, czy też omawiające pisma danego regionu, albo pisma danej społeczności, np. wojskowej.

W grupie prac o charakterze biograficznym uwagę zwraca przede wszystkim tom zbiorowy, poświęcony ,,Wiadomościom'' londyńskim, wydany w roku 1957 z okazji 30-lecia istnienia pisma, pod redakcją Tymona Terleckiego. Składają się nań przyczynki około czterdziestu polskich i obcych autorów i artystów, charakteryzujące ten długowieczny, czołowy tygodnik Polaków w świecie. Dość szczegółowego udokumentowania biograficznego doczekały się poza tym ,,Orzeł Biały'' (Anders, Bau, Charkiewicz, Piestrzyński, Racięski, Rubel, Strumpf-Wojtkiewicz, etc.), oraz ,,Polska Walcząca'' (Grabowski, Kukiel, Leitgeber, Rubel, Terlecki, K. Zbyszewski, i inni). Sporo pisano też o ,,Kulturze'', o ,,Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza'', o ,,Myśli Polskiej'', ,,Ekonomiście Polskim'', ,,Ostatnich Wiadomościach'', o frankfurckiej ,,Kronice'', budapeszteńskich

,,Wieściach Polskich'', salzburskim ,,Głosie Polskim'', o ,,Bellonie'', ,,Materiałach Świetlicowych...'', oraz ,,Defiladzie'', żeby wspomnieć jedynie najbardziej charakterystycznych reprezentantów tej prasy z różnych krajów, i o różnych poziomach.

Artykułów o charakterze syntetyzującym, najwięcej doczekała się prasa wojskowa. Już w roku 1941 Tymon Terlecki ogłosił przegląd wydawnictw żołnierskich w ,,Poradniku dla pracowników świetlic żołnierskich...''. W roku 1948 Wojciech Wasiutyński dał w ,,Kulturze'' przegląd prasy I Dywizji Pancernej (,,Muza w cieniu oręża''). Najobszerniejsze z istniejących tego rodzaju opracowań, dotyczy wydawnictw Brygady Karpackiej, i ukazało się w księdze pamiątkowej tej jednostki PSZ (Londyn, 1951) pt. ,,Kultura'', oświata i sport w Brygadzie Karpackiej''. Jej autorem jest dr Mieczysław Młotek. Króciutkie przeglądy wydawnictw I Korpusu ogłaszali przy różnych okazjach: Bobak, Laskowski, Pruszyński, i inni. O rozwoju ,,prasy kombatanckiej'', w którą z biegiem czasu przekształciła się prasa polskiego wojska, znajdujemy wiele informacji w ,,Polsce Walczącej'', z 29.XI. 1947 r.

Ukazały się także trzy artykuły syntetyzujące prasę wychodźczą w poszczególnych krajach, w których przebywali Polacy: pierwsza z nich, pióra anonimowego autora, ogłoszoną została w ,,Tygodnika APW'' pod tytułem ,,Prasa wojskowa na Środkowym Wschodzie''; druga wydana została w postaci broszury, w Quakenbrueck w r. 1946, pt. ,,Prasa Polskiego Wychodźtwa Przymusowego na terenie b. Rzeszy'', napisana przez redaktora Jerzego Grot-Kwaśniewskiego; trzecia, to szkic redaktora Leona Sońki-Dąbrowskiego: ,,Polska prasa emigracyjna w Austrii w latach 1945-1950''. Wiele rzeczowych informacji na temat polskiej prasy w Libanie, znajduje się w księdze Ks. Kamila Kantaka ,,Dzieje uchodźtwa polskiego w Libanie, 1943-1950'', zwłaszcza w rodziale siódmym tej monografii. W wydanej w Paryżu książce pt. ,,Wojskowy i konspiracyjny wysiłek Polski we Francji 1939-1945'', uwzględniono także, na marginesie wprawdzie, niektóre polskie wydawnictwa konspiracyjne, ukazujące się we Francji w czasie drugiej Wojny Światowej.

W okresie ubiegłego dwudziestolecia istnienia prasy wychodźczej natrafiamy na sporadyczne próby ujmowania całokształtu tej prasy. Powierzchowne, przeznaczone dla propagandy, opracowania pojawiły już w pierwszych latach po wojnie, pod patronatem ,,Światpolu'' (np. nr 59 ,,Polonii Zagranicznej'' poświęcony prasie polskiej w świecie). Rzeczowe omówienia, siłą faktu omawiające szkicowo tylko ważniejsze ośrodki, czy wydawnictwa, wyszły spod pióra Tymona Terleckiego (,,Polska prasa na uchodźtwie, 1939-1949''), oraz Bolesława Wierzbiańskiego (,,Prasa polska za granicą''). Istnieje także, niedokończona, próba bibliograficzno-historycznego zarysu dwudziestolecia prasy polskiej diaspory, pt. ,,Polska prasa emigracyjna po roku 1939'', pióra Jana Kowalika, drukowana w

,,Dodatku Tygodniowym Ostatnich Wiadomości'' w latach 1957-58-59. Dotąd ukazało się 18 części tej pracy, w których autor śledzi działalność wydawniczą wychodźców na tzw. ,,szlaku wrześniowym'', tj. od Rumunii-Węgier aż po Anglię.

Wśród opracowań na temat prasy wychodźczej ostatnie miejsce zajmują bibliografie zawartości treści. Zaledwie dwa pisma, paryska ,,Kultura'' oraz ,,Myśl Lotnicza'', zdobyły się na opublikowanie naukowo opracowanej analizy bibliograficznej treści swych roczników: ,,Kultura'' za dziesięciolecie 1947-1957, ,,Myśl Lotnicza'' za lata 1941-1946. Inne dwie prace z tego zakresu dotyczą treści periodyków wychodzących w Polsce przed wojną, niemniej zostały wykonane na emigracji, i przez wychodźców wrześniowych. Stanowią one dobitną ilustrację faktu, że kultura polska jest jedna. W artykule biograficznym na temat ,,Rocznika Wołyńskiego'', twórca jego i redaktor, Jakub Hoffman, zestawił bibliografię zawartości tego periodyku za lata 1930-1939 (,,Kultura'', 1951). Inna praca dotyczy ,,Ateneum Wileńskiego'', którego bibliografię treści opracował w Jerozolimie w latach 1943-1945, chętnie zapominany, benedyktyn bibliograficzny wychodźtwa, Czesław Horain. Jego praca, dotąd znajdująca się w rękopisie, zawiera około 100.000 haseł osobowo-geograficzno-rzeczowych, i jest bez wątpienia największym w tym zakresie osiągnięciem, w dziejach wychodźczej bibliografii.

Przegląd zakończyć należy wzmianką o ambitnym spisie *aktualnej* prasy wychodźczej, który w swych cennych ,,Rocznikach Polonii'' prowadzi Bohdan Jeżewski. Nie jego wina, że ta pierwsza na wychodźtwie ,,bibliografia handlowa'' prasy polskiej, jest mocno niekompletna.

Zadania prasoznawcze Emigracji

Z powyższego przeglądu wynika, że Wychodźtwo Wrześniowe wkładało wprawdzie imponujący wysiłek w publikowanie własnej prasy, lecz w znacznie mniejszym stopniu interesowało się problemami, które istnienie tej prasy stwarza. W minionym dwudziestoleciu nie znajdziemy śladu planowania badań prasoznawczych, przedsięwziętych już to przez czynniki rządowe, już to przez organizacje kulturalne lub zawodowe. Jeńcy 2 Dywizji Strzelców Pieszych, internowani w Szwajcarii, którzy 80 % nakładu swojego kwartalnika ,,Odbudowa'' przechowywali pod Zurychem, aby je móc przekazać w przyszłości Krajowi, wykazali więcej poczucia odpowiedzialności w planowaniu, niż Fundusz Kultury Narodowej w finansowaniu wychodźczej akcji wydawniczej.

Prawie wszystkie dokonania, które omówiliśmy, pochodzą z inicjatywy osób prywatnych, którym dobro kultury narodowej leżało bardziej na sercu, niż materialne korzyści. Działalność Zawadowskiego, Kościałkowskiego, Hoffmana, Słowikowskie-

go, Kopera, pozostaną przykładem, jak można w czasach chaosu twórczo pracować dla przyszłości. Świeży zgon, śmierć prof. Kościałkowskiego, zmusza do zastanawiania się nad rolą, jaką on odegrał w organizowaniu i konserwacji kultury polskiej na szlaku Rosja — Liban.

Jubileusz 20-lecia istnienia prasy wrześniowej wychodźtwa przypomina, że czas najwyższy, aby zająć się, przeglądem, uporządkowaniem, i skatalogowaniem stanu posiadania.

Jest jeszcze inny, ważniejszy powód. W przyszłym roku polska prasa obchodzi 300-lecie swego istnienia. W Kraju czynione są już odpowiednie przygotowania dla uczczenia tej ważnej kulturalnej rocznicy. Smutnie świadczyłoby to o wychodźtwie, jeśli przy takiej okazji zapomniało ono podsumować swój kapitalny 20-letni wkład do 300-letniej historii polskiego dziennikarstwa.

Jakie najpilniejsze zadania prasoznawcze stoją przed nami? Podstawowym zadaniem, którego wykonanie umożliwi zorganizowanie badań na historią i socjologią prasy wychodźczej, jest zestawienie zbiorów prasy, którymi Emigracja dysponuje. Chodzi o *sporządzenie katalogu roboczego tytułów pism, wraz z podaniem stanu, ich kompletności oraz konserwacji, wraz z adresami instytucji publicznych, czy zbieraczy prywatnych, posiadających ten autopsyjny materiał*. Jest to praca żmudna, i wymagająca czasu, niemniej wykonalna, nawet w naszych emigracyjnych, zmaterializowanych warunkach. Większe trudności będą musiały pokonać instytucje publiczne, jako posiadające bogatszy materiał, niemniej i tutaj inicjatywa oraz bezinteresowna pomoc prywatnych osób, mogą przyśpieszyć realizację zamierzenia. Stosunkowo prosty jest sposób na zdobycie materiału prywatnych zbieraczy. Jako przyczynek do uczczenia jubileuszu 300-lecia istnienia prasy polskiej, mogą oni przesłać zwięzłe zestawienia czy przeglądy posiadanych wydawnictw, bądź do redakcji któregoś z regionalnych organów, bądź do redakcji ,,Kultury'' czy ,,Wiadomości'', które publikowałyby ten materiał pod stałą bieżącą rubryką, np. ,,Zbiory prasy wychodźczej w prywatnym posiadaniu''. Przyczynki te umożliwią przyszłemu kompilatorowi opracowanie katalogu, obejmującego całość wydawnictw diaspory.

Innym, niemniej ważnym zadaniem, jest *zbieranie bieżących, oraz kompletowanie dawniejszych wydawnictw wychodźczych z danego środowiska*, czyli zakładanie archiwów prasowych. Każdy z wychodźców może to czynić prywatnie, jako ,,hobby'', grupa ludzi może czynić to w oparciu o kulturalno-społeczną organizację wychodźczą, jak to zrobiono np. Argentynie, czy wreszcie najtańszy i najpewniejszy sposób: można zbiory te zdeponować w poważnych międzynarodowych instytucjach naukowych, jak Hoover Library w Palo Alto, czy w Library of Congress w Waszyngtonie, gdzie pod fachową opieką, czekać będą na pokolenia, które nadejdą.

Trzecim z podstawowych zadań to *opracowanie i wydanie bibliografii zawierającej materiały do dziejów powstania i rozwoju prasy wychodźczej.* Stosunkowo łatwo będzie można wybrać z numerów rocznicowych artykuły dotyczące ,,Orła Białego'', ,,Polski Walczącej'', ,,Wiadomości'', ,,Kultury'' czy ,,Dziennika Polskiego''. Problem stanowić będą mniej popularne wydawnictwa regionalne, prasa obozowa, gazetki ścienne, etc., które może nie posiadają wcale biograficznej literatury. I tutaj wyłania się potrzeba stworzenia materiału ewidencyjnego. *Wydawcy, redaktorzy, bliscy współpracownicy pisma, wreszcie działacze emigracyjni, powinni chwycić za pióro, i sami napisać zwięzłą, rzeczową biografią własnego, lub dobrze im znanego wydawnictwa,* poszperawszy wprzódy wśród zżółkłych papierów, i wymieniwszy kilka listów ze starymi znajomymi. Prac tych nie można odwlekać, gdyż czas ucieka, a pamięć ludzka słabnie. Te świadectwa z drugiej niejako ręki, są tym bardziej ważne, ba konieczne, gdyż po wielu wydawnictwach wychodźczych nie dochowały się do naszych czasów nawet pojedyncze egzemplarze. Niech potomność zna je przynajmniej ,,ze słyszenia''. Wydawnictw wychodźczych w żaden sposób nie wolno ,,osądzać'' miarą przykładaną do prasy w normalnym społeczeństwie. Wszystkie, nawet te najskromniejsze, pisemka były ważne, bo były potrzebne, i spełniły w środowisku, w którym się ukazywały, niezmiernie pożyteczne, wszechstronne zadania.

Wymienionych poprzednio prac nie można wykonać oczywiście ,,z dziś na jutro'', gdyż praca ta potrwa lata, niemniej trzeba ją wykonywać ,,z dnia na dzień'', a wspomniane jubileusze powinne stać się *bodźcem do zapoczątkowania zorganizowanego wysiłku w tym kierunku.* W żadnym wypadku, nie powinno skończyć się *jeszcze jedną akademią* w Londynie czy w Nowym Jorku.

Zresztą, istnieje szereg praktycznych, konkretnych kontrybucji, którymi Emigracja może uczcić bezpośrednio 300-letni jubileusz polskiej prasy, a które wymagają krótkiego zaledwie czasu. W pierwszym rzędzie powinno się *ogłosić przyczynki prasoznawcze, które od lat leżą w emigracyjnych szufladach.* Bezsprzecznie zatem, światło dzienne winna ujrzeć najobszerniejsza, doskonale opracowana bibliografia regionalna prasy wychodźczej, jaką jest ,,Prasa polska w Niemczech, 1945-1947'', Stefana Kopera. Inną publikacją, która może i powinna ukazać się w jubileuszowym roku, choćby nawet w formie powielaczowej, to selektywna *,,Bibliografia prasy Wychodźtwa Wrześniowego,* 1939-1959'', podająca kilkaset pozycji co ważniejszych wydawnictw, wybranych z przeszło półtora tysiąca, które się ukazywały. Wreszcie, Syndykaty Dziennikarzy Polskich w poszczególnych krajach diaspory, szczególnie mam tu na myśli Francję, Anglię, Stany Zjednoczone, i Australię, powinny być w stanie opracować i bodaj na powielaczu wydać, *bibliografie wydawnictw, które ukazują się na tym terenie obecnie,* jeśli już nie da się uwzględnić pism historycznych.

Z zadań prasoznawczych, które od lat czekają nadaremnie na zrealizowanie, to naświetlenie poszczególnych aspektów prasy wychodźczej, i analiza rzeczowo-ideologicznych grup wydawnictw prasowych. Do owych aspektów, bardzo zresztą pouczających, należą np. ,,problem zasady wolności słowa w polskiej prasie wychodźczej'', albo ,,strona finansowa wydawnictw polskiej prasy wychodźczej'', czy ,,znaczenie prasy wychodźczej w międzynarodowej polityce w okresie Drugiej Wojny Światowej''. Do zadań analizy rzeczowej należy opracowanie takich tematów jak: ,,Polska prasa żołnierska w Drugiej Wojnie Światowej'', albo ,,wydawnictwa religijne wychodźców''. Nawet drobnego studium nie znajdujemy w ,,Bellonie'' na temat tak frapujący i aktualny. Zasłużony ,,Duszpasterz Polski na Obczyźnie'' drukuje cenne przyczynki dotyczące średniowiecza, lecz na próżno szukać będziemy w jego rocznikach, szkicu na temat udziału (olbrzymiego!) kleru w tworzeniu prasy emigracyjnej. Odłogiem leży bibliografia i publicystyka na temat wydawnictw naukowych, harcerskich, dziecięcych, na temat prasy w obozach jenieckich, na temat bardzo ciekawej prasy ,,transportowej'', wydawanej na statkach podczas transportów wojskowych, oraz emigracyjnych, byłych Dipisów. Co więcej, rzecz nie do wiary przy naszej żyłce politycznej: nie mamy na wychodźtwie monografii dotyczących prasy politycznej, tak w odniesieniu do całości wychodźtwa, jak i w odniesieniu do poszczególnych stronnictw i ugrupowań politycznych.

Dopiero po wykonaniu tych zadań, będzie można myśleć o napisaniu dziejów prasy wychodźczej, o pełnym katalogu i atlasie tych wydawnictw, i o studiach porównawczych w zakresie nauk politycznych i socjologicznych.

Jak widzimy, do zrobienia jest bardzo wiele. Pocieszanie się wygodną wymówką, że dla celów uzyskania tzw. perspektywy historycznej, temat musi się ,,odleżeć'' jest ucieczką przed indywidualnym i zbiorowym polskim obowiązkiem. Zanim się ta perspektywa ustabilizuje, skruszeje kiepski, wojenny papier prasy wychodźczej, i powymierają ludzie, którzy prasę tę tworzyli. Któż nam historię tej prasy utrwali... Kraj? Leży przede mną numer krakowskiego ,,Odrodzenia'' z czasów ,,złotej wolności'' prasy krajowej, z końca 1946 r. Wertuję artykuł Danuty Parnas na temat ,,książka i prasa polska w ZSSR 1940-1945''. Znajduję wszystkiego cztery pozycje: ,,Polska'' — ,,w której kompleks Latarnika występował z całą siłą'', ,,Orzeł Biały'' — ,,gazetka żołnierska, nie mająca jeszcze wówczas tak skrajnego, czarno-reakcyjnego zabarwienia'', oraz ,,Nowe Widnokręgi'' i ,,Wolna Polska'', którym poświęcono 80 rządków. To wszystko... Natarczywie proponuję, żebyśmy jednak historię prasy na obczyźnie pisali sobie sami.

Jan KOWALIK

Niepotrzebna książka

Eugeniusz Gruda wydał w 1959 roku, w Warszawie*), ostatni tom swojej trzytomowej powieści ,,Między Wielką Niedźwiedzicą a Krzyżem Południa''. Tytuły poszczególnych części brzmią: ,,Saudade'', ,,Zły Bóg Mboi'' i ,,Trudny Powrót''. Książki zajmują się Polakami przebywającymi w Brazylii a później w Polskich Siłach Zbrojnych na zachodzie.

W ,,Diariuszu Paryskim'' (Kultura nr 3/149) Czesław Miłosz wyraża pogląd, że ,,z pisarstwem jest jak z polityką; gonimy z wywieszonym językiem, ale nigdy nie łapiemy tego zwierza, którego trop nas nęcił, tylko całkiem innego''.

Trudno powiedzieć jakiego zwierza upołował Eugeniusz Gruda w opinii czytelników w kraju. Osobiście, czytając ,,Między Wielką Niedźwiedzicą a Krzyżem Południa'', odniosłem wrażenie przykrości i niesmaku, jakie normalnie opanowują przy zetknięciu się z kąśliwą tendencją, jednostronnością i demagogią.

Polowanie Grudy obejmuje teren olbrzymi. W dwu pierwszych częściach obszarem łowieckim jest Brazylia, w trzeciej powiększa się on o Portugalię, Francję, Anglię i Polskę. Zwierzynę stanowią ci, którzy znaleźli się w saku jako wysłani przez rządy polskie zagranicę, oraz wojskowi z większą ilością gwiazdek, dyplomaci i konsulowie, urzędnicy i oświatowcy, czyli wszystko co z tamtoczesnej Polski wychodziło. Element wsteczny. Szkodnicy. Pozytywem są w powieściach tylko polscy emigranci-chłopi i jedyny wyjątek od reguły, bohater wszystkich trzech tomów, nauczyciel Zygmunt Jagas. Wysłany z Polski 17 lat przed wybuchem ostatniej wojny i pracujący w polskiej kolonii w Stanie Parana.

Jagas — do czego nikt mu prawa zaprzeczyć nie może — jest człowiekiem o poglądach ,,radykalnie lewicowych'' (148). Z wypowiedzi jego wolno wnioskować, że te jego zapatrywania są komunistyczne. Wyznaje poza tym zasadę oparcia się Polski o Związek Sowiecki. Tyle że słabo to motywuje, w ten sposób, na przykład, rozumując:

,,Ja wolę Ruskich o dwunastej w nocy niż Niemców o dwunastej w południe. Byłem w Moskwie z rodzicami w okresie pierwszej wojny światowej, bo nas wysiedlono przed Niemcami. Całe dzieciństwo spędziłem u nich, mam z tego okresu jak najlepsze wspomnienia'' (260).

W każdym razie przekonania Jagasa są takie a nie inne. Wolno mu. Dalsza jego charakterystyka wykazuje zaangażowanie w pracy jako nauczyciel i lewicujący społecznik, szczere uczucie do żony i niemniej szczery patriotyzm. Na wieść o agresji wrześniowej postanawia jechać na wojnę.

Dwa pierwsze tomy trylogii zajmują się ludźmi od lat przebywającymi ,,pod Krzyżem Południa''. Gruda pozmieniał im nieco nazwiska, z ,,Piotrowskich'' porobił ,,Pawłowskich'', a z ,,Wiśniewskich'' — ,,Śliwkowskich'' i rozpoczął malowanie szerokim pędzlem.

---

*) Czytelnik.

Ci portretowani ludzie w przeważającej większości żyją po dziś dzień i zamieszkują Kurytybę i jej okolice, jeśli nie wrócili do Polski. Ani nie posiadam odpowiedniej znajomości terenu, ani praw do ich sądzenia, ale mieszkając tu jedenaście lat — jestem siłą rzeczy — z tymi sprawami obeznany, znam ludzi tych w oświetleniu ich przeciwników i zwolenników. A przed omawianiem książek Grudy, specjalnie postarałem się o szereg rozmów, aby sobie wyrobić zdanie na ten temat.

W wyniku — Kurytyba jak każdy inny ośrodek polonijny zagranicą — jest i była zawsze mieszaniną typów i charakterów o różnej wartości i obliczu. Bywały jednostki mało interesujące, trafiały się i takie, których wartość zgoła zeru się równała, ale byli i są do chwili obecnej ludzie serdeczni, rzetelni Polacy, działacze, którzy wciąż jeszcze pracują i to pracują wiele i dobrze. Ich synowie zajmujący nieraz poważne stanowiska, podkreślają w słowach i czynach swoje polskie pochodzenie. Cuchnące bagno jakie usiłuje Gruda wymiesić w Kurytybie, jest nieprawdą i prawdą nigdy nie było. Zdarzało się sporo elementu, który usiłował robić pieniądze, lub odgrywać rolę wszechmocnych dygnitarzy, były ciasnoty umysłowe, byli tacy co się z cudzymi żonami podbawiali, co obleśnie wyziera ze stronic wszystkich trzech tomów Grudy, ale to wszystko nie było regułą ani wyłącznością.

Można by powiedzieć, że wyżywanie się seksualne z podaniem danych biograficznych byłoby opisane u Grudy kompletnie, gdyby nie brakowało tu jednej z tego rodzaju mało budujących historii — to znaczy historii samego autora, znanej szeroko w Kurytybie i nie przysparzającej mu sławy.

A nadto wszelkie niecenzuralne, względnie *nie fair*, przygody i eskapady wydałyby się obecnemu czytelnikowi polskiemu w Brazylii bliższe prawdy, gdyby autor wspomniał ile razy sam brał w nich udział, jako urzędnik konsularny przecież, i jak go onymi czasy nie mierziło to, na co dziś tak zawzięcie pokrzykuje.

Nie mierziło autora wiele spraw Polski ówczesnej. Jako redaktor miesięcznika kurytybskiego ,,Nasza Praca'', którym był do lutego 1934 r., drukował chętnie ,,Piosenki o Józefie Piłsudskim'' na nutę ,,Pierwszej Brygady'' (nr 7 grudzień 1933), wyrażał chęć aby słowa Marszałka ,,...dla nas tutaj, tak jak i dla całego społeczeństwa w Kraju — były drogowskazem w pracy nad ugruntowaniem potęgi naszej Ojczyzny'' (artykuł redakcyjny, nr 3 sierpień 1933), mówił o ,,postępie, który nas stawia na równi z innymi narodami zachodniej Europy, a nierzadko wysuwa naprzód'' (nr 6 listopad 1933).

Za to Polska dawniej płaciła i płaciła dobrze. Więc Gruda był frontem do władzy i zła nie widział, bo osobiście żyło mu się nieźle i spokojnie. Dziś płaci się za inny front i autor trylogii z tego skwapliwie korzysta, wykonując unik w kierunku nowej orientacji, czyli ,,kuda wietier dujet''. Polska sprzed Września stała się niedobra dopiero obecnie, zwłaszcza gdy ta nowa tak chętnie to drukuje.

Wszystko to jest małość, z tych małości specjalnie obrzydliwych. Ale pominąć ich nie sposób, bo stanowią treść główną pierwszych dwu części trylogii i po to są, by posługując się częściową prawdą co do wypadków, ale nieprawdą jeśli chodzi o ogólne tło — zdyskwalifikować poszczególnych ludzi, a poprzez nich Polskę przedwojenną, która tylko takie jednostki miała na składzie i do dyspozycji na wyjazd zagranicę.

Na tym podkładzie — Jagas. Nie ma wątpliwości, że Jagas to Gruda chociaż w tym wypadku nazwisko zostało gruntowniej niż inne zmienione i wobec tego autor może wyprzeć się wszystkiego. Otóż Jagas w „Trudnym Powrocie" odjechał wreszcie na wojnę.

I cały ten tom jest poświęcony oczernianiu wojennej emigracji na tle przygód bohatera. Po wojnie wraca on do kraju, mimo wszystkich trudności stawianych przez „dwójki".

W Polsce pierwszych lat powojennych — dziś już można o tym mówić bez tracenia twarzy — inwigilowano Jagasa wielokrotnie, czyli że „lubliniacy" swoje robili jak się należy. Wypisywał życiorysy, odpowiadał na pytania dlaczego z Brazylii pojechał „do wojska Andersowskiego" (353), „czy wy z DWÓJKĄ nie mieliście nic wspólnego" (354) i temu podobne.

Wreszcie mu uwierzono i Jagas pozostał nauczycielem w wiejskiej szkole. Ponieważ nie zdawało mu się, jak innym, że kto „działa na szkodę panującego u nas ustroju, nie działa na szkodę Polski" (359), więc mógł pracować dla Polski tak jak to rozumiał. Po prostu — co stwierdził agentowi UB — „wcześniej czy później chłopi staną się robotnikami rolnymi i kto wie, czy w tej Bobrowej nie założę wam tego, tak przez moją gromadę znienawidzonego, kołchozu" (360).

Ale o to już ani do Jagasa ani do Grudy pretensji mieć nie można. Dążą do Polski z kołchozami, gdy inni dążą do niej bez kołchozów i ich konsekwencji. To jest kwestia wyznania.

Pisząc uwagi o książkach Eugeniusza Grudy, trzeba by je było niemal streścić. Bez tego trudno jest zrozumieć co w ich jest nieuczciwego, obok faktów i opinii zgodnych z prawdą.

Jan WÓJCIK

Nafta małopolska i jej kulisy

PIŁSUDSKI — PADEREWSKI — BILIŃSKI
CLEMENCEAU — BERENGER — MOUGEOT

Bez dobrobytu nie ma kultury
(W.A. Zbyszewski)

Udokumentowane wspomnienia

Wydany w Warszawie w roku 1957 pierwszy tom *Wspomnień i Dokumentów z lat* 1877-1920, Andrzeja Wierzbickiego, dyrektora naczelnego b. Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów, zawiera dwie kartki poświęcone nafcie galicyjskiej.

Należy zgodzić się z uwagą autora, że w całokształcie rywalizacji światowej zagadnienie nafty galicyjskiej było tylko epizodem. Sądzę jednak, że upraszcza on zbytnio całą sprawę, sprowadzając ją do antagonizmów angielsko-francuskich i osobistej niechęci Lloyd George'a do Polski. W rzeczywistości wchodziły tu w grę również inne istotne przyczyny i wpływy, a wśród nich przede wszystkim możliwość powrotu do władzy „Białej" Rosji, z którą liczyła się dyplomacja Zachodu. W każdym razie dopiero po zawarciu z Sowietami traktatu ryskiego (18.III.1921), wschodnie granice Polski zostały uznane przez mocarstwa koalicyjne.

Sądzę, że jest rzeczą wskazaną dokładniej naświetlić całą sprawę, a mogę to zrobić, ponieważ byłem nie tylko obserwatorem, ale również aktorem na scenie i za kulisami tej sprawy. Zachowałem przy tym mój diariusz z tego okresu oraz dokumenty, które może ogłoszę później w szerszym ujęciu.

Materiały zamieszczane w tym dziale drukowane są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

W chwili wybuchu I. Wojny Światowej galicyjski przemysł naftowy był w skali światowej stosunkowo młody i nierozwinięty. Pomimo tego był on już przed wojną dostateczną atrakcją dla świata, skoro brał w nim udział kapitał angielski, francuski, belgijski, amerykański, a nawet holenderski, szwajcarski i włoski (1).

◆

Po wybuchu wojny powstał w Londynie, 22.X.1914 r., z inicjatywy kilku obywateli angielskich (Perkinsa, Hodgsona, Chowna i innych), którzy wskutek wypadków wojennych zostali odcięci od swych posiadłości i interesów naftowych w Małopolsce, — międzynarodowy komitet dla ochrony interesów brytyjskich, francuskich, belgijskich i innych sprzymierzonych w galicyjskich przedsiębiorstwach naftowych. Przybrał on nazwę *International Committee appointed to protect British, French, Belgian and Allies' oil interests in Galicia* (w skrócie I.C., a po polsku M.K.). Początkowo Komitet znajdował się pod opieką hr. Benckendorffa, ostatniego ambasadora carskiej Rosji w Londynie. Jednak już po dwu latach wojny, założyciele Międzynarodowego Komitetu, wskutek rozwijających się wypadków wojennych i dzięki propagandzie polskiej, w której brałem czynny udział, zaczęli zdawać sobie stopniowo sprawę, że o losach interesów naftowych w Galicji nie będzie w przyszłości decydował jednostronnie Petersburg. Zrozumieli oni również, że dla ochrony tych interesów konieczne jest rozbicie potęgi Mocarstw Centralnych i że pomyślną przyszłość tych interesów, ze względów przede wszystkim czysto rzeczowych, najłatwiej da się uzyskać w obrębie przyszłego państwa polskiego i przy utrzymaniu zasady niepodzielności terytorialnej ówczesnej Galicji.

Pierwszymi krokami powstałego Komitetu londyńskiego były interwencje i memoriały składane ambasadorowi Beckendorffowi, ponieważ obiekty naftowe galicyjskie znajdowały się podówczas pod okupacją wojska i władz rosyjskich. Dopiero z chwilą, gdy wojska rosyjskie wskutek wypadków wojennych wycofały się z Galicji, nastąpiła przychylniejsza koniunktura dla akcji polskiej. Wizyty i memoriały zainteresowanych członków londyńskiego I.C., składane dotychczas hr. Beckendorffowi, zmieniły drogę i zaczęły wpływać na moje ręce.

Przewodniczącym Komitetu był Charles Perkins, współwłaściciel firmy ,,Perkins i Mackintosh'', która wprowadziła

(1) Przed wojną istniały w Małopolsce Wschodniej następujące główne ugrupowania kapitałów zagranicznych w galicyjskim przemyśle naftowym: Francuskie (Limanowa i Silva Plana); niemieckie, ośrodkiem których była Deutsche Erdoil A.G., w skrócie zwana DEA; austriackie, grupujące się między innymi wokoło banku wiedeńskiego Allgemeine Oesterreichische Boden Credit Anstalt; angielskie, w których najważniejsze było towarzystwo The Premier Oil and Pipe Line, Ltd., z siedzibą w Londynie, współpracujące z DEA. Poza tym istniały przedsiębiorstwa naftowe belgijskie i holenderskie.

Małopolski kanadyjski system wiercenia szybów naftowych. firmie tej mówiono żartobliwie we Lwowie, że chociaż składa się z dwóch różnych nazwisk, to właściwie są one jednoznaczne zastępcze: pisze się Perkins, a czyta się Mackintosh lub vice-ersa!

Skoro tylko warunki zewnętrzne okazały się przychylne i ostatecznie dojrzałe, powstało porozumienie między mną a kierowniczymi osobistościami Komitetu, na zasadzie którego Komitet londyński zobowiązał się popierać, tak wobec społeczeństwa jak i rządów państw sprzymierzonych, postulat niepodległości Polski, jak również niepodzielności Galicji. Wzamian za stanowisko, które nota bene znajdowało wyraz podczas wojny w okresie prac kongresowych w interwencjach i memoriałach składanych przez M.K. sprzymierzonym rządom w zwalczaniu nieprzychylnych Polsce wpływów wewnętrznych i zewnętrznych, akcji prasowej, etc. Komitet liczył, że sławna formuła „restitution, reparation and guarantees for the future”, rzucona podczas wojny przez premiera Asquith'a pod adresem państw centralnych, jako warunek przyszłego pokoju, będzie mogła znaleźć swe zastosowanie w całej rozciągłości również w stosunku do powyższych interesów obywateli państw sprzymierzonych.

Restytucja miała polegać, w przekonaniu M.K., na zwrocie skonfiskowanej własności, na unicestwieniu oszustwa wojennego, dokonanego przez koncern DEA (Deutsche Erdoel A.G.), za zgodą sądów wiedeńskich, na największym przedsiębiorstwie angielskim w Polsce, na „Premierze”.

Reparacja, to sprawa spłaty strat wojennych.

Gwarancje na przyszłość miały się odnosić do uzyskania zgody rządu polskiego — w ramach traktatu i praw obowiązujących w przyszłej Polsce — na rozszerzenie stanu posiadania polskiego i państw sprzymierzonych kosztem uszczuplenia stanu posiadania państw centralnych w przemyśle naftowym w Galicji.

Z chwilą podpisania rozejmu, 11-go listopada, postanowiłem oddać się wyłącznie sprawie współdziałania z czynnikami rządowymi polskimi celem uzyskania na kongresie takich granic wschodnich dla Polski, które uwzględniałyby całość przemysłu naftowego po jej stronie, — a następnie sprawie wzmocnienia polskiego stanu posiadania w tym przemyśle celem nadania mu jednolitej linii rozwoju. Uważałem wówczas, że lata słów, lata propagandy skończyły się, że nastąpił wreszcie czas czynu.

Jako akcjonariusz belgijskiego towarzystwa naftowego „Pétroles de Boryslaw”, a również angielskiego „Premier Oil and Pipe-Line, Ltd” zostałem przez te towarzystwa powołany po zawieszeniu broni, na członka zarządów, oraz przyjąłem propozycję M.K., z dnia 13. XII. 1918 r., występowania w obronie interesów naftowych Komitetu podczas prac kongresowych; chodziło tu o sprawę należnych odszkodowań ze strony państw Centralnych z tytułu poniesionych strat wojennych

przez przedsiębiorstwa alianckie i polskie w Małopolsce. Po wierzoną mi misję ujęto w piśmie z dn. 27.1.1919 r. (2).

Podczas mego kilkudniowego pobytu w Paryżu, w lutym 1919 r., w drodze z Londynu do Polski via Szwajcaria, złoży łem wizytę przewodniczącemu polskiej Delegacji Ekonomiczne na Kongres Pokoju, Andrzejowi Wierzbickiemu, który z dużym zainteresowaniem i wrodzoną życzliwością zapoznał mnie z po szczególnymi członkami delegacji, a również zaprosił na jedn z posiedzeń, podczas którego zetknąłem się z delegatami Hołyńskim, Kutrzebą, Kasperskim, K. Lubomirskim, K. Olszew skim, Putkamerem, Szczepańskim, Żółtowskim, Tennenbaumer i innymi.

22 lutego byłem przyjęty przez senatora Berenger, general nego Komisarza przy ministerstwie Rolnictwa i Aprowizacji d spraw naftowych i opałowych, w gabinecie którego zastałem senatora Mougeot, byłego ministra, reprezentującego udział ka pitałów francuskich w przemyśle naftowym galicyjskim. Beren ger, w konsekwencji mojej wizyty, przesłał na moje ręce pismo wystosowane do francuskiego Komisarza Noulens'a w Warsza wie (3). Treść pisma była analogiczną do treści pisma, któr otrzymałem w Londynie w Foreign Office celem wręczenia go go pułkownikowi H.H. Wade, urzędującemu w brytyjskim ko misariacie w Warszawie. Doręczyłem mu je dn. 11 marca.

Dnia 15 marca 1919 r. zostałem przyjęty w Warszawie na audiencji przez Komendanta Piłsudskiego, szefa odrodzonej Pol ski, celem zapoznania go z gotowością M.K. współdziałania z Polską w sprawach naftowych, a 29 marca — przez Premiera Paderewskiego w obecności podsekretarza Stanu Wróblewskiego.

---

(2) Oto treść pisma: ,,This is to certify that Dr Leon Litwiński who for the last years has been engaged in London, in a desinterested manner, on a work of enlightening the British public's opinion in connection with Polish interests and aspirations, is acting for and on behalf of the International Committee and has been appointed by such Committee to act in their capacity with regard to such interests".

Aluzja wyrażona w piśmie M.K. odnosi się do mych funkcji w Polskim Komitecie Informacyjnym w latach 1915-1917, najpierw w roli kierownika działu literacko-prasowego, a następnie jako sekretarza honorowego generalnego. Komitet ten został powołany do życia w Londynie z początkiem wojny światowej przez grono Polaków zamieszkałych w Londynie.

(3) Paris, 27 Février 1919, le sénateur, Commissaire Général aux Essences et Combustibles à Monsieur NOULENS, Commissaire de la République Française, à Varsovie.

Monsieur Léon MOUGEOT, sénateur, m'a présenté le Docteur Léon LITWINSKI de nationalité polonaise, qui se rend à Varsovie comme délégué d'un Comité International constitué à Londres pour la protection des intérêts alliés dans l'industrie pétrolifère. Le Docteur LITWINSKI est porteur d'une lettre du Foreign Office pour le Commissaire Britannique à Varsovie. Je vous prie de bien vouloir, en ce qui vous concerne, faciliter à Mr LITWINSKI l'accomplissement de l'enquête dont il a été chargé par ledit Comité.

Henri BERENGER

Piłsudski nie był zbytnio w kursie powstałych zagadnień. Sądził on, że nie kto inny jak Amerykanie byli głównymi właścicielami obiektów naftowych w Galicji. Musiałem szczegółowo zapoznać go ze stanem faktycznym.

Zazwyczaj ustosunkowuję się z rezerwą do osobistości o silnym temperamencie w obawie, czy nie nadużyją swej władzy. Sądząc z tego co słyszałem o Piłsudskim, spodziewałem się odnaleźć w nim osobistość niełatwą do przekonania. Tymczasem rozmowa, którą przytaczam niżej była dla mnie miłym zaskoczeniem. Mowa jego wydała mi się wówczas spokojna, prowadzona w tonie przekonywającym. Od czasu do czasu zaprawiał lekka swoje wypowiedzi charakterystyczną litewską złośliwą zaciętością, złagodzoną uśmiechem.

Po wysłuchaniu mnie Piłsudski zapytał:

— „Krótko mówiąc, o co konkretnie chodzi pańskim angielskim, belgijskim i francuskim przyjaciołom z Międzynarodowego Komitetu?

— Chwilowo, odpowiedziałem, pragną oni wejść w fizyczne posiadanie (tzw. *physical possession*), kopalń, rafinerii, rezerwuarów, rurociągów i cystern, które są ich własnością w Małopolsce.

— Świetnie! świetnie! zawołał Piłsudski, jak gdyby zrobił odkrycie. Pańscy przyjaciele wiedzą zapewne, że obecnie Małopolska Wschodnia jest częściowo okupowana przez wrogie nieregularne formacje ukraińskie. Aby zabezpieczyć pańskim przyjaciołom posiadanie ich własności, trzeba przede wszystkim przepędzić tych niepożądanych zdobywców. Nie brakuje nam ludzi, lecz nie są oni dostatecznie zaopatrzeni pod względem wojskowym, a szczególnie kawaleria. Niech pańscy przyjaciele dostarczą nam potrzebnego ekwipunku i uzbrojenia, a my oswobodzimy tę połać kraju od Ukraińców. Co Pan o tym myśli?

— Jeśli chodzi o ekwipunek wojskowy i uzbrojenie, sprawa ta zależy od najwyższych czynników Mocarstw alianckich.

— A czyż Pan nie mówił, że dyplomacja brytyjska troszczy się o interesy ekonomiczne swych obywateli?

— Nie zawsze i nie wyłącznie, odpowiedziałem. Na przykład wybryki antysemickie nie ułatwiają pozytywnego załatwiania naszych interesów przez Lloyd George'a. Czy nie dałoby się ukrócić tych manifestacji nieodpowiedzialnych czynników?

— Są one sporadyczne, zaznaczył Piłsudski. Jest w tym dużo przesady, lecz jestem gotów tym się zająć (4). Natomiast nie pojmuję, dlaczego Brytyjczycy i Francuzi tak mało przypisują znaczenia grożącej nawale bolszewizmu i temu, że Polska

(4) Po powrocie do Paryża stwierdziłem, że kampania antypolska na Zachodzie w pewnych środowiskach nie ustała, w następstwie czego podjąłem inicjatywę zaproszenia do siebie na Avenue Malakoff, w dn. 12 maja kilku osobistości politycznych lewicowych celem ustalenia faktów i przedsięwzięcia ewentualnych kroków zaradczych. Byli to posłowie z Warszawy Grugutt i Liberman, oraz przebywający stale w Paryżu, przyszły senator Stanisław Posner. Do nich dołączył się także z powodu tej okoliczności August Zaleski, aby wziąć udział w opracowaniu planu akcji.

mogłaby się stać potężną tamą, która wstrzymałaby ten napór.

Wyjaśniłem wówczas memu wysokiemu rozmówcy, że Lloyd George posiada przyjaciół Żydów, bardzo wpływowych w sferach politycznych i w wysokiej finansjerze.

— Rzecz zrozumiała, powiedziałem, że Żydzi ci interesują się losem swych współwyznawców. Ponadto obawiają się rozprzestrzenienia się antysemityzmu, który pojawia się w różnych krajach i może się przeistoczyć w epidemię na skalę międzynarodową. Zdaniem Lloyd George'a jest to sprawa paląca, zaś groźba bolszewizmu według niego nie jest aktualna. Liczy on na to, że rewolucja bolszewicka wywoła w Rosji kontrrewolucję, co ją znacznie osłabi. Według jego mniemania, wiele lat upłynie zanim coś konkretnego wyłoni się z zamętu tej rewolucji; należy również pozwolić Rosji wyprażyć się we własnym sosie, nie mieszając się w jej sprawy. Poza tym, po tak wyczerpującej wojnie, Wielka Brytania nie jest zbyt skłonna do interweniowania i nie ma szans na taką interwencję z jej strony. Co zaś do Clemenceau, to, według Anglików, jest on takim zawziętym przeciwnikiem Niemców, że uważają go za niebezpiecznego. Polska, w opinii Szefa rządu francuskiego, jest przeszkodą ku ewentualnemu porozumieniu niemiecko-rosyjskiemu. Z tego powodu jest on polonofilem. Lecz im więcej Clemenceau okazywałby sympatii Polsce odrodzonej, tym większą wywoływałby przez to niechęć ku naszemu Państwu. Lloyd George obawia się, by Francja nie stała się dzięki swym związkom międzynarodowym czynnikiem naruszającym równowagę sił na kontynencie, a ta równowaga pozostaje nadal, tak jak w przeszłości, kamieniem węgielnym polityki brytyjskiej. Anglia nie stara się bynajmniej osłabić Niemiec na korzyść Francji.

Gdy skończyłem exposé tej sprawy, Komendant Piłsudski zawołał:

— Nie chcieć popierać Polski, nie doceniać Państwa, które jest bezpośrednim sąsiadem niebezpiecznego ogniska prozelityzmu na Wschodzie, nie liczyć się z dynamizmem Niemiec, co to za dziwna polityka, jaka ciemna perspektywa na przyszłość, która na pewno wykaże wcześniej lub później popełniane błędy w przewidywaniach.

Po skomunikowaniu się z adiutantem Świrskim, Komendant Piłsudski zaproponował następną audiencję na 20 marca w celu pozostawienia mi potrzebnego czasu dla porozumienia się z moimi przyjaciółmi za granicą; żegnając się ze mną zapytał, czy reflektowałbym na stanowisko posła w Brukseli, na co odpowiedziałem z uśmiechem, że jestem udziałowcem i przyszłym zarządcą towarzystw naftowych i że nie noszę się z myślą zostania urzędnikiem państwowym.

◆

W połowie kwietnia delegaci M.K. zebrali się w Paryżu i odbyli, przy moim udziale, szereg rozmów z Francuzami

Berenger, Benard, Mougeot, i in.). Delegaci byli również przyjęci na posłuchaniu u Paderewskiego.

Dnia 24 kwietnia 1919 r. M.K. wystosował memoriał na ręce komisarza brytyjskiego w Londynie, Sir John'a Cadmana, w sprawie obiektów naftowych rozmieszczonych w Małopolsce, a 2 maja tegoż roku odnośnie kroków poczynionych przez Niemcy celem sparaliżowania akcji Międzynarodowego Komitetu.

W początkach maja opuściłem Londyn i zamieszkałem na czas Kongresu w Paryżu na avenue Malakoff. Ze względu na naftę Galicja stała się wówczas jednym z powodów rywalizacji międzynarodowych. Obserwowałem ich przejawy ze wzrastającym zainteresowaniem, znajdując się w ich centrum. Oto na przykład 26 kwietnia 1919 r. członek poselstwa czeskiego w Londynie, Neuman, złożył wizytę przewodniczącemu M.K. celem poinformowania go, że banki praskie nabyły od towarzystw naftowych niemieckich i austriackich funkcjonujących w Galicji poważne pliki akcyj, wobec czego Czechosłowacja, która dotychczas nie była zainteresowana w przemyśle naftowym galicyjskim, pragnęłaby obecnie posiadać swego przedstawiciela w łonie M.K. Powstało wówczas zagadnienie w Komitecie do jakiego rodzaju pośrednictwa zaofiarowała się Czechosłowacja wobec Państw Centralnych, aby ochronić ich interesy zagrożone przez traktaty pokojowe dyskutowane w Paryżu.

Wówczas, kiedy Komitet londyński starał się osiągnąć — za zgodą rządu polskiego — porozumienie mające na widoku odrodzenie galicyjskiego przemysłu naftowego dzięki dopływowi nowych kapitałów, grupa Mougeot'a wysilała się za plecami Komitetu i rządu polskiego, aby postawić M.K. przed faktem dokonanym, przez bezpośrednie porozumienie się z ugrupowaniami austriacko-niemieckimi, co w następstwie uniemożliwiało wspólne porozumienie aliantów z Polską.

W związku z tą taktyką, „Handbuch für die Internationale Petroleum-Industrie", wydany w 1921 r. przez berlińską firmę wydawniczą Arends und Mossner, mówi wyraźnie o powstałym *cordiallen modus vivendi* między kapitałem francuskim i niemieckim (*Das französische Kapital in anerkennungswerter Weise mit den deutschen Interessen einen cordiallen modus vivendi zu erhalten und auch neu zu schaften gemischt ist*). Istotnie, w 1921 r., powstało w Zurychu konsorcjum pod nazwą „Internationale Petroleum-Union" (I.P.U.), które miało stać się łącznikiem między niemieckim D.E.A., a paryską spółką „Société française des Pétroles de Dombrowa". Konsorcjum posiadało przeszło 75 % udziałów powyższych dwóch spółek. Akcjonariuszom D.E.A. przysługiwało prawo zamiany swych udziałów na udziały I.P.U. na tych samych warunkach na jakich poprzednio dokonywali zamiany główni akcjonariusze.

Co dotyczy w szczególności przedsiębiorstw austriackich, to założyły one w Genewie z pomocą „Allgemeine Oesterreichische Boden-Credit Anstalt", w sierpniu 1920 r., towarzystwo pod nazwą „Les Sociétés réunies des Pétroles Fanto".

Niezwłocznie po uwolnieniu Borysławia od Ukraińców, senator Mougeot przybył do Polski w towarzystwie Dr. Segała, którego poznałem w Paryżu w lutym 1919 r. Senator Mougeot — jak to dobrze zapamiętałem — traktował go z góry, niemal arogancko. Zdziwiony zwróciłem na to uwagę Dr. Segały, który zauważył z filozoficznym uśmiechem, że tego rodzaju *manière d'être* jest prawie stylem życia senatora, nie tylko w stosunku do niego, oraz sposobem zdobywania sobie posłuchu i sukcesów materialnych. Podsekretarz Stanu w ministerstwie Przemysłu i Handlu, Henryk Strasburger, poinformował mnie później w Warszawie o bardzo przykrej rozmowie jaką miał z Mougeot podczas audiencji w Warszawie. Senator uważał prawdopodobnie, że jest w kraju nadającym się do kolonizowania, a nie w wolnej Polsce. Wobec niedopuszczalnej postawy jaką zajął Mougeot, Strasburger musiał przerwać tego rodzaju rozmowę. Miałem sposobność donieść o tym Podsekretarzowi Stanu Ministerstwa Spraw Zagranicznych Władysławowi Skrzyńskiemu, aby zwrócił uwagę francuskiego *chargé d'affaires* Pralona, byłego konsula w Antwerpii, na niewłaściwe zachowanie się senatora w Warszawie. Na to Skrzyński odpowiedział mi, że on sam ma również stale trudności z Pralonem, który pozwala sobie bezpośrednio komunikować się z urzędnikami ministerstwa, nie zadając sobie trudu uprzedzenia go o tym. W roku 1920 Pralon został odwołany, a na jego miejsce rząd francuski mianował zawodowego dyplomatę Panafieu.

Z wiosną 1919 r. sprawa Galicji Wschodniej weszła w fazę wielce niepomyślną dla Polski. Potężne wpływy żydowskie i radykalne szerzyły wśród opinii angielskiej wieści o pogromach, mających mieć miejsce w Polsce, a dokonywanych jakoby bez większej reakcji ze strony władz polskich. Czesi rozwinęli ogromną agitację za korytarzem, który by łączył granice Czechosłowacji z Rosją kosztem Galicji, a więc kosztem Polski. Ponieważ przedstawiciele Ukrainy uzależniali spłacanie przypadającej na Ukrainę części długu rosyjskiego od przyłączenia Galicji Wschodniej do Ukrainy, przeto pewne sfery finansowe francuskie były przeciwne pomyślnemu dla Polski rozwiązaniu sprawy Galicji Wschodniej. Sprawa ta przybierała wówczas o tyle gorszy obrót, że Ukraińcy dotarli do potężnego amerykańskiego trustu ,,Standard Oil Company'', którego naturalna polityka mogłaby wpłynąć na sparaliżowanie rozwoju przemysłu naftowego galicyjskiego, przede wszystkim przez podział Galicji. Podział ten natomiast nie leżał w interesie szczególnie kapitałów angielskich zaangażowanych w nafcie galicyjskiej. Istniała zatem wspólna płaszczyzna interesów państwa polskiego oraz zgrupowanych interesów naftowych koalicyjnych, którą starałem się utrzymać w łonie Komitetu Międzynarodowego. Z punktu widzenia polskiego należało przeciwstawić na kongresie wpływom i obietnicom ukraińskim i pro-ukraińskim — wpływy interesów państw sprzymierzonych.

Komitet, pragnął działać w płaszczyźnie łączności interesów

polskich i alianckich, wypracował specjalny projekt wykupu przedsiębiorstw niemieckich i austriackich, zaangażowanych w galicyjskim przemyśle naftowym. Wykup ten miał się odbywać drogą długoterminowej amortyzacji udziałów. Dzięki powstałemu projektowi wytworzyło się, zwłaszcza w sferach angielskich, większe zainteresowanie Galicją.

Projekt ten przedstawiłem osobiście w połowie kwietnia 1919 r. polskiej delegacji pokojowej w Paryżu; został on przez nią w zasadzie przychylnie przyjęty.

Po odebraniu Borysławia przez wojska polskie, 22 maja 1919 r., sprawa przyszłej przynależności państwowej Galicji Wschodniej znalazła się na kongresie w Paryżu w nowym, bardzo ostrym, stadium kryzysu. Przedstawiciele Anglii na kongresie, ulegając wpływom Lloyd George'a, zajęli stanowisko nieprzychylne dla Polski. W samym Komitecie powstały również rozdźwięki na tle możliwości zabezpieczenia sobie ze strony polskiej praw i gwarancji mających usprawiedliwić prowadzenie w dalszym ciągu rozpoczętej od paru lat akcji politycznej i związanych z nią prac i kosztów. Zadanie utrzymania przez moje osobiste wpływy potrzebnych węzłów i nastrojów wśród różnorodnych stron zainteresowanych stawało się coraz bardziej delikatne i utrudnione.

Przedstawiciele Polski na kongresie, W. Grabski i A. Wierzbicki, do których zwróciłem się 22 maja 1919 r. w imieniu Komitetu, dali ustne zobowiązanie, że Rząd Polski zawrze umowę z Komitetem na zasadach wyszczególnionych przeze mnie w przedwstępnych rozmowach. W konsekwencji projekt umowy został przesłany z Londynu do Paryża pod adresem Polskiej Delegacji, w dniu 16 czerwca 1919 r., na ręce przewodniczącego, Andrzeja Wierzbickiego.

*

Delegacja M.K. przybyła do Warszawy 9-go sierpnia 1919 r. i stwierdziła niestety, że wbrew osiągniętemu porozumieniu w Paryżu z przedstawicielami Rządu polskiego, żadne kroki nie zostały przedsięwzięte w Polsce celem uniemożliwienia przechodzenia udziałów z rąk obywateli państw centralnych do rąk obywateli neutralnych, a to ze względu na potrzebę ochrony samego obiektu projektowanej transakcji wykupienia przedsiębiorstw nieprzyjacielskich.

Nie sposób opisywać na tym miejscu perypetii przez które przechodziła akcja M.K., przedsięwzięta w Paryżu i w Warszawie, a w szczególności ciągłe wahania i zmiany ze strony ówczesnego ministra Skarbu Leona Bilińskiego. Mój diariusz z tego okresu wynosi kilkadziesiąt stronic. Ograniczę się tu zatem do wybrania tylko kilku fragmentów, dotyczących akcji prowadzonej w Warszawie. A więc, delegaci pragnąc dać nowy dowód dążenia M.K. do pozyskania możliwie najszerszego współudziału grup francuskich w jego wysiłkach, postanowili przed wyjazdem

do Polski zebrać się ponownie w Paryżu w początkach sierpnia 1919 r. Delegacja M.K. — biorąc pod uwagę, że tow. akcyjne ,,Société Franco-Polonaise des Pétroles'' (do którego należała spółka ,,Galicja'' w Drohobyczu), jest związane ze znanym ,,Banque de Paris et des Pays-Bas'', który, z udziałem amerykańskiego trustu naftowego ,,Standard Oil'', ufundował we Francji ,,Standard Franco-Américain'', zwróciła się do powyższego banku celem bliższego zaznajomienia jego zarządu ze swymi zamiarami i wysiłkami. Zebranie odbyło się 6 sierpnia. Ze strony banku byli obecni: Finali, Chapuis, Chevalier, a ze strony M.K. — Perkins, Hodgson, Pourbaix, Voets. Na prośbę Finali przedstawiłem stan rozwijającej się akcji londyńskiego Komitetu. Delegat grupy belgijskiej F. Voets (mój kolega z Zarządu tow. belgijskiego ,,Pétroles de Boryslaw''), zreferował myśli zawarte w memorandum M.K., z dnia 2.IV.1919 r., odnośnie uzyskania odszkodowań z tytułu strat poniesionych w Galicji przez przedsiębiorstwa naftowe alianckie i polskie, wskutek działań wojennych i okupacji kraju przez Niemcy, którzy stosowali wszędzie metody rabunku i wywłaszczania sprzymierzonych z posiadłości i koncesji alianckich.

Finali wyraził życzenie, w wyniku odbytej konferencji, aby pozostawać w kontakcie z M.K. celem ew. ustalenia wspólnej akcji. Poinformował on jednocześnie delegację Komitetu, że ze strony grupy francuskiej patronowanej przez bank, udaje się właśnie do Warszawy kapitan Dupont, co umożliwi dalsze utrzymywanie kontaktu z delegacją M.K., udającą się również do Polski.

◆

W ciągu pierwszych dni pobytu w Warszawie, delegacja M.K. była przyjętą przez posła brytyjskiego sir Percy Wyndham, a również przez posła belgijskiego Maxa Van Yperseele de Strihon oraz przez chargé d'affaires Francji Pralona. Była ona również przyjęta przez podsekretarza stanu M.S.Z. Wł. Skrzyńskiego, ministra przemysłu i handlu Szczeniowskiego i wiceministra Strasburgera.

Dnia 14 sierpnia byliśmy przyjęci na Zamku przez premiera Ignacego Paderewskiego, a 20 sierpnia przez ministra Skarbu Leona Bilińskiego, w obecności podsekretarza stanu Skrzyńskiego i radcy Aleksandra Szczepańskiego.

Podczas posłuchania Paderewski zaznaczył na wstępie Perkinsowi, że w Anglii ma wielu przyjaciół, ale że jego ojczyzna ma ich niestety stosunkowo mało.

Następnie nawiązując do zamiaru stworzenia w Małopolsce Wschodniej stanu prowizorycznego, który to projekt powstał w toku prac kongresowych, Paderewski oświadczył, że względy geograficzne, etnograficzne, gospodarcze i kulturalne, które znalazły tak silny wyraz w heroicznej obronie Lwowa przez ludność polską wobec napaści formacji ukraińskich, wykluczają możliwość zaakceptowania takiego prowizorium.

W odpowiedzi Ch. Perkins podkreślił, że znaczenie tych względów zostało już wyłuszczone w memorandum z dn. 26.X.1918 r., złożonym przez M.K. w Foreign Office; że jest rzeczą w ogóle mało prawdopodobną, ażeby w najbliższej przyszłości mogło powstać niezależne państwo ukraińskie dysponujące autonomią gospodarczą u boku potężnej Rosji; że Ukraina skazana jest na rolę jabłka niezgody wśród państw silniejszych i że porozumienie dotyczące bytu samorządowego ludności rusińskiej natrafia na stosunkowo najmniejsze trudności w związku z Polską.

Paderewski w wyniku rozmowy zaznaczył, że co się tyczy stworzenia wielkiego przedsiębiorstwa, które projektuje M.K., to należy mieć na uwadze uchwałę przeprowadzoną na Radzie ministrów, na wniosek ministra Skarbu Bilińskiego, że Rząd polski nie jest uprawniony do angażowania się w sprawach gospodarczych większej wagi bez poprzedniego wtajemniczenia w nie ministra Skarbu i uzyskania jego zgody.

Dnia 23 sierpnia odbyła się w gabinecie ministra Skarbu Bilińskiego przedwstępna konferencja, dotyczące projektu M.K. stworzenia, z udziałem Państwa polskiego, potężnego towarzystwa dla eksploatacji nafty galicyjskiej. Minister Biliński zaproponował, ażeby sprawę wykupu przedsiębiorstw nieprzyjacielskich przy pomocy kapitału zagranicznego powierzyć Rządowi, który będzie się starał uzyskać od akcjonariuszy Państw Centralnych możliwie najkorzystniejsze warunki wykupu.

Delegat belgijski Voets zauważył zaraz, że projekt M.K. związany jest ze sprawą należnych od nieprzyjaciela odszkodowań. Wobec tego wykup udziałów nie może być dokonywany za gotówkę, a co najwyżej w formie wręczenia obligacji długoterminowych. Na propozycję Bilińskiego konferencja została odroczona na 25 sierpnia i odbyła się, w myśl propozycji ministra, pod przewodnictwem wiceministra Skarbu Byrki. Uczestniczyli w niej trzej wyżsi urzędnicy resortowi (Bartoszewicz, Rundstein, Szczepański) oraz przewodniczący polskiej Komisji na kongres pokoju do spraw odszkodowań, K. Olszewski, przyszły nasz poseł w Berlinie i ambasador w Ankarze. Na tej konferencji nie doszło jednak do porozumienia. Następnego dnia radca Szczepański telefonował do mnie proponując niezwłoczne zebranie się w ministerstwie Spraw Zagranicznych celem pogłębienia sprawy i dania możności dyrektorowi K. Olszewskiemu bliższego zapoznania się z aktami sprawy. Na konferencji odbytej tegoż dnia K. Olszewski oświadczył, że znaczenie omawianego w przeddzień projektu w ministerstwie Skarbu nie było dostatecznie zrozumiane przez stronę polską, i że po uzyskaniu dzisiejszych wyjaśnień przez radcę Szczepańskiego ode mnie i od delegata Voetsa należy uważać projekt M.K. za wysoce interesujący. Projekt ten będzie ponownie rozpatrzony.

Dnia 2 września telefonował do mnie wiceminister Byrka, że pismo zawierające kontrpropozycje rządowe zostało wysłane

do ministerstwa Spraw Zagranicznych celem doręczenia go przewodniczącemu delegacji. Istotnie nazajutrz pismo to doręczono, ale już po upływie dwóch godzin urzędnik Stohandel z ministerstwa Skarbu zgłosił się do Perkinsa celem odebrania powyższego pisma podpisanego przez samego Bilińskiego. W dniach następnych Perkins odbył szereg rozmów w Poselstwie Brytyjskim, z posłem sir Percy Wyndham oraz radcą Kiemensem celem wyświetlenia powodów ciągłych odraczań decyzji ze strony polskiej oraz rozbieżności w traktowaniu projektu przedstawionego przez M.K.

Dnia 5 września złożył wizytę delegatowi belgijskiemu Voets'owi, kapitan Dupont, o którym wspominałem poprzednio, a nazajutrz zgłosił się do mnie porucznik Loewenhard w imieniu Poselstwa Francuskiego. W konsekwencji zostałem przyjęty, w towarzystwie Perkinsa i Voetsa, przez chargé d'affaires Pralon'a. Na wstępie wyraziłem zdziwienie, że ugrupowania francuskie odnoszą się z rezerwą do akcji M.K. Perkins ze swej strony zauważył, że Komitet londyński wykazywał stale lojalność wobec interesów francuskich, które w M.K. były reprezentowane przez M. Clay, że delegat Litwiński, skoro tylko przybył do Paryża w lutym 1919 r., nawiązał niezwłocznie kontakt z senatorem Mougeot i że był przyjęty na konferencji u Komisarza senatora Berenger; ten ostatni przesłał mu pismo do wręczenia Komisarzowi Noulens'owi; że w kwietniu delegaci M.K. konferowali w Paryżu z senatorem Mougeot i żałowali później, że zamiast przyłączyć się do akcji M.K., Mougeot — z chwilą wyzwolenia Borysławia — udał się niezależnie do Polski w towarzystwie Dr. Segała z Wiednia, celem przeprowadzenia bezpośrednich pertraktacji. W wyniku tej zmiany w postawie senatora, M.K. zwrócił się do potężniejszej grupy francuskiej, związanej z „Banque de Paris et des Pays-Bas", która delegowała do Polski kapitana Dupont. Ten jednak nie dawał w Warszawie dowodów chęci współpracy z delegacją M.K., ani też gotowości popierania jego akcji w sprawie art. 261 Traktatu wersalskiego, dotyczącego sprawy odszkodowań.

Pralon przyznał, że istotnie Francuzi nie są skłonni solidaryzować się z akcją przedsięwziętą przez M.K. i że ich zdaniem należy raczej wykupywać udziały bezpośrednio z rąk obywateli Państw Centralnych w przedsiębiorstwach naftowych.

Wobec doniosłości sprawy i powstałych rozbieżności, postanowiłem w czasie pobytu w Paryżu poinformować premiera Clemenceau w sprawie powstającego porozumienia francusko-niemieckiego dotyczącego zagadnień naftowych w Małopolsce na tle zakulisowych stosunków. W tym czasie znane już były obawy Clemenceau co do sabotowania zwycięstwa w następstwie euforii powstałej we Francji. Obawiał się on, ażeby zwycięstwo nie przeistoczyło się szybko w osłabienie czujności Francuzów wobec stale grożącego niebezpieczeństwa ze strony Niemiec nie rezygnujących z dążeń do ekspansji drogą zbrojeń.

Potrzeba czujności, na straży której stał Clemenceau, gdy dzierżył władzę i wpływy, wydawała mi się również wskazaną w sprawach z którymi się stykałem, a w szczególności z zagadnieniem odszkodowań. Znana teoria Keynesowska, mająca duży posłuch w okresie Kongresu Pokoju, polegała między innymi na twierdzeniu, że skreślanie Niemcom długów, udzielanie im pożyczek, kredytów, kapitałów inwestycyjnych itp. odciągnie w rezultacie pobite Niemcy od niebezpiecznej psychozy odwetu. Przypuszczenia te okazały się niestety złudne, ponieważ polityka współdziałania w odrodzeniu gospodarczym Niemiec przyśpieszyła raczej drugą wojnę. Nacisk niemiecki na Polaków w Poznańskim, czyli tzw. *Drang nach Osten* był daleko silniejszy w okresach względnego dobrobytu Niemiec aniżeli w czasie kryzysów.

Gdy rozmawiałem na ten temat z finansistami lub politykami francuskimi w Paryżu, to wprawdzie niektórzy z nich zgadzali się, że należy chwilowo uprawiać raczej politykę *wait and see* (czekać i patrzeć), celem przekonania się jakie oblicze przybiorą powojenne Niemcy, ale jednocześnie twierdzili z rezygnacją, iż dużo jest słuszności w powiedzeniu, że nikt nie jest prorokiem we własnym kraju i że tak zwana finansjera międzynarodowa posiada we Francji większy posłuch aniżeli francuska. W odpowiedzi na ten argument powoływałem się na moją rozprawę z 1913 r. „La Finance et la Paix", w której podkreślałem, że nie wszystkich finansistów pochodzenia cudzoziemskiego należy potępiać w czambuł. Dla przykładu podałem, że John Law, Necker, Mallet, Hottinguer, Lehideux, Perregaux, de Neuflize, Mirabaud, Rothschild, Pereire, Fould, Blount, nie byli Francuzami, a Baring, Rothschild, Erlanger, Goschen, Cassel, Speyer, Lazard, Hambros, Schroeder, Schuster, Stern, Samuel, Reuter nie byli Anglikami, a jednak odegrali pozytywną rolę w interesach gospodarczych angielskich.

Paul Hymans, delegat Belgii na Konferencję Pokoju i przyszły minister spraw zagranicznych, do którego zwróciłem się, o pomoc w uzyskaniu rozmowy z Clemenceau, a to z tym większym zaufaniem, gdyż znałem życzliwość Hymansa dla odradzającej się Polski, a również i dla mnie osobiście (ustąpił on z rządu Delacroix w roku 1920 ze względu na negatywne uchwały gabinetu belgijskiego w sprawie dostarczania broni i amunicji dla Polski via Gdańsk) — uprzedzał mnie na zasadzie własnych doświadczeń, że rozmowy z Georges'em Clemenceau nie są bynajmniej łatwe, a nawet bywają niekiedy nieprzyjemne. Uważał on go za zmiennego, przewlekającego sprawy, wypowiadającego się dwuznacznie lub też przeczącego samemu sobie. W toku rozmowy ma on zwyczaj przerywania, wpadania w gniew, używania słów gminnych, zabarwiając nieraz swą przemowę dowcipami i apostrofami. Uważa on Belgię za państwo pomocnicze, predestynowane do obracania się w cieniu Francji. Oczywiście, że podobne stanowisko nie mogło odpowiadać Hymansowi, który w grudniu 1915 r. oświadczył zastępcy sir

Edwarda Grey'a w Foreign Office: ,,nasz los nie może być rozpatrywany i decydowany bez nas i poza nami''.

Wbrew obawom Hymansa, Clemenceau słuchał moich wywodów bez objawów nerwowości, z dostateczną uwagą i bez przerywania, ale jednak z pewną rezerwą, co tłumaczyłem sobie brakiem znajomości całokształtu sprawy. Na początku rozmowy zaznaczył uprzejmie, że był w Małopolsce, a przy końcu rozmowy powiedział:

— Czy mógłby Pan dostarczyć mi notatkę w tej sprawie? Mam zamiar pomówić z Berenger na temat naszej polityki naftowej w ogóle.

— Mam notatkę informacyjną przy sobie, odpowiedziałem, i wręczyłem ją Clemenceau.

Ta inicjatywa moja została bez dalszego echa ze zrozumiałych dla mnie powodów. Mogłem jednak powiedzieć sobie, że uczyniłem chyba maksimum tego co było możliwe w ówczesnych warunkach, chociaż nie była to dla mnie zbyt duża satysfakcja w tym wypadku.

◆

Reasumując mogę powiedzieć, że Komendant Piłsudski wyjątkowo pozytywnie ustosunkował się do mej misji. Eustachy Sapieha, nowomianowany poseł R.P. w Londynie, który w drodze do Anglii złożył mi wizytę w Paryżu na av. Malakoff, w maju 1919 r., wykazał również szybkie zrozumienie znaczenia proponowanego układu, a także Lord D'Abernon, ambasador brytyjski w Berlinie, ten sam który był wyznaczony na członka misji angielsko-francuskiej w lipcu 1920 r. podczas zatargu zbrojnego Polski z Sowietami.

Premier Paderewski i podsekretarz Władysław Skrzyński, chociaż w zasadzie skłonni byli popierać sprawę, to jednak zaabsorbowani ilością i doniosłością palących spraw państwowych, nie wywarli w praktyce znaczniejszego wpływu na przyspieszenie biegu tej sprawy.

Spośród wyższych urzędników państwowych głębiej wniknęli w istotę sprawy Kazimierz Olszewski, dyrektor M.S.Z. przyszły poseł w Berlinie, oraz światły radca prawny M.S.Z. Rundstein.

Natomiast ówczesny minister Skarbu, Biliński, wraz z podsekretarzem stanu Byrką, ustosunkował się od samego początku wręcz nieprzychylnie.

Leon Biliński, jeden z filarów całego ,,Francisko-Józefizmu'', jak się sam wyraził o epoce do której należał w rządach austriackich, został zaskoczony koniecznością, na samym wstępie swej służby w niezawisłej Polsce, zajęcia jasnego stanowiska wobec inicjatywy M.K. Można powiedzieć, że, Biliński postanowił inicjatorów zniechęcić, a inicjatywę unicestwić. Stwierdza to

...m w swych *Wspomnieniach* jasno i dobitnie, z uczuciem sa-
...ozadowolenia, w tomie II str. 254, w następującym ustępie:

„Przy tym groziło naszym przedsiębiorstwom rodzimym niebezpieczeń-...wo ze strony cudzoziemców. Jeszcze mianowicie przed objęciem spraw nafto-...ych, musiałem prowadzić na życzenie min. Skrzyńskiego, wskutek żądania ...ądu angielskiego, bardzo ciężkie rokowania z reprezentantami grupy ...gielskiej „Primus" vel „Premier". Żądała ona przez zastępców (w tym ...olak Litwiński) przymusowego złączenia w jedno towarzystwo wszystkich ...fineryj „nieprzyjacielskich" z wielkimi dla tychże stratami, a przywilejami ...a Anglików. Wraz z wiceministrem Byrką broniliśmy się według możności, ...właszcza, że potrzeba byłoby przedtem kazać zarejestrować akcje wszy-...kich rafineryj, celem stwierdzenia ich narodowości, często zmienionej w ...asie wojny. Nadto według traktatu w St. Germain majątki austriackie ...e miały być likwidowane, a Anglicy pragnęli właśnie zabrać także i te ...palnie. Dzięki długiej korespondencji, zdołaliśmy sprawę całą utopić".

Ponieważ Komitet proponował użycie nowych kapitałów, ...óre miał zamiar dostarczyć jedynie na odbudowę zniszczonych ...zedsiębiorstw i na zapewnienie dalszego ich rozwoju, a nie na ...łszkodowania, Biliński postanawia grać na zwłokę. Pragnie ...ı w ten sposób zapewnić ew. odwrót przedsiębiorstwom niemie-...im i austriackim, nota bene drogą odprzedaży, uprzedzając ...ykonanie traktatu. Jednocześnie Biliński dąży do rozbicia sa-...ego Komitetu od strony francuskiej przy pomocy własnej dy-...omacji (Klobasa).

Słowem, dzięki Bilińskiemu do likwidacji nie doszło. Nato-...iast w Anglii powstało przekonanie, że nie można liczyć na ...zychylne ustosunkowanie się naszych czynników do zastąpienia ... przemyśle naftowym galicyjskim wpływów wiedeńskich i ber-...ıskich wpływami angielskimi.

Henryk Tennenbaum, nasz wybitny ekonomista, którego w ...iarę możliwości informowałem o mojej akcji, stwierdza w swej ...iążce, wydanej w 1921 r. pod tytułem „Położenie między-...rodowe Polski na tle polityki gospodarczej", na zasadzie ...formacji których mu udzieliłem, że po wojnie Niemcy i Austria-..., uprzedzając wykonanie traktatu, odsprzedali część swoich ...cji Francuzom i łącznie z nimi utworzyli przedsiębiorstwa ...ancuskie albo szwajcarskie, w których zabezpieczyli sobie ...aczne udziały.

Anglicy w większości wycofali się z nafty w Galicji. „So-...été Financière des Pétroles" w Paryżu utworzyło „Société ...ançaise des Pétroles Premier", drogą nabycia od Anglików ...„Dea", obiektów należących do „The Premier Oil and Pipe ...ne Co Ltd.". Powstał więc w ten sposób koncern francusko-...emiecki (5).

Amerykański „Standard Oil" miał swe punkty oparcia w ...zedsiębiorstwach „Br. Nobel", „Vacuum Oil Compagny".

(5) Należy tu zaznaczyć, że w doprowadzeniu do tych zmian pośredni-...ł i odegrał poważną rolę Henryk Auerbach, obywatel francuski żydow-...ego pochodzenia.

Co się tyczy zaś ministra Przemysłu i Handlu Szczeniowskiego, cukrownika z zawodu, to okazał się on mało kompetentny i zupełnie uległy Bilińskiemu, który uzyskał nawet zgodę swego kolegi na przeniesienie Urzędu Naftowego z Ministerstwa Przemysłu i Handlu do Ministerstwa Skarbu i mianowanie głową urzędu wiedeńczyka Klobasę.

Jeśli chodzi o sfery gospodarcze, to spotkałem się w Paryżu z żywym zainteresowaniem Andrzeja Wierzbickiego, prezesa Delegacji Ekonomicznej polskiej na Kongres Pokoju, oraz z wyjątkowym zrozumieniem wagi sprawy, jej zazębiań i powikłań ze strony bezpośredniego współpracownika Wierzbickiego, ekonomisty naszego Henryka Tennenbauma.

W konkluzji można powiedzieć, że czterdzieści lat temu zaistniał moment historyczny, kiedy Rząd polski mógł rzucić w Polsce na tle współzawodnictwa międzynarodowego podwaliny dla własnej polityki naftowej. Moment ten nie został czy też nie mógł być wykorzystany.



Moje reminiscencje, z r. 1919, dotyczą również niewykorzystania należytego przez nasze władze wyjątkowo przychylnej koniunktury, powstałej w dziedzinie gazu ziemnego odkrytego w rejonie Jasła w Małopolsce. Zarząd belgijskiego towarzystwa naftowego ,,Pétroles de Boryslaw'', którego byłem członkiem, nie miał możności podczas wojny komunikować się z dyrekcją kopalń i rafinerii, które posiadał w Małopolsce. Nie był on nawet poinformowany, że z końcem wojny nastąpił żywiołowy wybuch gazów ziemnych w Męcince, w szybie należącym do towarzystwa belgijskiego. Byłem pierwszy, który udawszy się z końcem lutego 1919 r. do Małopolski przesłał tę wiadomość Zarządowi, co spowodowało zwyżkę udziałów towarzystwa na giełdzie w Antwerpii i w Brukseli, oraz przychylną koniunkturę w sprawie ew. podwyższenie kapitału towarzystwa na cele inwestycyjne w Małopolsce. Moje sprawozdania i memorandum co do wyzyskania tego daru przyrody zelektryzowały zarząd towarzystwa. Celem rozpatrzenia możliwości stworzenia zagłębia przemysłowego opartego na gazach ziemnych (przemysł chemiczny, huty szklane, zakłady metalurgiczne itp.), zarząd towarzystwa postanowił wysłać do Krosna ekspertów w osobie Pourbaix i Regout. Szyby nasze, należy to zaznaczyć, dostarczały gaz ziemny o wyjątkowo wysokiej wartości kalorycznej (9.000 kal. m³). Cóż kiedy już wtenczas omawiano wprowadzenie ustawy reglamentującej cenę gazu, stwarzając monopol państwowy odnośnie zakładania gazociągów i innych etatystycznych pomysłów, paraliżujących przedsiębiorczość prywatną i dopływ kapitałów inwestycyjnych zagranicznych, koniecznych w braku krajowych. Odnośna ustawa przeszła zaledwie jednym głosem w Sejmie, a projektodawcą był poseł Diamand z obozu socjalistycznego. Na próżno w mych rozmowach z nim podnosiłem, że nie jest rzeczą gospo-

rczo uzasadnioną regulować ceny gazu, skoro będzie on konrował z węglem i innymi źródłami siły energetycznej, które siadamy w Polsce, że właściwości gazu ziemnego mogą się bitnie przyczynić do obniżenia ceny opału i obsługi, a również stworzenia nowych ośrodków zapotrzebowania i uprzemysłoenia kraju, do podniesienia stopy życiowej i że jest jeszcze as na reglamentację, itp. Argumenty tego rodzaju trafiały, k groch o ścianę w wypadku posła Diamanda, który skądąd był ceniony ze względu na cechy charakteru. Będąc obrońcą rników, bał się konkurencji gazu ziemnego dla węa, a również dalszego uzależnienia się mas robotniczych od zemysłowców. Żywił on obawy, że pozostawienie gazociąw w rękach prywatnego przemysłu naftowego doprowadzi wyzysku przez stosowanie wygórowanych cen za gaz i da euzasadnione zyski kapitalistom. Wbrew tego rodzaju obaom klasa ta uzyskała i uzyskuje swe prawa w kraju tak vsoce uprzemysłowionym, jakim są np. Stany Zjednoczone, dzie użycie gazów ziemnych jako siły energetycznej przekroyło użycie węgla i nafty.

Na parę lat przed wojną 1939 r. produkcja gazu ziemnego Polsce wynosiła około pół miliarda m³, ale w braku odpoedniej przedsiębiorczości i kapitałów nie znalazła większego stosowania w przemyśle chemicznym, z wyjątkiem Mościc, dzie metan był używany dla pewnych związków syntetycznych. osobność wyjścia na szersze tory nie została odpowiednio yzyskana.

Jak pisałem, po przewrocie majowym, w notatce przeanej na ręce ministra przemysłu Eugeniusza Kwiatkowskie, na nic się nie zda wychowywać pokolenia zdolnych naych wiertaczy lub wykształconych geologów bez uzyskania lpowiednich kapitałów, biorących na siebie ryzyko wierceń. ez tych kapitałów jesteśmy zmuszeni „eksportować" zagracę naszych fachowców do Mezopotamii, kolonii holenderskich, anów Zjednoczonych, itp. Wydawnictwa naszych stacyj geogicznych są pełne interesujących spostrzeżeń, ale niestety zbyt ęsto noszą one charakter rekomendacyj i pobożnych życzeń.

Leon LITWIŃSKI

Leon LITWIŃSKI b. delegat „International Committee appointed to otect British, French, Belgian and Allies Oil interests in Galicia" na Kones Pokoju w Paryżu; b. dyrektor zarządu „The Premier Oil and Pipe ne Ltd.; b. dyrektor zarządu „Soc. an. Pétroles de Boryslaw"; b. zaądca państwowy następujących towarzystw naftowych: „Premier", Triumph", „Alliance", „Alfa", „Carpathian", „Erdolwerke Galizien", Centrum", „Petrolea", „Książę Aleksander Thurn i Taxis", „Galicyjskie owarzystwo Magazynowe", „Rurociąg producentów Braganza", „Rafine-Austria", „Rafineria Trzebinia", „Pierwsze Galicyjskie Tow. Akc. a przemysłu Naftowego", dawniej „S. Szczepanowski i Spółka".

Jugosłowiańskie powieści T.T. Jeża

Julian Bartoszewicz w swej ,,Historii literatury potocznym sposobem opowiedzianej'' pisał w 1861 roku o T.T. Jeżu:

,,Miłkowski nienaśladowany jest w swoim malowidle. Z jego powieści i korespondencji lepiej poznamy współczesne Węgry, Multany, Wołochy i Serbów, lud wreszcie na Rusi, jakby nie z jednej historii. Talent gawędzenia w Miłkowskim znakomity. Bierze najprostszą rzecz np. taniec węgierski i obrazuje go tak żywo, tak długo, że dziwimy się, jak można obszerną taką o niczym tyradę wypowiedzieć: ale autor ciska w gawędzie swojej tak dużo iskier dowcipu, tak jest śmiało wesoły, tak żartobliwie poważny, że mimowolnie i tu porywa za sobą czytelnika''.

Od tego czasu ocena twórczości Jeża nie uległa większym zmianom.

,,Encyklopedia Powszechna'' Orgielbranda nazywa go w roku 1864 ,,jednym z największych pisarzy polskich''. Późniejsi krytycy — poprzez Holewińskiego, Orzeszkową, Chmielewskiego, Bronisława Grabowskiego, Popławskiego, Zdziechowskiego i Ostrowską — aż do najnowszych, na ogół zgadzają się z opinią Bartoszewicza uważając, że najbardziej wartościową część bogatej twórczości Jeża stanowią powieści o tematyce zaczerpniętej z życia i historii Południowych Słowian. Zresztą nawet ci, którzy odnoszą się z dużym krytycyzmem do jego pisarstwa oceniają dodatnio wspomnianą część jego dorobku. Zapalony krytyk pozytywizmu Teodor Jeske-Choiński nazywa ,,Uskoki'' ,,dziełem przepięknym i wyborowym'', Włoszka Marina Bersano-Begey przyznaje powieściom Jeża wartość dokumentalną i poznawczą. Bardziej krytyczny jest Jerzy Bąbała no i Felicjan Suryn, który szczególnie surowo osądza historyczne i południowo-słowiańskie powieści T.T. Jeża.

Teodor Tomasz Jeż zaczął pisać — i to raczej dorywczo — mając już ponad 30 lat. Często podkreślał, że jest przede wszy-

im żołnierzem i politykiem i pisarstwem zajmuje się tylko marginesie działalności politycznej i patriotycznej. To stanoko, będące wyrazem jego poglądów i działalności społecznej, itycznej i rewolucyjnej, wywarło piętno na jego twórczości. o znajomość rzemiosła literackiego nie była wielka. Kierunki iurty artystyczne jego czasów, największe dzieła literatury iatowej, które znał, nie miały wpływu na jego pisarstwo. ał jak mu nakazywało sumienie i świadomość. Z współsnymi mu pozytywistami łączyło go utylitarne podejście do ratury. Uważał, że jej zadaniem jest podtrzymywanie ducha oru przeciwko okupantom, wychowywanie ludu, budzenie ionych w nim sił moralnych i rewolucyjnych, wiary w wolć oraz krzewienie idei liberalnych i uczuć patriotycznych. dkreślał jednocześnie, że literatura nie powinna być tendenna. Warto nadmienić, że jego powieści pisane „dla pokrzenia serc", więc przede wszystkim „Szandor Kowacz", „Naczona Harambaszy", „Dachijszczyzna", „Uskoki", „Rotuicze" i „Słowiański hercog" — są dużo lepsze od pozostah powieści z grupy serbo-chorwackiej, do których należą at temu dwieście" i „Miłość w opałach" oraz opowiadania rzeł swatem" i „Czarnogórka".

Jeż często opracowywał poszczególne tematy równocześnie wieściowo i publicystycznie. Cel jego działalności publicysznej był taki sam jak i literackiej, ale jako publicysta posiadał o większe ambicje ogłaszając cały szereg artykułów traktuych czasy i zagadnienia, których nie omawiał w swych powieach. Tak więc, można by zaryzykować twierdzenie, że pości swe Jeż w pewnym sensie uzupełniał publicystyką.

Powieść „Szandor Kowacz" to pierwsza książka Jeża o bach, o budzeniu się świadomości narodowej wśród Serbów Węgrów, o ich konfliktach narodowych w latach 1848-49. nimo pewnych wad, powieść ta należy do lepszych z cyklu bochorwackiego, ponieważ jej fabuła powstała w oparciu o eriały zebrane przez Jeża w terenie, choć nie zawsze dotyce Serbów. Natomiast, źródłem wszystkich pozostałych pości z cyklu serbochorwackiego, była zazwyczaj jedna jedyna iążka, na podstawie której Jeż kształtował zasadniczą fabułę j powieści, ramową konstrukcję przeżyć bohaterów, opracoąc poszczególne sceny na podstawie skąpych danych, a tylko ątkowo korzystając z innych materiałów. Jedynie powieści, re ukazały się przed pobytem Jeża w Belgradzie (1864-66) były rezultatem takiej metody.

Źródła historyczne, z których czerpał Jeż były nieliczne, więc dziwnego, że niewielka jest suma wiedzy historycznej arta w tych powieściach i mała ich wartość poznawcza. ie wykorzystane przez Jeża zaczerpnięte są często z kilku dwie stronnic tekstu źródłowego.

Brak materiałów i słaba znajomość faktów historycznych uszały Jeża do stosowania metody autopsji. Stąd też w powiech dotyczących przeszłości serbochorwackiej tyle miejsca poś-

więcił opisom środowisk węgierskich, tureckich i niemieckich. W ten sposób uzupełniał nieliczne realia serbskie lub chorwackie, jakimi dysponował. Wprawdzie Jeż spędził w Belgradzie i Serbii ponad dwa lata (w środowisku chorwackim w ogóle nie przebywał) niemniej jego znajomość życia i obyczajów ludu serbskiego była bardzo powierzchowna, należy więc przypuszczać, że opisy środowisk narodowościowych w tych powieściach nie są zbyt wierne z punktu widzenia historii i obyczajów. Fakt, że Jeż niejednokrotnie w różnych powieściach opisywał te same sceny i sytuacje, że liczne dialogi, motywy i intrygi powtarzają się — stwarza podstawy do takich wątpliwości.

Pobyt Jeża w Belgradzie był faktem decydującym o jego twórczości poświęconej Serbom. Tam zapoznał się z wszystkimi źródłami historycznymi, które później wykorzystał. Na podstawie jego powieści można stwierdzić z całą pewnością, że Jeż, pisząc je, zaglądał do tych materiałów. Należy przy tym podkreślić, że niewątpliwie podstawowe źródła zarówno serbskie jak i obce Jeż znał z oryginałów lub przekładów serbskich. Dlatego gdy w ,,Uskokach'' tytuł dzieła Minucio Minuci cytuje w oryginale włoskim, należy to uważać, za mistyfikację. Natomiast jeżeli idzie o Leopolda Ranke i jego ,,Historię Rewolucji Serbskiej'' Jeż nie usiłuje ukryć faktu, że jest mu ona znana z przekładu jego przyjaciela i znajomego z Belgradu, literata, historyka a później czołowego polityka serbskiego, Stojana Novakovića.

Jeż często zaznacza, że to co pisze, to historia, choć często odbiega od prawdy historycznej, dając upust swej wyobraźni i operując fikcją. Niejednokrotnie informuje czytelnika, że przejrzał liczne kroniki i dzieła historyczne w poszukiwaniu faktów i prawdy, ale jest to tylko chwyt który zwiódł nie tylko jego czytelników, lecz także wielu krytyków. Uwierzyli mu nie starając się sprawdzić jego twierdzeń. W rzeczywistości, nie ma tu mowy o jakiejś wielkiej pracy badawczej nad historią Serbów i Chorwatów.

W czasie gdy Jeż pisał swoje powieści historyczne z dziejów południowo-słowiańskich, nowoczesna historiografia serbska była wciąż jeszcze w powijakach, nie znano jeszcze wielu faktów, więc nie mógł ich znać również Jeż. Nie możemy mu za to czynić zarzutów. Zresztą, jak zaznaczyliśmy, fakty historyczne nigdy nie miały dla Jeża zasadniczego znaczenia. Zadaniem powieści o tematyce serbochorwackiej było więc znowu budzenie uczuć narodowych, bezpośrednie nawoływanie do powstania, do walki z zaborcami, propagowanie idei ,,nieustającego powstania''. Temu zadaniu podporządkowywał niekiedy prawdę historyczną, i z tego punktu widzenia twórczość serbo-chorwacka Jeża nabiera odmiennego znaczenia. Fakt ten jest tym donioślejszy, że Jeż w swych powieściach historycznych poruszał palące problemy ówczesnego społeczeństwa polskiego, a zwłaszcza emigracji polskiej. To dążenie do aktualizacji przeszłości serbskiej i chorwackiej, wypowiadanie sądu o współczesnych i ich postę

owaniu poprzez usta bohaterów i wymowę wydarzeń z przeszłości Serbów i Chorwatów, przejawiło się szczególnie jaskrawo w powieści „Uskoki", w której obraz środowiska emigracyjnego Uskoków do najmniejszych szczegółów odpowiada sytuacji emigracji polskiej po 1863-64 r. Nadaje to wartość realistyczną poszczególnym scenom tej powieści. Nie odpowiadają one faktom historycznym choć są oparte na prawdziwych wydarzeniach. Posiadając wartość artystyczną, zaspokajają estetyka literatury, ale nie historyka Uskoków.

Tak samo i w innych książkach nakreślone przez Jeża charakterystyki Serbów i Chorwatów.

Obywatele Dubrownika, Bośniacy XV wieku, Uskocy XVI wieku, serbscy bojownicy o wolność oraz powstańcy na przełomie XVIII wieku nie różnią się — u Jeża — w swych poglądach, sposobie życia, postępowaniu, podczas gdy szlachta przypomina raczej szlachtę polską, a chłopi — chłopów ukraińskich. Jeżeli dodamy, że Jeż w swych powieściach serbochorwackich dużo miejsca poświęcał Turkom, lub innym narodowościom, to wówczas nakreślony w nich obraz życia i obyczajów naszego narodu staje się jeszcze bardziej ubogi i blady.

Jedną z cech charakterystycznych serbochorwackiej twórczości Jeża jest obfitość reminiscencji, powoływanie się na poezję i opowieści ludowe i stylizowanie bohaterów i poszczególnych scen powieści według wzorów poezji ludowej (w „Narzeczonej harambaszy", „Dachijszczyźnie" i w „Uskokach").

Jeż nie znał nic z serbskiej literackiej twórczości ludowej poza kilkoma zbiorami poezji ludowej Vuka Karadzića, którego zbiór opowiadań ludowych oraz wiersze drukowane były w czasopiśmie Novakovića „Vila" (1865-1868), w którym ukazał się także przekład „Handzi Zahornickiej" Jeża.

Mimo wszystko jednak nasza twórczość ludowa, wywarła piętno na Jeżu. Podczas jego pobytu w Belgradzie tak zwany Ruch Młodzieżowy, tj. ruch romantyków serbskich o cechach wybitnie narodowych, znajdował się u szczytu rozwoju. Jeż posiadał wielu przyjaciół wśród zwolenników tego ruchu (Stojan Novaković, Panta Srećković, Milan Kujundzić i in.). Ci młodzi ludzie, spośród których Srećković zajmował się przede wszystkim historią, usiłowali zgodnie z duchem ówczesnych czasów poprzez serbską poezję ludową wskrzesić i kontynuować dawną tradycję historyczną, chcieli przypisać tej poezji rolę historii narodowej i objaśniać przy jej pomocy wydarzenia historyczne. Poruszając się w takim środowisku i w takiej atmosferze Jeż przejął niektóre z tych poglądów i zastosował je w swojej twórczości. Czynił to tym chętniej, że odpowiadało to jego własnym poglądom na rolę i zadania powieści w życiu społecznym i narodowym. Przytoczone wyżej fakty w pełni potwierdzają tezę Jerzego Bąbały, że powstanie takiej ilości powieści poświęconych przeszłości Serbów i Chorwatów wynikało z faktu iż mogły one posłużyć jako środek propagowania idei demo-

kratycznych i narodowo-wyzwoleńczych. Jest zresztą charakterystyczne, że w miarę zmiany sytuacji społeczno-politycznej w Polsce oraz form walki i propagandy narodowej, słabnie zainteresowanie Jeża przeszłością Serbów i Chorwatów. Jego ostatnie powieści „Lat temu dwieście" i „Miłość w opałach" pisane są raczej z myślą uwypuklenia elementu egzotycznego, niż z dawniejszych pobudek. Ale należy zaznaczyć, że zanikanie tematyki serbochorwackiej w twórczości Jeża uwarunkowane było także i tym, że zasób jego wiedzy w tej dziedzinie zaczął się wyczerpywać. Wskazują na to utwory późniejsze: „O byt" (Jeż wykorzystał tu wiele niesprawdzonych i nieprawdziwych materiałów historycznych o Serbach), „Ci i tamci" (powieść poświęcona rewolucji węgierskiej, 1848-49, w której można znaleźć także garść informacji o Serbach), które zachowały taki sam kierunek ideowo-propagandowy co i jego dawniejsze utwory serbochorwackie, o których było mowa.

Wartość literacko-artystyczna utworów Jeża nie jest wielka. Z wyjątkiem kilku scen i sytuacji, kilku raczej szkiców aniżeli w pełni ukształtowanych postaci, nie ma prawie nic co warto by podkreślić. Nie ulega jednak wątpliwości, że Jeż swą twórczością południowo-słowiańską wzbogacił literaturę polską nieznanymi dotąd motywami, postaciami i problemami, że wniósł w nią nowe treści, chociaż jeśli idzie o formę pozostawał w tyle za współczesnymi mu pisarzami, nie mówiąc już o czasach, gdy literatura polska dotrzymywała kroku współczesnej literaturze europejskiej. Jego wyraz artystyczny jest nieujednolicony i nierówny, obrazy realistyczne chaotycznie mieszają się z romantycznymi, charaktery bohaterów nierzadko są sprzeczne z ich postępowaniem: są oni często niekonsekwentni w życiu codziennym, ale nigdy w bezgranicznej ofiarności i oddaniu walce o wolność narodową. Powieści te cechuje zarówno romantyka, będąca nieodłączną cechą każdej walki o wolność, jak i niepotrzebna i ckliwa romantyka samego pisarza.

Mimo wielu wad Jeż posiada także zalety. Jako publicysta i autor licznych korespondencji odznacza się lekkim, gawędziarskim stylem przyciągającym uwagę czytelnika. Ten sposób pisania, właściwy reportażowi, był, w porównaniu ze współczesnymi mu pisarzami, świeży i oryginalny, co zjednywało mu i zjednuje nadal wielu czytelników.

Wśród Jugosłowian Jeż nie był zbyt popularny. W latach siedemdziesiątych XIX wieku przełożono na serbski dwie jego powieści („Asana" i „Handzia Zahornicka"), które w swoim czasie cieszyły się dużym powodzeniem. Później przetłumaczono dalsze dwie, z których jedna nigdy nie ukazała się drukim („Narzeczona Harambaszy"), a druga tylko częściowo („Uskoki"). W tymże czasie ukazało się o Jeżu kilka notatek a w okresie międzywojennym parę krótkich artykułów. W roku 1869 został wybrany na członka-korespondenta Serbskiego Towarzystwa Naukowego (Srpsko uceno drustvo), w roku 1897 Serbska Akademia Nauk uroczyście go „pochowała", później zaś jedna z uliczek

Belgradu została nazwana jego imieniem — i to wszystko. Młodzi wiedzą o nim jeszcze mniej niż starsi.

Reasumując te krótkie rozmyślania o Teodorze Tomaszu Jeżu i jego twórczości, poświęconej Słowianom Południowym, pragnę podkreślić, że pisząc o Słowianach Południowych budził w narodzie polskim sympatię do nich, zapoznawał i wzajemnie zbliżał oba narody. Zainteresowanie i miłość jakimi darzył nasze narody posiadają niewątpliwie większą wartość aniżeli jego utwory literackie. Autorytet moralny Jeża był największą rekomendacją dla Słowian Południowych, a znaczna część ich popularności w Polsce, w drugiej połowie XIX wieku, jest wyłączną jego zasługą.

Stojan SUBOTIN

•

PRZEDPŁATA NA KSIĄŻKĘ ALEKSANDRA JANTY

Ogłoszono Przedpłatę na nową książkę Aleksandra Janty: *Losy i Ludzie* —Spotkania — Przygody — Studia (1931-1960). Książka liczyć będzie co najmniej 350 stron. Będzie ona obficie ilustrowana. Ukaże się najpóźniej z początkiem 1961 r. Wydawcami *Losów i Ludzi* jest redakcja ,,Wiadomości'' w Londynie i Polski Insytut Naukowy w Nowym Jorku.

W przedpłacie książka *Losy i Ludzie* kosztować będzie w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie, oraz krajach Ameryki Południowej $ 3,50 (lub równowartość) płatnych na Polish Institute, 59 East 66 Street, New Jork 21, N.Y.; w Europie i innych częściach świata poza Ameryką 25 szylingów (lub równowartość) płatnych na ,,Wiadomości'', 67 Great Russell Street, London W.C.1.

W Ameryce Południowej przedpłatę na *Losy i Ludzi* przyjmuje ,,Libreria Polaca'', Serrano 2076, Buenos Aires, Argentyna.

Po ukazaniu się książka kosztować będzie $ 5,00 lub równowartość.

Książki

Wojna z radcą Św. Sebastiana

Krótka stosunkowo historia krajów Ameryki Południowej, nie obfituje w wydarzenia o rozgłosie światowym.

Podbój kontynentu kryje się już w pomrokach legendy, mogiły masowo mordowanych Indian zapadły się w ziemię i pokryły tropikalną roślinnością. Przypomnieniem licznych rzezi tubylców, są nazwy miejscowości, dróg i rzek. ,,Dolina Umarłych'', ,,Krwawy Strumień'', ,,Droga Śmierci'', itp. znaczą miejsca zwycięstw muszkietów i karabinów nad łukami i dzidami.

Późniejsze dzieje, to przeważnie rewolucje. Było ich tyle, że trudno spamiętać ich daty i zdać sobie sprawę z ich powodów.

Przebywając od dziesięciu lat w Brazylii, starałem się odnaleźć w literaturze miejscowej, ciekawsze epizody z historii tego kraju-olbrzyma. Wysiłki te, — być może nie kompletne z powodu ograniczonego czasu jakim rozporządzałem — dały wynik bardzo ubogi.

Tak, jak zapalony kolekcjoner kupujący np. w Konstantynopolu ,,originalną'' fajkę turecką, odczytuje na niej ze zdumieniem napis: ,,Made in Pardubice. Czechoslovakia'', tak i ja tutaj, znalazłem wyjątkowo oryginalny epizod z historii Brazylii — ,,Made in Belgium''.

Mam tu na myśli, książkę Belga, Lucien Marchala ,,Mędrzec z Canudes'', która ukazała się po raz pierwszy w języku francuskim i którą następnie przetłumaczono na angielski (1).

Książka powyższa została napisana na podstawie materiałów których poszukiwanie na tutejszym terenie, zajęło... osiem lat (2).

Aczkolwiek wydarzenia opisane przez Marchala, rozegrały się 63 lata temu, to jednak tak trafnie oddają i obecny charakter

---

(1) *The Sage of Canudos*, Lucien MARCHAL, London. 1954. J.M. Dent & Song Ltd.

(2) Dzięki niej dopiero mogłem odnaleźć pracę Euclidesa de Cunha, dotyczącą tego samego tematu.

ludności brazylijskiego interioru, że nie zdziwiłbym się zbytnio, gdyby Kampania Wojenna przeciwko „Radcy św. Sebastiana" rozegrała się współcześnie.

•

Jedyny, z niecierpliwością wyczekiwany syn Macielów, zamożnych właścicieli ziemskich z północnego stanu brazylijskiego Caera, zawiódł oczekiwania rodziny. Przyszły spadkobierca znacznej fortuny, ostatni męski przedstawiciel potężnego rodu, wywodzącego się z mieszaniny krwi portugalskiej, murzyńskiej, indiańskiej i holenderskiej, okazał się niedorajdą i mazgajem, niegodnym sławy walecznych i gospodarnych przodków.

Macielowie, posiadali obszary ziemi, ciągnące się od horyzontu do horyzontu, setki koni, tysiące bydła i jedną książkę. Wedle zgodnej opinii całej rodziny, ta właśnie jedyna książka, zgubiła młodego Antonia Maciela. Była nią Biblia. Zamiast uganiania się po „campach", i doglądania gospodarstwa, zamiast brania udziału w wyprawach przeciwko odwiecznym wrogom Araujom, fazenderom z drugiej strony rzeki, którzy m.in. zamordowali jego własnego ojca Luisa i ciotkę Helenę, słaby i chorowity Antonio, przebywał od świtu do nocy na werandzie rodzinnego domu, czytając Biblię i odmawiając pacierze.

Ostatnim ratunkiem wymierającego rodu Macielów, był ożenek Antonia. Zajął się nim jego opiekun, stryj, Miguel Carlos Maciel, sam niezdolny do małżeństwa, ze względu na mocno posuniętą chorobę weneryczną. Wybór Miguela Carlosa padł na śliczną córkę białego sąsiada, Paulinę Massapé.

Któregoś dnia, kiedy Antonio doszedł w swojej litanii do słów: „Wieżo z kości słoniowej...", stryj zjawił się nagle na werandzie, i oświadczył: „Dzisiaj mój chłopcze, odbędzie się twój ślub!...". „Módl się za nami..." — dokończył litanię zdumiony Antonio.

Wieczorem tegoż dnia, na dziedziniec fazendy Macielów Formosy, wjechała konno, w towarzystwie ojca — Paulina. Za jej białą „jak śnieg" — jakby powiedział europejski poeta — skórę, rodzina brązowych Macielów płaciła całą swoją fortuną. Zdawała sobie z tego sprawę Paulina i nie bardzo się przejęła mizerną i niepokaźną postacią Antonia, którego tego wieczora zobaczyła po raz pierwszy w życiu.

Po hucznym i wystawnym „żurasku", Miguel Carlos poprowadził młodych do pokoju, którego umeblowanie stanowiło wielkie łoże w stylu hiszpańskim, miedziana miednica, stolik i Biblia. „Bawcie się dobrze i nie próżnujcie!..." — powiedział zamykając drzwi. Ślub formalny, wedle zgodnego zdania ojca Pauliny i stryja Miguela, byłby niepotrzebną stratą czasu. Odbył się on kilka miesięcy później, pod presją znajomego księdza.

To że Antonio był impotentem i miał wrodzony wstręt do kobiet, nie zamąciło pogody ducha młodej małżonki. Paulina na noc chodziła do „ranczy" młodego, atletycznie zbudowanego

rządcy Joao Pio, a Antonio czytał Biblię, rozkoszując się hiszpańskim łożem, które miał wyłącznie dla siebie. Sytuacja ta jednak nie odpowiadała ambicjom Pauliny. Pragnęła za wszelką cenę wyrwać się do miasta.

Marzenie jej, spełniło się dzięki katastrofalnej suszy, która w owych latach nawiedziła północne Stany Brazylii rujnując doszczętnie wielu fazenderów. Miguel Carlos, Antonio i Paulina, krańcowo wyczerpani, obdarci, głodni i bez grosza, znaleźli się w portowym mieście Bahia, stolicy Stanu o tej samej nazwie. Cóż się z nimi tutaj dzieje? Barczysty i silny Miguel znajduje zajęcie w porcie. Paulina godzi się w charakterze służącej, do domu Sekretarza Spraw Wewnętrznych Stanu. Antonio przesiaduje w kościele, gdzie bez powodzenia stara się zrozumieć łacińskie słowa, wypowiadane przez księdza.

Paulina poznaje porucznika Wojsk Brazylijskich Luisa Lacerdę. Oboje zakochują się w sobie „od pierwszego spojrzenia". Następują schadzki na odległej plaży. Paulina nie zdradza się z tym że jest zamężna, Miguel Carlos, przypadkowo odkrywa romans i zarzyna oboje nożem w ustroniu szemrzącego falami morskimi wybrzeża. Honor rodu Macielów jest uratowany.

Jedynym podejrzanym o morderstwo jest Antonio. Zostaje on aresztowany. Stryj, Miguel Carlos, nocą włamuje się do więzienia. Antonio, który czuje się już męczennikiem, jest oburzony że usiłuje się przerwać jego męczeństwo. Odmawia opuszczenia otwartej celi. Śledztwo, które nie może udowodnić winy aresztowanego, utyka na martwym punkcie. Gubernator postanawia pozbyć się niewygodnego lokatora i wysyła go do więzienia w Fortalezie z instrukcją, aby go po trzech miesiącach wypuścić na wolność.

W drodze z Bahia do Fortalezy, leżąc na dnie statku pośród śmierdzących bali wełny, chory na dyzenterię, umierający prawie z pragnienia, Antonio ma wizję: ukazuje mu się Święty Sebastian. „Ty uratujesz mieszkańców interioru..." mówi mu. „Ty ich poprowadzisz do zwycięstwa nad spodlałą Republiką, która ośmiela się niewinnych ludzi zamykać w więzieniach...".

Po opuszczeniu Fortalezy, Antonio rozpoczyna realizację misji powierzonej mu przez Św. Sebastiana. Jest za dumny, żeby się nazwać sługą Świętego. Pragnie być jego — Radcą. Zmienia nazwisko na Antonio Conselheiro. Pod tym nazwiskiem wędruje pieszo od osiedla do osiedla, i wygłasza kazania, których głównym motywem jest groźba straszliwej kary Boskiej, która dotknie tych, co są przeciwko niemu i Św. Sebastianowi i którzy popierają młodą Republikę. Kto pragnie zbawienia musi się skupić dookoła niego. Kto tego nie uczyni — grzmi Antonio, wygrażając w stronę pasma górskiego lub dziewiczej puszczy — to spadnie na niego ognisty *Confiteor,* albo co gorsza: *Et cum spiritu tuo*. Lekcja Kościoła w Bahia, nie została zmarnowana. Nie tylko sam mówca, nie rozumie wypowiadanych słów, ale opanowani ich tajemniczą grozą słuchacze, padają przed Radcą Św. Sebastiana na kolana. Wielu obawia się pozostać w samotności

i podąża za Antonio. Przyłączają się do niego w miarę wędrówki zawodowi złodzieje, mordercy, kryminaliści poszukiwani przez policję, drobni rolnicy, pasterze, drwale z puszczy.

W czasie przemarszu przez wieś Chorrochó spotyka go Joao Abade.

Spotkanie to jest brzemienne w swoich skutkach. Antonio pozyskuje jedynego, inteligentniejszego pomocnika.

Joao Abade ukończył Collegio de Santo Antonio w Recife i studiował w Liceum Nauczycielskim O.O. Jezuitów. Był on mulatem o niezwykłej urodzie. Podczas studiów, zakochał się w córce bogatego białego kupca, Carmeli Brito. Dowiedziawszy się o bezczelności mulata, ojciec Carmeli, z rewolwerem w ręku złożył mu wizytę w Liceum. Zanim uniósł rękę z rewolwerem, padł przebity sztyletem Joao. Joao Abade rozpoczął tułaczkę po interiorze. Tutaj spotkał Antonia a z nim razem swoje przeznaczenie.

Po siedmiu miesiącach wędrówki, wśród spiekoty słonecznej i tropikalnych ulew, Joao Abade natchnął Antonia myślą, osiedlenia się wraz z całą towarzyszącą mu gromadą, na jednym miejscu i wybudowania ,,Świętego Miasta''. Działo się to w okolicy Serra Branca. Na drodze do Geremaobo, w dolinie otoczonej górami, zatrzymano się na noc, w pobliżu wioski złożonej z piętnastu domostw. Wioska zwała się CANUDOS. Tu Antonio postanowił założyć swoje miasto. Stojąc nad brzegiem rzeki Vasa Barris i spoglądając ku wzgórzu Favella, powitał wschodzące słońce. Był to dzień 7 maja 1885 roku. Tego samego dnia drwale ruszyli do puszczy przygotowywać materiał na budowę domów, a przede wszystkim dużego Kościoła, który zgodnie z rozkazem Antonia miał posiadać dwie wieże i to wyższe niż wieże katedry w Bahia.

Wkrótce wiadomość o powstaniu ,,Świętego Miasta'', rozniosła się po interiorze. Gromady ludzi nieprzerwanym strumieniem poczęły napływać do Canudos. W ciągu dziesięciu lat — podczas których nikt nie przeszkadzał Antoniowi w jego przedsięwzięciu, powstaje miasto o 12.000 mieszkańców. Joao Abade zostaje mianowany ,,Szefem Ludu'' i pełni funkcję podobną do Prezydenta Miasta. W roku 1877-mym, zjawia się u Antonia sierżant wojska brazylijskiego Panehu, który po zasztyletowaniu oficera w Bahia, zdezerterował i oddaje się do dyspozycji Antonia. Zostaje on organizatorem policji, później zaś, dowódcą sił zbrojnych Canudy.

Wszystkich tych ludzi, uczciwych prostaczków i zakamieniałych zbrodniarzy, ogarnia powoli fanatyzm. Co wieczór z wieży kościelnej, rozlegają się dźwięki zrabowanego w odległej parafii dzwonu, co wieczór Antonio wygłasza swoje niezrozumiałe kazania. Gotowi są pójść za nim i za znakiem Św. Sebastiana w ogień. Na razie urządzają częste wypady w okolice, rabując co się da. Władze w odległej o 400 mil Bahii zdają się nie zauważać działalności Antonia. W roku 1895, pierwszy, interweniuje Biskup Bahii, Monsignor Theophilo Ferreira. Inter-

wencja jego u Gubernatora jest bezowocna. Miłujący spokój, wysoki urzędnik rządowy, uważa że sprawa ta do niego nie należy. To Biskup powinien zainteresować się Canudą. Podwładni mu księża mają — zdaniem Gubernatora — dużo wolnego czasu. Mons. Ferreira pisze uprzejmy list do Antonia i wysyła z nim braciszka z zakonu O.O. Kapucynów. Kapucyn dociera do Canudos, wręcza list i — zgodnie z instrukcją Biskupa — prosi o zezwolenie na wygłoszenie kazania.

Antonio zgadza się. Niech mówi co chce. Kapucyn mówi o herezji. Zagłuszają go okrzyki: ,,Niech żyje Conselheiro! Śmierć jego wrogom!''.

Po kazaniu, na rozkaz Panehu, Kapucyn zostaje rozebrany do naga.

Z wielką wprawą, wykonują na nim delikatną operację. Okaleczony, wyjący z bólu nieszczęśnik, wypędzony jest na drogę.

— Chyba teraz — mówi kilka tygodni później Biskup Ferreira do Gubernatora — ma pan dostateczny powód do interwencji!...''.

Istotnie, Gubernatorowi trudno jest się wykręcić. Do Canudy wyrusza patrol złożony z siedmiu policjantów pod wodzą porucznika Louriero.

W międzyczasie, Panehu przewidując represje, organizuje swój pierwszy ,,Czarny Batalion''. Jego podwładni uzbrojeni są w noże. Pierwszych karabinów i mundurów, dostarczy mu patrol por. Louriero, który wraz z siedmioma policjantami zostaje zamordowany przy wjeździe do Canudy.

Od tej chwili — że użyję bardzo niestosownego określenia — zaczyna się heca.

Pod presją opinii publicznej Gubernator Bahia, zwraca się do miejscowego komendanta wojskowego, płk. Azevedo, o pomoc.

Azevedo rozkazuje swojemu najlepszemu oficerowi, kapitanowi Bras Barosso, udać się do Canudy na czele kompanii złożonej z 250 ludzi.

Podczas postoju w pobliskiej wsi Uaua, Panehu atakuje oddział Barossy. Ma już siedem dobrych karabinów i pistolet zdobyty na poruczniku Louriero. Kompania jest wybita co do nogi. Arsenał Canudy wzbogaca się o 250 karabinów Mauzera i pistolety oficerów. Antonio wita zwycięzców przed Kościołem. ,,Nikt nie potrafi pokonać Św. Sebastiana!...'' grzmi ponad klęczącymi tłumami.

Afera Antonia poczyna przybierać nieprzewidziane rozmiary. W Rio de Janeiro dzienniki pełne są wyimaginowanych opisów masakry. Rząd Republiki czuje się zmuszony podjąć zdecydowane kroki dla ratowania swojego prestiżu. Największą sławą w Armii cieszy się podówczas, bezwzględny poskromiciel rewolty w Rio Grande do Sul, pułkownik Moreira Cezar. Jemu to porucza Minister Wojny zdobycie i całkowite zniszczenie Canudy. Siły, jakie mu oddaje do dyspozycji, są poważne. Stanowią

dwa bataliony piechoty, kontygenty piesze z Pernambuco Bahia, każdy po 1.000 żołnierzy, kontygent konnicy „Gauchów'' z Rio Grande do Sul, brygada kawalerii i 2 działa 5 mm.

W tym samym czasie, pod bramami Canudy, zjawia się kilkuset bezdomnych, pędzonych z miejsca na miejsce, trędowatych. Panehu szybko się orientuje że mogą mu się bardzo przydać i pozwala im budować chaty na peryferiach miasta.

Doszedłszy do Monte Santo pułk. Moreira Cesar przekonuje się, że bez dobrego przewodnika wykonanie jego planu okrążenia miasta będzie bardzo trudne. Niestety nikt z miejscowych ludzi nie chce brać udziału w wyprawie. Koniec końców, z wielkim ociąganiem, zgadza się przyjąć tę niewdzięczną funkcję, przypadkowo napotkany poganiacz mułów.

Kiedy cała długa kolumna wojska znajduje się w wąskim przejściu pomiędzy morzem trujących i ciernistych krzaków „cananas'', przewodnik znika, aby... udać się do Canudy i objąć swoję funkcje. Był nim... Panehu.

Z miejsca w którym znalazła się ekspedycja Morreiry nie można się wydostać. Jedyna droga to atak frontalny na miasto, poprzez otwartą równinę i rzekę. Artyleria zajmuje pozycje na wzgórzu Favella, płk. Morreira decyduje się rozpocząć atak. Ostrzeżenie, że żołnierze są krańcowo wyczerpani marszem, zbywa milczeniem. Piechota z Pernambuco, najbardziej odporna na upał, atakuje z furią. Pierwsze domy Canudy są zdobyte. Morreira Cesar wysyła gońca na tyły z telegramem przeznaczonym dla Rządu w Rio. „Canuda jest zdobyta!'' — głosi telegram.

W tym samym czasie, siły atakujących rozpraszają się wśród uliczek miasta. Walka staje się bezplanową strzelaniną, w której przewagę mają obrońcy ze względu na troskliwie wybrane i ubezpieczone przez sierż. Panehu stanowiska. Morreira dosiada konia i gna do miasta, by uporządkować i przegrupować swoje siły. Na pierwszej ulicy wali się z konia, śmiertelnie ranny. Dowództwo obejmuje płk. Tamarinho, który pod wieczór zarządza odwrót jedyną możliwą do przejścia drogą. Droga na wiedzie pomiędzy wzgórzami. Oddziały wycofują się w kompletnym nieładzie. Kawaleria, która w pewnym momencie szturmu szarżowała domy — pomieszana jest z piechotą, ranni padają po obu stronach drogi, nie mogąc iść dalej, oficerowie naglą do pośpiechu. W takiej to chwili, spoza wzgórz otaczających drogę odwrotu, wychodzą gęste tyraliery żołnierzy Panehu. Odległość jest tak mała, że nie ma prawie czasu na strzelaninę. Spadają z nożami w rękach na zaskoczoną kolumnę. Jeden z pierwszych ginie płk Tamarinho.

Księżyc oświeca już tylko pobojowisko usłane trupami ludzi koni.

Panehu odpoczywa oparty plecami o koło armaty Kruppa. Dzwon z wieży kościelnej w Canudos głosi nowe zwycięstwo.

— „Nie ma mocy, która by była zdolna pokonać Św. Sebastiana!... — ryczy ochrypły Antonio z kazalnicy. Armia Panehu zbroi się w karabiny Mauzera, Manlichera i Comblainsa. Rozdawane są one jako nagrody za męstwo.

Tak jak telegram płk. Morreiry wzbudził powszechny entuzjazm, tak wieść o niebywałym pogromie, spowodowała burzę protestów w całej Brazylii. „Na taką armię nie będziemy płacić podatków!... — krzyczą tłumy demonstrujące na ulicach Rio de Janeiro. Rząd, w poszukiwaniu usprawiedliwienia klęski, zwala winę na... monarchistów. To oni stoją za Antoniem. To oni dowodzą rewoltą. Szyby lecą z gmachów redakcji pro-monarchistycznych dzienników, redaktorzy wyciągani są z domów i bici.

Minister Wojny zabiera się energicznie do przygotowania nowej ekspedycji. Na jej czele staje generał Artur Oscar de Andrade Guimeraes. W skład jej wchodzą: 1-szy, 3-ci, 30-ty i 31-szy bataliony z Rio Grande do Sul; 27-my z Parahyba; 34-ty z Rio Grande do Norte; 33-ci i 35-ty z Piauhu; 5-ty z Maranhao; 4-ty z Para: 26-ty z Sergipe; 5-ty i 14-ty z Pernambuco; 2-gi z Caera; 7-my, 9-ty, i 16-ty z Bahia; 5-ty i 7-my pułki kawalerii, stołeczny pułk artylerii.

Czytelnik pomyśli, że koniec Canudy się zbliża. Poproszę go w języku portugalskim o cierpliwość: Paciencia Senores! Paciencia!

I przypomnę: Panehu rozporządza już teraz trzema tysiącami karabinów.

Wprawdzie to niewiele przeciwko 17-tu batalionom regularnej armii i pułkowi artylerii stołecznej posiadającemu najcięższą i jedyną w kraju armatę, 320 Whitworth'a, którą dziesiątki wołów będą taszczyć pod Canudę, ale jak się okaże... nie ubiegajmy jednak wypadków. Opowiem o nich bardzo zwięźle:

Kolejne szturmy Canudos przez wojska gen. Guimeraes, poza krwawymi obustronnymi stratami, nie przynoszą rezultatu.

W pierwszych dniach walk, Joao Abade, wraz z dwoma towarzyszami i baryłką prochu, podkrada się o świcie pod kolubrynę Whitwortha, która wysadzona w powietrze, zwala się ze wzgórza. Abade ginie w tej akcji.

Decydujący atak kolumny gen. Savage zostaje odparty szarżą trędowatych, których Panehu wsadził na konie i uzbroił w piki. Twarze pozbawione nosów, z zapadniętymi oczami i ciałem odpadającym z policzków, budzą grozę wśród żołnierzy. Rzucając broń, uciekają w popłochu lub dają się mordować konnym kościotrupom.

Po trzech miesiącach zmagań, gen. Guimeraes prosi o posiłki.

Nadchodzą one tym razem w sile pełnego korpusu. Przeciwko sierżantowi Panehu, staje Naczelny Wódz Armii Brazylijskiej, Marszałek Bitencourt. Obejmuje on komendę nad wszystkimi siłami zgromadzonymi pod Canudą.

W tym czasie ma miejsce wypadek, który aczkolwiek sam w sobie nie mógł zmienić ostatecznego wyniku rozprawy, to

jednak bez wątpienia osłabił poważnie ducha oblężonych: umarł Antonio Maciel-Conselheiro.

Pierwsze prawdziwe zwycięstwo republikańskie, odniosła chroniczna dysenteria.

Przed ostatecznym, szturmem, marsz. Bitencourt zaproponował Panehu wysłanie parlamentarza. Kiedy się ten zjawił, marszałek przedstawił mu całą beznadziejność położenia miasta i wezwał do poddania. Usłyszawszy odmowną odpowiedź, zaproponował odesłanie kobiet i dzieci poza linię walczących. Panehu zgodził się na to. Miał w tym dniu do dyspozycji 107-miu ludzi, pośród nich kilkudziesięciu lżej rannych. Wyginęli oni wszyscy na stopniach kościoła, pod kulami Sao Paulistańskiego pułku.

Przyglądając się walce przez lornetkę. marsz. Bitencourt wyszeptał:

— ,,Co za ludzie!...".



Epopeja Antonia Maciela rozegrała się przy końcu ubiegłego stulecia, a więc nie tak dawno. Czyby nie można było odnaleźć naocznych świadków walk pod Canudą?... W Paranie ich nie znalazłem. Ostatnio po przeniesieniu się na nowe miejsce pracy do Sao Bernardo do Campo w stanie Sao Paulo, — (Same święte miejsca w tej Brazylii...) — wznowiłem poszukiwania.

Otrzymawszy informacje w garażu (Sao Judas Thadeu & C-cia) — że w pobliżu, na małej ,,szakrze", mieszka emerytowany pułkownik, który ponoć brał udział w jakichś walkach na północy kraju, poterkotałem moim Fordem przy sobocie, na pułkownikowską farmę. ,,Pobliże" okazało się odległe o pod 60 km. Jeśli zważyć, że od granicy do granicy Brazylii jest tak daleko, jak z Kopenhagi do... Timbuktu, to te 60 km. były muchą, mrówką, pchełką.

Powitała mnie córka pułkownika, jak się szybko dowiedziałem wdowa po wyższym urzędniku celnym, który zginął w wypadku samochodowym..

,,Przeklęte samochody!..." — zakończyła półgodzinne, wzajemne przedstawianie się. — ,,Co do celu pańskiej wizyty" — ostrzegła otwierając drzwi domu — ,,to wątpię czy się pan czego dowie. Pominąwszy to, że ojciec liczy 85 lat, nigdy w całym swoim życiu nie odpowiedział na pytania dotyczące Canudy. Wiemy tylko to, że był tam istotnie".

Wszedłem do ciemnawej, zalatującej zapachem wilgoci ,,sali".

Pułkownik siedział w fotelu ciągnąc srebrną rurką ,,szimaon" z inkrustowanego kubka. Na swój wiek, wyglądał zdrowo, w małych, bystrych oczkach malowała się żywotność. Oczy te zdradziły mi jego uczucia, w chwili, w której z moich ust padło słowo Canudos. Pułkownik skurczył się w sobie, i spojrzał na mnie — jak się to powiada — spode łba.

— Nic o tym nie wiem... — powiedział. Ta zdecydowana odpowiedź potwierdziła ostrzeżenie, które przed chwilą otrzymałem.

Pułkownik powstał, dając tym znak, że uważa rozmowę za skończoną.

Przebierał nerwowo palcami obejmującymi złotą gałkę staroświeckiej laski. Był widocznie wzburzony. Rozejrzałem się po pokoju. Wypłowiałe meble w stylu Cesarstwa, podniszczony mocno dywan, etażerka z wazonem pełnym astrów. Ponad nią, samotny, wielki obraz: Św. Sebastian.

Pułkownik zauważył że mu się przyglądam. — „Nic nie wiem... Nic nie wiem...", powtórzył opadając na fotel.

Na werandzie pożegnała mnie jego córka. — „Niech pan nie miesza nazwiska Ojca z tą sprawą..." — powiedziała ściskając mi rękę.

Zastosowałem się do tej prośby.

Henryk PRZYBOROWSKI

W sojuszniczym Londynie

Lektura dziennika ambasadora Edwarda Raczyńskiego (1) nie szczędzi nam gorzkich myśli, bo opisuje czasy tragiczne. Lecz tak gruntowna jest u autora znajomość faktów, rzetelne ujęcie i szczery ton, że z każdej strony tekstu bije choćby fragmentaryczna, ale historyczna prawda.

Nie uznaję przywilejów rasy ani krwi. Ale nie przeczę, że wychowanie od pokoleń w środowisku wyrafinowanej kultury i dobrobytu daje w życiu start, którego brak tylko wielki talent lub wielka praca wyrównać są w stanie.

Autor dziennika miał rzadkie szczęście dysponowania wszystkimi tymi atutami. A że dojście do wieku czynu zbiegło się dlań z odzyskaniem przez Polskę niepodległości, więc nic dziwnego, że w jej służbie przyszło mu poczesną odegrać rolę. Nie ulega wątpliwości, że wśród żyjących dyplomatów polskich międzywojnia Raczyński z racji pełnionych funkcji i własnych uzdolnień ma największą znajomość pierwszoplanowych wydarzeń i ludzi w świecie.

(1) *W sojuszniczym Londynie*, dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego: 1939-1945. Stron 450 i 4 nlb. z czego 100 stron aneksów, przypisów i indeksów, ponadto ilustracje. Nakładem Polish Research Centre Londyn 1960.

Dobrze więc stało się, że mimo sprawowanych dotychczas …żkich obowiązków i mimo dotkliwego osłabienia wzroku, zdo… …ł się on na danie polskim czytelnikom wspomnień, nie czekając … to, by w ich opracowaniu wyręczyli go z czasem inni. Tym …rdziej, że wielką zaletą tego dzieła jest jego umiar i zajmo…na w nim stale, a coraz rzadsza niestety w naszych czasach, …stawa życzliwej wyrozumiałości dla drugich, która jest cechą …entelmena.

Książka ambasadora Raczyńskiego składa się z zapisków …orządzanych doraźnie w wolnych chwilach, a zatem w nierów…ch odstępach czasu. Jest więc współczesnym świadectwem …darzeń, przeznaczonym pierwotnie nie do druku, ale raczej … pamięci. Podaje swobodnie i bez tendencji nie tylko fakty, …, co ciekawsze, oceny i wrażenia. Uroku prostoty i bezpo…dności dodają tym notatkom częste wzmianki rodzinne lub …obiste.

Autor nie mógł i nie chciał, dziennika pisanego ongiś …zerabiać na pamiętnik redagowany dzisiaj. Jak wynika z wstę…, zbyt dbał o jego autentyczność, nieraz nawet na własną …korzyść. Jeżeli tu i ówdzie znajdzie się krótkie uzupełnienie … komentarz późniejszy, wywołany luką w zapiskach, lub …ałością o jasność, to czytelnik jest o tym lojalnie uprzedzony. …k więc wrażenie szczerości i autentyczności zostało w pełni …ągnięte.

Wartość historyczną dzieła znakomicie uzupełniają teksty …kumentów w oryginale, w razie potrzeby, w przekładzie pol…m. Ponad 60 dodatkowych stron zawierają aneksy, za których …łoszenie historycy będą zapewne autorowi wdzięczni. Figuruje … obszerne sprawozdanie z czynności podjętych ze strony pol…ej w Londynie w celu przyjścia z pomocą walczącej Warsza…… w 1944 r. Tamże znajdujemy autentyczne relacje krajowe …porwania szesnastu przywódców Polski Podziemnej i z ich …cesu w Moskwie. Przypisy przynoszą 16 tekstów listów, not, …moriałów i artykułów, uzupełniających lub oświetlających …ść dziennika.

Książka wzbogacona jest ponadto o cały szereg reproduk… aktualnych zdjęć fotograficznych, a także karykatur politycz…ch z prasy angielskiej, które dobrze obrazują nietyle może …czesne nastroje, co raczej swoiste metody ich urabiania. Do…dzi wreszcie starannie opracowany i bardzo użyteczny indeks …wisk. Szkoda tylko, że w korekcie przeoczono błędną pisow… niektórych spośród nich.

Jak widać nie mamy do czynienia z prostym diariuszem. … wartościowym dziełem historycznym.

Jako następca Raczyńskiego na czele Ministerstwa Spr. Za…nicznych w rządzie polskim na wygnaniu, przeżyłem razem …im wiele opisanych w dzienniku wydarzeń, więc po uważnej …turze sumiennie stwierdzić mogę, iż nie dostrzegłem żadnego …kretnego faktu, którego opis nie pokrywałby się z moimi …snymi wspomnieniami.

Opinie i sąd autora o ludziach są oczywiście subiektywne, ale z reguły spokojne i pozbawione wszelkiego jadu, co dobrze usposabia czytelnika, nawet gdy ich w całości nie podziela. Toteż żałować można, że wnikliwe charakterystyki, które autor poświęca kilku czołowym postaciom polskiego świata politycznego, nie objęły w podobnej skali brytyjskich mężów stanu. Nikt z naszych rodaków nie miałby na ten temat więcej do powiedzenia, a mam wrażenie, że w tej drodze niejeden rozpowszechniony wśród nas pogląd mógłby być użytecznie poddany rewizji.

◆

Dziennik ambasadora Raczyńskiego podzielony jest na siedem nierównych objętością ani znaczeniem rozdziałów. Pierwszy z nich stanowi niejako wprowadzenie, ponieważ wbrew zapowiedzi w tytule rozpoczyna się krótkimi i z rzadka rozsianymi zapiskami od objęcia przez autora w 1934 r. stanowiska ambasadora R.P. w Londynie. Dopiero w sierpniu 1939 r. zapiski stają się obszerniejsze i bardziej cenne w związku z kryzysem polsko-niemieckim, gdy przynoszą analizę kwietniowej wizyty ministra Becka w Londynie i wiele szczegółów o rokowaniach, które poprzedziły podpisanie w dniu 21 sierpnia 1939 r. polsko-brytyjskiego układu politycznego. Do tego okresu odnosi się przytoczony w przypisach list posła Józefa Potockiego z Madrytu, datowany 15 kwietnia 1957 r.

Drugi rozdział dziennika zawiera bardzo żywo odmalowany, choć dzisiaj już nie rewelacyjny, obraz gorączkowych dni oczekiwania na dotrzymanie przez W. Brytanię i Francję zobowiązań sojuszniczych względem Polski po agresji niemieckiej. Znajdujemy w nim również opis dramatycznych, a niezawsze niestety budujących okoliczności, wśród których zdołano utrzymać w Paryżu ciągłość prawną władz państwowych polskich na wygnaniu.

W trzecim rozdziale znajdują się zapiski dotyczące upadku Francji i odtworzenia państwa polskiego i jego sił zbrojnych w Zjednoczonym Królestwie. Historyk tej epoki, który zechce się podjąć bez uprzedzeń jej sumiennego zbadania, będzie mógł znaleźć na tych stronach niejedną cenną wskazówkę dla oceny ówczesnych nastrojów wśród Polaków. W obliczu dwukrotnej klęski, gorycz i zawód musiały wyładować się w swarach, które po dziś dzień pozostają żywe i bolesne. Może właśnie z tej racji wielu z nas nie docenia hartu ducha, inicjatywy i trudu, których wymagało u ówczesnych sterników polskiej nawy państwowej zwalczenie przeciwności, przyciszenie sporów i pobudzenie energii do czynu. Niedociągnięcia i błędy, o które w takich chwilach nie trudno, na pewno nie przeważą w bezstronnej ocenie zasługi gen. Sikorskiego i jego otoczenia, ale także i szerokich mas społeczeństwa polskiego na obczyźnie, że nie załamało się ono za przykładem narodu francuskiego, lecz utrzymało sztandar

walki i autorytet polski wśród obcych, umożliwiając tym samym dalszą chlubną rolę lotnictwa, marynarki, sił lądowych i niemniej wspaniały opór Polski Podziemnej.

Uwagi te odnoszą się również do czwartego rozdziału dziennika, który obejmuje okres wojny niemiecko-sowieckiej aż do śmierci Sikorskiego w Gibraltarze. W okresie tym autor odegrał znaczną rolę u steru naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ten rozdział należy przeto do najcelniejszych w całej książce. Trudnych chwil negocjowania układu z Rosją stalinowską, po jej znalezieniu się w obozie ofiar agresji niemieckiej, nie znałem osobiście, gdyż przebywałem wówczas w dalekiej Japonii. Nie zabieram przeto głosu w sporze czy możliwe było wtedy uzyskanie istotnych gwarancji integralności terytorium Rzeczypospolitej, ani jaka w przeciwnym razie mogła dla nas istnieć alternatywa.

Gdy w dwa z górą lata później powróciłem do Europy, w polskich kołach rządowych i wojskowych wciąż było można spotkać się z poglądem, że Związek sowiecki nie uniknie z rąk niemieckich klęski, która wyeliminuje go z wpływu na dalsze losy wojny i warunki pokoju. Te błędne rachuby na jednostronne zwycięstwo Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii, uwidocznione niedwuznacznie w dzienniku Raczyńskiego, zaważyły, być może, na ówczesnych decyzjach polskich. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że porozumienie polsko-sowieckie w 1940 r. było naglące w interesie mas zesłańców polskich w głębi Rosji.

Z rządem polskim w Londynie zetknąłem się po raz pierwszy w styczniu 1943 r., przybywszy tam na krótko, okrężną drogą z Rosji, już jako ambasador w ZSSR, nie bez zwłoki ani przeszkód, wywołanych lądowaniem wojsk amerykańskich w północnej Afryce. Głównym tematem moich sprawozdań i rozmów miała być pomoc zesłańcom polskim w Rosji. Stało się jednak inaczej, gdy wbrew solennym zapewnieniom, danym mi na odjezdnym przez wiceministra Wyszyńskiego, że nie zaskoczą mnie pod moją nieobecność na placówce żadne niespodzianki, rząd sowiecki w tym właśnie czasie narzucił jednostronnie obywatelstwo ZSSR wszystkim Polakom, którzy po 1 września 1939 r. znaleźli się w części Polski zajętej przez czerwonych najeźdźców. Oznaczało to naruszenie samych podstaw współpracy i przekreślenie w praktyce wszelkiej akcji pomocy.

Zaproszony na zebranie Rady Ministrów, na którym ta sprawa była rozpatrywana, zdałem w obszernym przemówieniu sprawę z całokształtu stosunków polsko-sowieckich. Konkluzją mego była teza, że należy zrobić wszystko, by ratować zesłańców, ale jeżeli warunkiem koncesji w tej sprawie ze strony Moskwy miałyby być, jak obawiać się tego było można, nasze ustępstwa w sprawach zasadniczych, a zwłaszcza terytorialnych, to nie podtrzymałbym takiego postulatu. Zebrani nie podzielili pesymizmu zawartego w tej alternatywie, ale moja ocena, jako głównego świadka, przybyłego z placu gorącej dyplomatycznej walki i mającego tam powrócić, wywarła widoczne wrażenie, którego wiele dowodów otrzymałem wówczas. Nikt z nas oczy-

wiście nie przypuszczał, że fakt ten przyczyni się w niespełna sześć miesięcy później do wysunięcia w tragicznych okolicznościach mej kandydatury na ministra spraw zagranicznych.

Opisując w dzienniku ten mój pobyt w Londynie, Raczyński tłumaczy życzliwe przyjęcie, jakiego doznałem ze strony miejscowej Polonii, a zwłaszcza może prasy polskiej, reperkusjami polskiej polityki wewnętrznej. Trudno mi o tym sądzić, jako przybyszowi z daleka, nieobeznanemu z terenem. Ale skłonny jestem raczej przypuszczać, że był to objaw sympatii dla człowieka, zmagającego się na nad wyraz trudnym posterunku, a niezaangażowanego w żadne rozgrywki polityczne.

Najobszerniejszy rozdział szósty dziennika, obficie oświetlony również w aneksach, opisuje cały okres pracy gabinetu Stanisława Mikołajczyka. W tym okresie ster polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych przeszedł w moje ręce, a autor dziennika, jak sam szczerze przyznaje, czuł się po odsunięciu od dotychczasowej wielkiej aktywności i ciężkich obowiązków, trochę jak przysłowiowy młynarz, który budzi się z ustaniem miarowego huku młyna.

Niemniej, jako ambasador R.P. przy rządzie brytyjskim, a zwłaszcza jako dyplomata o takim doświadczeniu i stosunkach, z którym niemal od dzieciństwa pozostawałem na przyjaznej stopie, pełnił nadal Raczyński doniosłą rolę w pracach rządowych o co stale dbałem. Nie było, rzecz jasna, ważniejszego zagadnienia, które w tej czy innej formie nie wymagało uzgodnienia z władzami brytyjskimi i nawet wówczas, gdy rozmowy prowadzone były na szczeblu szefów rządu lub ministrów, ambasador uczestniczył w nich z reguły. Dlatego też, aczkolwiek treścią nieraz przykra, lektura tego rozdziału zapewnia jeżeli nie całkowicie wyczerpujący, to niemniej najzupełniej wierny obraz ówczesnej rzeczywistości i nastrojów.

Nie zamierzam zwalniać od niej czytelnika przez streszczanie książki. Ograniczę się tylko do oświetlenia kilku poruszonych w niej zagadnień, które wiążą się bliżej z mymi wspomnieniami.

Bezpośrednio po śmierci gen. Sikorskiego przyleciałem przez Gibraltar do Londynu z Kairu, gdzie bawiłem jako nowomianowany Wysoki Komisarz dla spraw polskich na Bliskim i Środkowym Wschodzie. Zawezwano mnie, jako współpracownika tragicznie zmarłego premiera w ciągu ostatnich tygodni jego pracy w tamtych stronach. Chodziło głównie o zdanie sprawy z powziętych przez niego decyzji wojskowych i politycznych.

Przejęty powagą chwili, pochłonięty nowymi obowiązkami, liczyłem się z krótkim pobytem w Londynie. Rozmawiałem z Prezydentem oraz członkami rządu i nie brałem żadnego udziału w rekonstrukcji gabinetu. Toteż uczyniona mi przez Mikołajczyka, jako kandydata na premiera, propozycja objęcia teki ministra spraw zagranicznych, była dla mnie niespodzianką. Desygnowany premier tłumaczył mi zastąpienie Raczyńskiego układem sił partyjnych u władzy, a mój wybór — znajomością czołowego

zagadnienia stosunków z Rosją i reputacją rozsądnej pojednawczości u naszych sojuszników.

Nie zabiegałem nigdy o stanowiska ani awanse, a gdy mnie spotykały, nie uchylałem się od związanych z nimi ciężkich obowiązków. Po tym co ostatnio przeżyłem w Rosji, i po wyczerpujących rozmowach z gen. Sikorskim na Bliskim Wschodzie, nie miałem złudzeń, że w razie dalszych powodzeń Sowiety przystałyby na wznowienie świadomie i celowo zerwanych, krępujących je, stosunków z nami, jedynie na wypadek całkowitego podporządkowania się im przez Polskę, a w razie niepowodzeń, tylko pod wpływem silnej presji Stanów Zjednoczonych i W. Brytanii.

Moją słabą stroną, z której zdawałem sobie dobrze sprawę, była niedostateczna znajomość stosunków w obu tych krajach. Ale rozumiałem, że w obliczu wielkiej straty, jaką była dla naszej sprawy śmierć gen. Sikorskiego, nie wolno nikomu wymawiać się od współpracy nad kontynuacją jego dzieła, niezależnie od widoków powodzenia. Staliśmy przecież przed próbą wykorzystania wszelkich pozostałych szans na Zachodzie. Warunkiem udania się tej próby w czasie wspólnej walki na śmierć i życie z Niemcami, musiało być z naszej strony, mimo największych trudności, okazywanie dobrej woli względem Rosji.

Odpowiedziałem zatem Mikołajczykowi, że gotów jestem przyjąć jego propozycję, o ile uzgodnię ostateczną decyzję z moim poprzednikiem i pod warunkiem, że zasiadałbym w rządzie jako minister bezpartyjny z utrzymaniem takiegoż charakteru pracy mego resortu. Po przystaniu na to bez zastrzeżeń, odwiedziłem bez zwłoki Raczyńskiego i odbyłem z nim szczerą, koleżeńską rozmowę. Nie krył on przede mną trudności powierzonego mi zadania, ale do jego podjęcia się nie zniechęcał. Na moje nalegania przyobiecał mi chętnie pełną współpracę, zwłaszcza w zakresie stosunków polsko-brytyjskich, o których utrzymanie w rękach ambasadora nastawałem. Uprzedził mnie wszakże lojalnie, że w nowym charakterze nie będę mógł uchylić się od osobistych kontaktów z Foreign Office na wyższym szczeblu. Rozstaliśmy się w przyjaznym porozumieniu i nazajutrz odpowiedziałem Mikołajczykowi pozytywnie. Jeżeli przytaczam ten epizod, to dlatego by wykazać, że oświetlone z różnych punktów widzenia relacje Raczyńskiego i moje pokrywają się do faktów.

Innym tego przykładem jest obszernie uwzględniona w dzienniku tragedia Powstania Warszawskiego. Są, głównie w antecedensach, sprawy, które autor pomija z racji luk w zapiskach, spowodowanych jego przejściową nieobecnością w Londynie lub nieuczestniczeniem w tych lub innych obradach. Jedną z tych właśnie luk chciałbym tu wypełnić.

Mam w żywej pamięci zebranie Rady Ministrów w Londynie 25 lipca 1944 r. w przeddzień naszego odlotu z premierem Mikołajczykiem i prezesem Rady Narodowej, Stanisławem Grabskim, do Moskwy. Ostatnie iskrówki z Warszawy, z których

treścią nas zapoznano, przynosiły zgodną ocenę władz cywilnych i wojskowych Podziemia, że zbliża się konieczność wydania Niemcom otwartej walki o stolicę. Wszystko zdawało się wskazywać na to, że zdemoralizowane wojska niemieckie nie będą zdolne przeszkodzić zajęciu Warszawy przez posuwającą się armię czerwoną. Po stronie polskiej dbano o to, by wkraczając do miasta Rosjanie zastali je już uwolnione i pod władzą zorganizowanej administracji polskiej. Do otwartej walki w stolicy nawoływało wielokrotnie radio z Rosji w języku polskim, a grupki komunistów w samej Warszawie odgrażały się, że w razie bierności A.K. one podejmą akcję na własną rękę. Z drugiej strony groziło niebezpieczeństwo masowego powołania ludności przez Niemców do prac fortyfikacyjnych obrony. Najnowsze próby podparcia załamującego się frontu niemieckiego na wschodzie przynieść mogły lada chwila przerwę w łączności Podziemia z Londynem.

W konkluzji streszczonej przeze mnie analizy położenia, Delegat rządu na Kraj, w oparciu o uchwałę Komisji Głównej Rady Jedności Narodowej, domagał się upoważnienia władz krajowych do podjęcia walki w stolicy w chwili i w warunkach, które zostaną uznane na miejscu za najwłaściwsze. W gorączkowym okresie, który wówczas przeżywaliśmy, moi koledzy i ja sam, nie zdawaliśmy sobie być może w całej pełni sprawy z ogromu następstw żądanej od nas decyzji, choć wiadomości z Kraju zrobiły na nas potężne wrażenie. Do władz krajowych i ich sądu mieliśmy wielkie zaufanie, alternatywy w tych warunkach nie widzieliśmy żadnej. Toteż formalna uchwała, której domagano się z Warszawy, powzięta została bez zwłoki, z tym jednak zastrzeżeniem, że, w razie utrzymania łączności z Londynem, Podziemie winno nas uprzedzić z góry o swych zamiarach. Depeszę w tym duchu premier nadał nazajutrz szyfrem do Warszawy.

Dalszy bieg wypadków, który przytoczę, świadczy jednak o tym, że w pełni doceniałem odpowiedzialność, jaką rząd wziął na siebie tą uchwałą. 27 lipca lądowaliśmy w Rabat w Maroku, gdzie nastąpiło wzruszające spotkanie ze zdążającym z Kraju przez Włochy do Londynu Tomaszem Arciszewskim, który zgodził się przedłużyć swą podróż i towarzyszyć nam aż do Kairu, by dać więcej czasu na rozmowy. Tam też dołączył Retinger, na wpół sparaliżowany po zdumiewającym zrzucie do Podziemia, który wracał z Arciszewskim, ale którego zdrowie i trudy podróży zmusiły do wypoczynku we Włoszech. 28 lipca znaleźliśmy się w Kairze, gdzie zastała nas wiadomość o uznaniu de facto przez rząd sowiecki, jako rządu polskiego, Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Lublinie. Dobrze mi znaną metodą Moskwa starała się z góry albo nas zniechęcić i skompromitować w oczach zachodnich sojuszników, albo przynajmniej upokorzyć i zmiękczyć. Dla przedyskutowania położenia zeszliśmy się u Ministra Strasburgera. Wysokiego Komisarza do Spraw Polskich na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

Gdy w dyskusji wyczułem u Mikołajczyka wahanie czy w tym stanie rzeczy należy jechać do Moskwy czy nie, zabrałem głos i w improwizowanym, krótkim przemówieniu wypowiedziałem się stanowczo za utrzymaniem pierwotnego planu wbrew prowokacjom sowieckim i zgodnie z sugestią brytyjską. Wniosek swój umotywowałem koniecznością omówienia z rządem sowieckim powstania, które lada chwila może wybuchnąć w Warszawie, a to celem koordynacji akcji i zapewnienia walczącym pomocy z zewnątrz. Jeżeli zaś idzie o próbę wyjaśnienia stosunków polsko-sowieckich, to nie mając złudzeń by Moskwa zrezygnowała z żądań, które są dla nas nie do przyjęcia, stwierdziłem, że nie wolno nam jest uchylić się od takiej próby, bez względu na jej wynik, bez dania naszym zachodnim sojusznikom pretekstu do odmówienia ich dalszego poparcia. Wprost przeciwnie, tylko naoczne wykazanie naszej dobrej woli i niedopuszczalności sowieckiego gwałtu daje ostatnią szansę usztywnienia Zachodu w naszym interesie.

Słów, których użyłem, nie pamiętam, ale ich treść podaję ściśle. Wywód mój musiał być przekonywujący, bo decyzję dalszej podróży do Moskwy utrzymano bez dłuższej debaty i z gorącym aplauzem przybyszy z Kraju. Siedzący opodal mnie Retinger nachylił mi się do ucha z uwagą: „Przemówienie to należałoby spisać zaraz, bo nigdy nie słyszałem mocniejszych argumentów!" Nieszczęściem, krótkość czasu była na zawadzie, że się nie stało zadość Buchmanowej Radzie.

Nie tu jest miejsce na opisanie przebiegu i wyników rozmów w Moskwie. Chciałbym zatrzymać się jeszcze na jednym ich szczególe, który Raczyński słusznie w dzienniku uwzględnia. W pożegnalnej rozmowie z 8 sierpnia, mimo nie dojścia do porozumienia z nami w żadnym innym punkcie, Stalin tak stanówczo zapewnił Mikołajczyka o swej gotowości przyjścia z pomocą walczącej Warszawie, że mimo wszystkich moich smutnych doświadczeń wziąłem tym razem jego słowa za dobrą monetę. Wydawało mi się, że takie stanowisko odpowiada planom jego walki z Niemcami i służy współpracy wojennej z Zachodem. Niestety gorzkie rozczarowanie z naszej strony nie dało długo na siebie czekać. Ale wiele wody miało w Wiśle upłynąć zanim, w jakże zmienionych od tego czasu warunkach, jeden z wysokich dostojników amerykańskich publicznie wyznał w 1960 r. że najtragiczniejszym przykładem imperializmu ZSSR było wstrzymanie marszu armii czerwonej na przedpolach Warszawy, by doprowadzić w zaciętej walce polsko-niemieckiej do zdziesiątkowania elity polskiego Podziemia.

Czytając doskonale udokumentowany przez Raczyńskiego i głęboko wzruszający opis koszmarnych dni, jakie przeżywaliśmy w Londynie na wciąż rwących się i wznawianych staraniach o pomoc ginącej stolicy, raz jeszcze przebiegałem w myśli ten najcięższy bodaj okres w moim życiu, w życiu nas wielu, gdy miotani na przemian to nadzieją to rozpaczą patrzyliśmy z daleka, bezsilni, na bezprzykładną tragedię naszego narodu. Trzeba

tę część książki Raczyńskiego uważnie przeczytać, aby te doznania i wierność ich odtworzenia ocenić.

Dwa ostatnie krótkie rozdziały dziennika przynoszą zapiski o rządzie narodowego protestu, powstałym w Londynie pod przewodnictwem Tomasza Arciszewskiego, w cieniu przygotowujących się uchwał jałtańskich, które doprowadziły do cofnięcia temu rządowi uznania przez rząd brytyjski w dniu 6 lipca 1945 r. Ten dział książki nię wnosi już rzeczy, które nie byłyby nam znane, ale jest niewątpliwie cenną dokumentacją.

Tadeusz ROMER

Nadesłane nowości wydawnicze

DANILEWICZ (Maria L.). *Polish Studies*. Str. 503-541. (Przedruk z t. XX (1958) ,,The Year's Work in Modern Language Studies", 1960).

FRANCK (Peter G.). *Afghanistan between East and West*. Str. 86. (Wyd. National Planning Association. Serie The Economics of Competitive Coexistence, 1960, cena dol. 2,-).

ZAHORSKI (Witold) opracował. *Informator*. Str.53. (Wyd. Komitet Polonii Włoskiej w związku z XVII Olimpiadą, Rzym, 1960).

STAHL (Zdzisław). *Sprawa Katynia po dwudziestu latach*. Str. 10. (Nr 13 ,,Materiałów Oświatowych. Dział Odczytów, Wyd. Wydz. Kultury i Oświaty Zarz. Gł. Stow. Polskich Kombatantów, Londyn, 1960, cena 1 sh.).

MAŁANIUK (E.) *Illustrissimus Dominus Mazepa*. (The Backgrund and the Personality). W jęz. ukraińskim. Str. 32. (Wyd. ,,VISNYK ODFFU, New Jork, 1960).

SWITICZ (Aleksandr). *Prawosławna cerkow w Polsze i jeje awtokefalia*. Str. 231. (Nasza Strana. Buenos Aires, 1959).

BEŁCH (Stanisław ks.). *Przyczyny śmierci św. Stanisława Biskupa*. Str. 257-299. (Przedruk z ,,Duszpasterza Polskiego Zagranicą", Rzym, Nr 3 (44), Lipiec-wrzesień, 1960).

KARWASIŃSKA (Jadwiga). *Les trois rédactions de ,,Vita I" de S. Adalbert*. Str. 28. Odczyt Wygłoszony w Bibliotece Polskiej w Rzymie 25 listopada 1958 r. (Wyd. Angelo Signorelli, Editore, Rzym, 1960 — Zeszyt 9 Konferencji).

KULA (Witold). *Les débuts du capitalisme en Pologne dans la perspective de l'histoire comparée*. Str. 24. Odczyt wygłoszony w Bibliotece Polskiej w Rzymie 22 marca 1960. (Wyd. Angelo Signorelii Editore, Rzym, 1960, Zeszyt 10 Konferencyj).

IWANOWSKIJ (A.A.gr.). *Iscielenie slepowo*. Str. 344. (Wyd. ENI New Jork 1959).

CZERNENKO (Oleksandra). *Ludina. Poema*. Str. 62. (Wyd. ,,Kyiw" Philadelphia 1960).

RUBCZAK (Bohdan). *Promienista zrada*. Str. 48. (Wyd. New Yorskoj Grupi. New York-Chicago 1960).

Listy do Redakcji

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W reportażu swoim w Nr. 9/155 ,,Kultury'' (str. 68-70) p. Londyńczyk-Mieroszewski zarzuca członkom Rady Ziem Wschodnich, iż nie rozumieją ,,najprostszych rzeczy'' wielokrotnie przez niego omawianych.

Należę tylko po prostu do tej naszej ,,niezłomnej'' a tak nielitościwie wyszydzanej emigracji i ,,Kulturę'' czytam od lat, przy czym artykuły p. Mieroszewskiego ze szczególną uwagą i wręcz z podziwem dla jego znakomitej zręczności w obronie swych tez, — a przecież również nie zupełnie rozumiem tych jego ,,najprostszych rzeczy'' — czyli jego stanowiska w sprawie obecnych granic wschodnich Polski.

P. Mieroszewski stwierdza: ,,w przekonaniu zespołu ,,Kultury'' (i znakomitej większości Polaków w Kraju i za granicą) obecne granice Polski są faktem''. Niestety faktem obecnie rzeczywiście są, ale czy faktem jest pogodzenie się z nim, jak to rozumie p. Londyńczyk.

Co do stanowiska skupisk naszej emigracji, w sprawie granic Polski nie mam wątpliwości, jak również i Kraju, który opuściłam po wojnie, pozostając z nim w stałym kontakcie, zaskoczyło mię więc powyższe twierdzenie. Zastanawiam się, czy doszedł on do niego drogą plebiscytu czy jakimś Gallup'em, czy też po prostu ,,na oko'', wobec absolutnej niemożności tego rodzaju badań w obecnej chwili. A więc czy nie zbyt pochopnie wyciągnął ten tragiczny dla nas wniosek? I tu ,,najprostsza rzecz'' staje się dla mnie zupełnie niejasna — z jakiego to tytułu p. Londyńczyk-Mieroszewski tak autorytatywnie i ostatecznie feruje decyzję w sprawie dotyczącej całego Narodu Polskiego, szerokim gestem rzucając rosyjskiemu zaborcy całe połacie naszego kraju — od Podola i Pokucia przez Małopolskę Wschodnią, Wołyń, Polesie, Wileńszczyznę, sprowadzając je po-prostu do — Wilna i Lwowa. Czy nie z tytułu tego ,,kaftana cenzury wewnętrznej'', o którym mówi na str. 66-69? Wielomilionową ludność tych ziem, mającą własne, odrębne od rosyjskich — język, religię, kulturę, z lekkim sercem rzuca właśnie w objęcia Rosji, na którą patrzyła od wieków z nienawiścią i strachem. Ludność ta sama winna decydować o swoim losie.

Z artykułów p. Mieroszewskiego odnosi się wrażenie, że ziemie te, jak zresztą cała Polska, stały się dla niego abstrakcją, ciałem doświadczalnym, które on z beznamiętną twarzą teoretyka kraje zgodnie z tym co ,,uważa za słuszne i prawdziwe'', czyli zgodne z jego stanowiskiem, każde inne uważając wręcz za ,,tromtadrację''. Ale dla tej właśnie ,,tromtadracji'' zostaliśmy razem z p. Mieroszewskim na emigracji i ona nakłada na nas również swój ,,kaftan cenzury wewnętrznej''. Czy można żądać od Polaków, aby dobrowolnie zaaprobowali dokonany rozbiór ziem Rzeczypospolitej (Hitler-Stalin) i w konsekwencji pozostanie jednego z napastników na przywłaszczonych sobie terenach, aby uważali za obowiązującą umowę Jałtańską, której Polska nie zawierała?

Tego rodzaju ,,fakty'' ulegają zmianie nieraz prędzej niż się myślało, nie należy tylko wychodzić ,,z nerw'' i przejmować się krew ścinającymi obrazami przyszłości, jakie roztacza przed nami p. Mieroszewski, o ile nie ugniemy się przed wszechpotęgą Rosji, gdyż jedynie uległość może uratować nasze nędzne życie. Oj, bo nędzne, wystarczy spojrzeć na Koreę czy Tybet i szereg już ,,pokrajanych'' krajów.

A uczucie strachu w końcu tępieje i ,,horror'sy'' nie działają.

Z wyrazami prawdziwego poważania.

Wł. CHOMSOWA

Londyn, 20 września 1960 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W nrze wrześniowym „Kultury" Londyńczyk mówi w „Kronice angielskiej" o pełnej oburzenia reakcji pewnych kół i organizacyj emigracyjnych na jego rozsądne wystąpienie w sprawie granic Polski na łamach nru rosyjskiego „Kultury" (poprzednie jego tezy w tym samym duchu nie zostały przez te same koła zauważone). Niech mi będzie wolno, — jako starszemu koledze po piórze — pocieszyć Juliusza Mieroszewskiego, z którym pracowałem czas jakiś przy jednym warsztacie redakcyjnym (przewojenny „IKC"), że publicysta polski musi być przygotowany na tego rodzaju reakcje i ataki i że środowisko polskie lubuje się na ogół w rozmaitych tabu, piętnuje ludzi, którzy mają odwagę myślenia i ucieka najchętniej w banalną retorykę polityczną i oklepane frazesy.

Z własnej praktyki publicystycznej pamiętam kilka takich wydarzeń. Oto w okresie monachijskim — przebywałem od r. 1937 w Londynie jako korespondent „IKC" — Winston Churchill, wówczas polityk bez władzy, pisujący co tydzień na łamach „Daily Telegraphu" o zagadnieniach polityki zagranicznej, w artykule poświęconym układowi monachijskiemu stwierdził, że idziemy do katastrofy, że po załamaniu się Czech Polska walczyć nie będzie i że zachowanie się Polski w dobie monachijskiego kryzysu było niegodne i szkodliwe. Odpisałem wtedy Churchillowi obszernym listem do Redakcji, który „Daily Telegraph" zamieścił w całości na pierwszym miejscu. W liście tym pozwoliłem sobie zaznaczyć, że Polska będzie walczyć z Hitlerem jeżeli zostanie zaatakowana, ale nie mogłem bronić naszego zachowania wobec Czech w czasie monachijskiej tragedii. Społeczeństwo angielskie oceniało to zachowanie jako „burdę na pogrzebie" — *a row at the funeral* — i byłem głęboko przekonany, że zaszkodziliśmy sobie wielce na Zachodzie polityką wobec Pragi.

Zdania swojego nie zmieniłem i kiedy w czasie wojny wyraziłem na łamach „Wiadomości Polskich" krytyczną ocenę polityki polskiej wobec Czech w czasie Monachium i potem, ściągnąłem na siebie gromy rozmaitych polskich organizacyj działających w Anglii. Związek Dziennikarzy zaprosił mnie nawet na sąd koleżeński w tej sprawie, zapytując, czy zamierzam dalej podtrzymywać swoje tezy, rzekomo szkodliwe dla naszej sprawy. Odpowiedziałem, że tak. Do dziś dnia nie zmieniłem przekonania o politycznej szkodliwości i moralnej niewłaściwości naszej akcji.

Kiedy w lecie 1941 doszło do zawarcia układu polsko-sowieckiego kilku publicystów polskich w Londynie zrozumiało, że nasze kresy wschodnie są stracone. Ksawery Pruszyński instynktem wytrawnego publicysty wyczuł, że nadchodzi moment przesunięcia granic państwa polskiego. Jego artykuł na łamach „Wiadomości Polskich", gdzie wyraził swoje przypuszczenia, wywołał burzę. Wyrażałem podobne przypuszczenia co Pruszyński co do przyszłej reorientacji państwa polskiego — chociaż polemizowałem z tezami jego o nieuchronności takiego przesunięcia — i moje uwagi na łamach tychże „Wiadomości Polskich" piętnowano jako niewczesny pesymizm.

W r. 1944 wystąpiłem na łamach socjalistycznej „Tribune" z obszernym listem do redakcji, który „Tribune" zamieściła z honorami, traktując ten sąd jako wyraz pewnych liberalniej myślących kół polskich w Anglii. W liście tym zaznaczyłem, że nie mam żadnego mandatu przemawiać imieniem moich rodaków, ale w obliczu zajęcia przez wojska sowieckie takich ziem jak Prusy Wschodnie, które mają przypaść Polsce, powstaje pytanie, czy obszary te na schyłku wojny z Niemcami nie powinny się znaleźć pod zarządem międzynarodowym? Oczywiście, głos Zbigniewa Grabowskiego w tej sprawie nic nie mógł, nie byłem i nie jestem żadnym politykiem, nie miałem i nie mam za sobą żadnego poparcia takiej czy innej opinii —

chodziło o to, ażeby pokazać światu anglosaskiemu, że nie wszyscy Polacy są zacietrzewionymi nacjonalistami, że chcieliby ażeby czynnik międzynarodowy wkroczył na ich ziemie. Ten mój list wywołał sprzeciwy: jeden z nieżyjących już dzisiaj dziennikarzy polskich w Londynie napisał w liście do ,,Tribune'', że nie mam żadnego mandatu przemawiania imieniem opinii polskiej, że Prusy wschodnie powinny znaleźć się pod władzą Polski, że gad krzyżacki, itd. itd. Ówczesny minister spraw zagr., Tadeusz Romer, zaprosił mnie do siebie i skarżył się, że moje wystąpienia ,,szkodzą polityce polskiej''.

W r. 1944 i 1945 postawiłem tezy — np. na kartach mojej broszury ,,Przyszłość Polski'', że nie można wysuwać żądań odbudowy państwa polskiego w granicach z 1939 r. plus kompensaty na Zachodzie aż po Szczecin, albowiem wówczas do kompensaty rościć sobie musi prawo Rosja sowiecka, Jugosławia, itd. Innymi słowy, możemy albo bronić zasady Polski w granicach z 1939 r., albo nowej Polski w granicach jakie się jej planuje. Innymi słowy musimy przyjąć utratę ziem wschodnich.

Ta oczywista i logiczna teza była atakowana namiętnie jako defetystyczna. Juliusz Mieroszewski w swoich bystrych i odważnych wystąpieniach doszedł do tego samego wniosku co ja przed laty — i za te jego trzeźwe i logiczne stwierdzenia spotykają go dzisiaj ataki. Tak być widocznie musi: pociecha w tym, że w Polsce nastąpiło pogodzenie się z granicami obecnymi, że jedna trzecia narodu to młodzież poniżej lat 14, a zatem element, który pamięta Polskę w jej obecnych granicach, że panuje dzisiaj w Kraju o wiele większa trzeźwość polityczna aniżeli przed wojną i w czasie wojny. W tych warunkach trzeźwe dyskutowanie problemów politycznych jest dzisiaj bardziej możliwe aniżeli dawniej; jest ono lepiej oceniane, a wiele narodowych tabu zostało zwalonych; wiem z doświadczenia trzech pobytów w Polsce, że odważne stanowisko ,,Kultury'' w odniesieniu do rozmaitych spraw politycznych było nieraz uznawane i doskonale oceniane. Oceny polityczne Mieroszewskiego są nieraz żywo omawiane w Kraju.

Mieroszewski nie może się skarżyć pod jednym względem: ma bowiem światłą i odważną trybunę, jaką jest ,,Kultura''. Inni publicyści polscy nie mają i tego.

Zbigniew GRABOWSKI

◆

Londyn,, 13 października 1960

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule o śp. profesorze Stanisławie Kościałkowskim nie zaznaczono, że był założycielem i prezesem Towarzystwa Studiów Irańskich. Jako prezes tego stowarzyszenia redagował i wydał trzy tomy ,,Studiów Irańskich''. Prócz tego często pisywał do pisma polskiego wychodzącego w Teheranie ,,Polak w Iranie''. Jeden z jego artykułów poświęconych rocznicy powstania styczniowego, gdzie robił porównanie między wyrokami i wysiedleniami carskiej Rosji za udział w powstaniu 1863 r., a wysiedleniami dokonanymi przez bolszewików w latach 1939-1941, nie ukazał się w ,,Polaku w Iranie'' z powodu stanowczego sprzeciwu cenzury sowieckiej. ,,Polak w Iranie'' podlegał cenzurze angielskiej i sowieckiej. Prócz działalności pisarskiej zaznaczyć należy, że śp. profesor St. Kościałkowski wygłosił szereg odczytów tak w obozach w Teheranie jak i w lokalu TSR (Tow. Studiów Irańskich).

Raczy WPan Redaktor przyjąć wyrazy wysokiego poważania i szacunku.

Jakub HOFFMAN

Paryż, 5 października, 1960

Drogi Panie Jerzy!

Nie jest moim zamiarem wszczynać polemicznej rozprawy z autobiograficznym wyznaniem, jakim Tadeusz Felsztyn podzielił się z czytelnikami ,,Kultury" w związku z mym artykułem ,,Fragmenty Filozoficzne" (,,Kultura" IX/60). Nie mogę jednak przemilczeć pewnych niedokładności oraz ocen, które są krzywdzące dla prof. Tadeusza Kotarbińskiego.

Celem mego artykułu było podkreślenie doniosłej roli społecznej oraz wielkich zasług naukowych i wychowawczych jakie łączą się z osobą Tadeusza Kotarbińskiego, filozofa i prywatnego obywatela, w okresie jego czterdziestoletniej działalności na katedrze filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. W moim przekonaniu działalność Tadeusza Kotarbińskiego w tym okresie stworzyła cenne dziedzictwo intelektualne i moralne, które ma tym większą wartość, iż w naszych czasach rozum i hart charakteru nie zawsze chodzą w parze. Najlepszym świadectwem atrakcyjnej siły tego dziedzictwa była tłumna i entuzjastyczna obecność młodzieży wypełniającej po brzegi aulę Uniwersytetu Warszawskiego z okazji uroczystości siedemdziesięciolecia urodzin Profesora zorganizowanej przez uczniów i przyjaciół.

Tadeusz Felsztyn jest odmiennej opinii a zajmując się publicznymi funkcjami, sprawowanymi przez Tadeusza Kotarbińskiego od 1957 roku, dochodzi do konkluzji, iż ,,najpiękniejsze mowy" nie przeciwważą działalności wspierającej kierunek wydarzeń zgodny z życzeniami władz komunistycznych w Polsce. Nazywa on ,,szumnym frazesem" wypowiedź Tadeusza Kotarbińskiego, iż lepiej człowiekowi zachowywać się na wzór igły magnesu, wskazującej stały kierunek, aniżeli iść śladem wskazówki barometru zmieniającej położenie stosownie do ciśnienia atmosfery. Tę wypowiedź znaleźć można w ,,Myśli Filozoficznej" z 1952 roku, tzn. w jednym z najbardziej ponurych lat stalinowskiego okresu. Za ten ,,szumny frazes" i życie zgodne z jego nakazem płaciło się wówczas osobistym wyrzeczeniem i zagrożeniem.

Absurdalną jest rzeczą oskarżać Tadeusza Kotarbińskiego, iż solidaryzował się kiedykolwiek z prześladowaniami za wyznawane przekonania, czy były to przekonania naukowe, polityczne czy też religijne. Tadeusz Kotarbiński jest natomiast wrogiem fanatyzmu w każdej jego odmianie i zawsze, w miarę swych sił, bronił sprawiedliwego postępowania. W latach bezprawia nie było rzeczą możliwą wystąpić przeciw gwałceniu nakazów sumienia i prześladowaniom. Któż miał podobny protest wydrukować? Tadeusz Kotarbiński dał jednak wyraz swym przekonaniom, gdy stało się to rzeczą możliwą. Poniżej przytaczam wyjątek z wywiadu udzielonego ,,Trybunie Ludu" z 29 stycznia 1957 roku:

,,PYTANIE: Jak ocenia Pan Profesor wprowadzenie nauczania religii do szkół z punktu widzenia postępu społecznego?

ODPOWIEDŹ: Akt wprowadzający nauczanie religii do szkół rozumiem jako ustępstwo ze strony ludzi myślących racjonalnie na rzecz szerokiego ogółu, myślącego, niestety, nieracjonalnie.

PYTANIE: Czy zdaniem Pana Profesora jest to zgodne z poczuciem sprawiedliwości i słuszności? Czy sprzyja wolności sumienia, czy też ją hamuje?

ODPOWIEDŹ: Sam akt wprowadzający nauczanie religii do szkół zgodny jest w zasadzie z poczuciem sprawiedliwości i słuszności oraz czyni zadość postulatowi sumienia, umożliwia bowiem ogółowi pełnoletnich obywateli ustosunkowanie się do religii wedle własnych przekonań.

Jednakże praktyczne skutki realizacji tego aktu mogą okazać się sprzeczne z wolnością sumienia. W wielu przypadkach — jak słyszę —

zarówno dzieci nie uczęszczające na naukę religii, jak i ich rodzice spotykają się ze strony otoczenia z presją, której charakter nie jest zgodny z postulatem wolności sumienia.

PYTANIE: Jak, zdaniem Pana Profesora, powinna się toczyć na terenie szkół podstawowych i średnich oraz liceów walka o wolność sumienia dla rodziców nie posyłających swych dzieci na lekcję religii?

ODPOWIEDŹ: Myślę, że trzeba w każdym razie, aby rodzice, wychowawcy i sympatycy szkoły laickiej zorganizowali się dla systematycznej i stałej obrony własnych dążeń. Jednym z najskuteczniejszych sposobów obrony tych dążeń byłoby utworzenia szkół czysto laickich, w których nie byłoby wyznaniowego nauczania religii''.

Ukrywanie faktu, iż działalność prof. T. Kotarbińskiego na stanowisku prezesa Polskiej Akademii Nauk stanowi — przede wszystkim w kraju — sprawę kontrowersyjną, byłoby ujmą dla niego samego i dla prawdy. Każdy ma prawo wygłaszać opinię, czy pewne postępowanie jest słuszne lub błędne, pod warunkiem, iż zapozna się z odnośnymi faktami i należycie uzasadni swe mniemanie. Lecz list Tadeusza Felsztyna nie spełnia tego warunku i niestety koncentruje się na ocenie moralnej, ubranej w gniewną i ubolewania godną szatę słowną. Dlatego nazwałem ten list autobiograficznym wyznaniem.

Prof. Kotarbiński pisał niedawno, iż w ostatnim piętnastoleciu losy nauki w Polsce były zależne od ,,określonej ideologii kół politycznie miarodajnych''. Państwo rozwija działalność w myśl wskazań tej ideologii. ,,Ludzie nauki stają w obliczu generalnego zadania: ,,znaleźć metodę uczciwego uczestnictwa w życiu zbiorowym, tak zorientowanym''. Chodzi o to, by mogli uczestniczyć we ,,wszelkim pozytywnym budownictwie dobra publicznego'' i w ,,wychowaniu szerokich mas w duchu obywatelskim''. Ludzie nauki spełniają to zadanie przez pielęgnowanie właściwych sobie umiłowań, a nade wszystko umiłowania prawdomówności (*Nauka Polska* 1/60, 17). Ten punkt widzenia prof. T. Kotarbiński raz jeszcze przypomniał kierownikom PZPR na spotkaniu z członkami prezydium PAN w słowach umiarkowanych, lecz stanowczych.

Trzeba wierzyć i życzyć, by ludzie nauki w Polsce nie byli postawieni ponownie przed ostateczną próbą. Lecz gdyby miało do tego dojść, osobiście nie wątpię, iż znajdzie się ktoś kto powie: *non possumus*, igła magnesu jest lepszym drogowskazem niż wskazówka barometru.

Łączę uścisk dłoni,

Zbigniew JORDAN

Londyński korespondent ,,Kultury'': Juliusz MIEROSZEWSKI.
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CHIswick 1860.

Wydawca: Edition et Librairie ,,LIBELLA'',
12, rue St-Louis-en-l'Ile, Paris (4e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 4 *trimestre* 1960

ULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Telefon : 962 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
RYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 c	21 sh.	42 sh.
GENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », no 2076, Buenos Aires	55 pesos	330 pesos	660 pesos
ISTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd.,Daking e, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6
LGIA I KONGO BELG. : Janina Korab Brzozowska-y, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr pocztowego 7315-20	35 frb.	180 frb.	320 frb.
AZYLIA : Prenumeraty przyjmuja : **Julia Barcinska,** aipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; **Zofia inska,** Av. Batel 1514, Curitiba Parana; **Jadwiga ka,** rua Maranhao 213, Sao Paulo		4 dol. am.	6 dol. am.
YT. AFRYKA WSCHOD. (Kenya, Tanganyka, Ugan-Roman Krolikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
ANCJA : « Libella », 12, r. St.-Louis-en-l'Ile, Paris-4	2,50 NF	13 NF	26 NF
DLANDIA : T. Szpilczynski, Ruysdaelkade 5, erdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
NADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., nto 3, Ont. lub c/O **Polish Voice,** 1089 Queen St. oronto Ont., **K. Krakowska,** 3445 Marlowe Avenue, de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; **H.R. Raki,** 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél. : HU 29 ; **Olgierd Kiersnowski,**36 Bermuda Ave., To-18, Ont. ; **Andrzej Manteuffel,** 797 Jessie Winnipeg, Man.; **«Zwiazkowiec»,** 1475 Queen V., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491	75 cent.	4 dol.	6 dol.
EKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	75 cent.	4 dol.	6 dol.
EMCY : St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablon-r. 7/1	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
DWEGIA : Br. Lubinski, Moss. Kongesgt. 2	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, ve. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25 frs. szw
WECJA : Red Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV holm		18 kor.	33 kor.
S.A. : W. Bienkowski, « Gryf Publ. », 296 Sheridan Albany, N.Y., **S. Dobczynski, Alma Shipping C°,** St. Marks Pl., New York 9, N.Y., **L. Dudarew ynski,** 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; **S. rczykowski,** 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; **Dziewanowski,** 51 Reservoir St., Cambridge 38, .; **T. Konopacki,** 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Tel. LA-1.2305; **Ch. M. Kretowicz,**2109 Robin-Av., Toledo 2, Ohio; **V.B. Kwast,** 376 Wallingford ice, Union, N.J.; **A. Pleszczynski,** 2025 Monterey Santa Barbara, Calif.; **Polish Amer. Book C°,** Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; **E. Posyniak,** Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; **Praca,** 2419 phis St., Philadelphia 25, Pa.; **The Polish Book rting C°, Inc.,** 38 Union Sq., New York 3, N.Y.; **ojanowski,** 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. Tél. 2.0890	75 cent.	4 dol. z	6 dol.
. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, ersea Church Road, London, S.W.11	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
LOCHY : Aleksander J. Mikucki, via Giulio Bechi, it. 14, Roma. Tél. : 87-87-89.	300 lires	1.750 lires	3.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedyńczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres :
Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maison-Laffitte (S.-et-O.)
C.C.P. PARIS 7585-94

Nowość

BIBLIOTEKA "KULTURY":

TOM LX

ARTUR MARYA SWINARSKI

SASZA I BOGOWIE

CZTERY UTWORY DRAMATYCZNE

...Cztery dramaty niniejszej edycji paryskiej ukończyłem niedawno, ale każdy z nich pisałem po parę lat, a pomysł ,,Godziny Antygony'' zjawił się zaraz po wojnie. Naczelna wada naszych dramatyków tkwi w tym, że pracują zbyt pośpiesznie...

...I ja miałem dużo czasu. Po ,,Jasonie'' wystawiono mi jeezcze ,,Grę o Barbarę''. A potem przez siedem lat wstęp na scenę był przede mną ocerberowany; podobnie jak dziś. Nie musiałem tedy i nie muszę ulegać pokusom, które rzetelnego pisarza mogą zdegradować na dostawcę teatralnego. Piszę bez pośpiechu i nie poganiany przez nikogo. Nie rozpieszczony, nie psuty i nie męczony owacjami.

Z przedmowy autora

Cena egzemplarza 15 NF (22 sh., $ 3,-)

Imprimerie RICHARD,
24, rue Stéphenson, Paris (XVIIIe).

Cena 2,50 NF